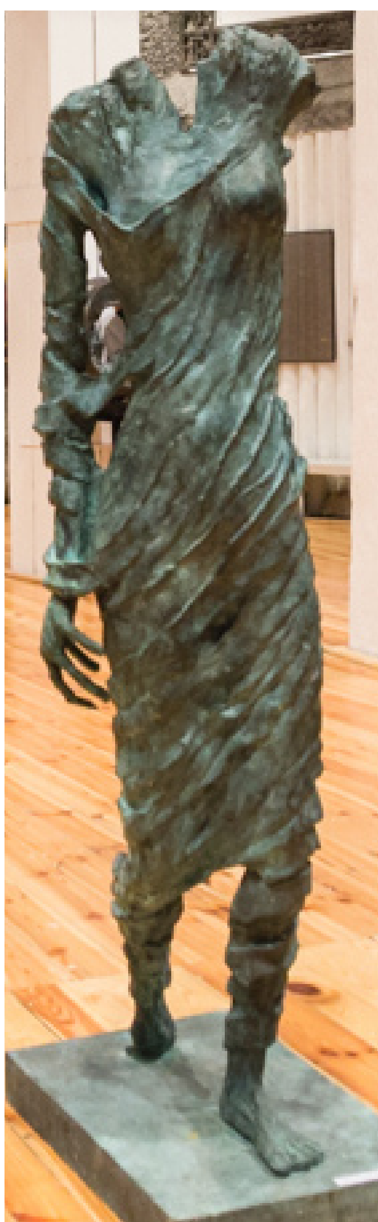
HYBRYDA

Nr 24/2014

W numerze:



Słowo od redaktora



STEFAN DOUSA
POWIEW WIOSNY, brąz, 50 x 50 x 180 cm, 2004

Szanowni Państwo,

HYBRYDA została powołana do życia w 1999 roku w celu dokumentowania wszelkich działań Stowarzyszenia Twórczego POLART na rzecz najszerzej pojmowanej kultury. Niebawem więc Pismo świętować będzie jubileusz 15-lecia, zaś starszy od niego o dziesięć lat POLART wkroczy w drugie ćwierćwiecze. Jubileusze, jak wiadomo, skłaniają do podsumowań i refleksji i choć nie zawsze nastrajają one optymistycznie zwłaszcza w kontekście powszechnego braku środków na kulturę, w wypadku POLART-u jest inaczej. Nie ulega wątpliwości, że działające *pro publico bono*, ale jednocześnie *non profit* stowarzyszenie odniosło na przestrzeni 25 lat swojego istnienia pełny sukces. Wiosennym i jesiennym obradom Walnego Zgromadzenia Członków każdorazowo towarzyszyły wystawy, koncerty, spotkania literackie oraz liczne publikacje książkowe i katalogi.

Druga edycja **Międzynarodowego Festiwalu *Związki pomiędzy kulturą Południa a Północy – Schubert – Chopin – Grieg – wzajemne inspiracje i rezonans w malarstwie i literaturze,*** zainagurowana 29 marca 2014 otwarciem w Komorze „Drozdowice" Kopalni Soli „Wieliczka" *XVII SALONU SZTUKI STOWARZYSZENIA TWÓRCZEGO POLART 2014*, okazała się wydarzeniem spektakularnym łączącym wszystkie dziedziny sztuki. W wystawie wzięło udział osiemnastu najwybitniejszych polskich malarzy i rzeźbiarzy oraz wydany został katalog stanowiący załącznik do poprzedniego numeru *HYBRYDY.*

W Komitecie Honorowym Festiwalu – odbywającego się pod patronatem Marszałka Województwa Małopolskiego Marka Sowy – zasiedli: Dyrektor Muzeum Narodowego w Krakowie Zofia Gołubiew, Prezes Zarządu Kopali Soli „Wieliczka" SA dr Kajetan d' Obyrn, Prezes Zarządu Kopali Soli „Wieliczka" Trasa Turystyczna Marian Leśny oraz prof. dr hab. Stanisław Waltoś. Prezesom Kopalni wręczone zostały na wernisażu medale 25-lecia POLART-u autorstwa prof. Jerzego Nowakowskiego (vide poniższe zdjęcie), notabene przyznane po raz



pierwszy i z pewnym wyprzedzeniem, jako że rocznicę powołania stowarzyszenia do życia świętować będziemy dopiero wiosną 2015. Po wystawie oprowadzał licznie zgromadzonych gości komisarz malarstwa Janusz Trzebiatowski. Sekundował mu komisarz rzeźby prof. Stefan Dousa.

Otwarciu wystawy i wiosennym obradom Walnego Zgromadzenia POLART-u towarzyszył koncert Kathrin Buczak, młodej austriackiej pianistki polskiego pochodzenia, która wystąpiła w ramach współpracy POLART-u z Polsko-Austriackim Towarzystwem Kulturalnym TAKT. Współpraca ta zaowocowała jesienią 2013 pokazaniem w Wiedniu *XVI POLART ART EXHIBITION* oraz wystawy indywidualnej Kai Soleckiej a wiosną 2014 prac Krzysztofa Kulisia. Niebawem na Dni Polskie w Austrii pojadą również obrazy Janusza Trzebiatowskiego.

Artysta obchodzący w tym roku 60-lecie pracy twórczej wystawił 23 kwietnia 2014 w Domu Polonii w Krakowie cykl najnowszych prac *Impresje Chińskie,* a na wernisażu wystąpiła z recitalem fortepianowym jego córka Izabela Jutrzenka-Trzebiatowska wpisując się ponownie w zapoczątkowany w 2013 roku w Norwegii Międzynarodowy Festiwal *Związki pomiędzy kulturą Południa a Północy – Schubert – Chopin – Grieg – wzajemne inspiracje i rezonans w malarstwie i literaturze* .Finisaż wystawy połączony został 14 maja 2014 z wieczorem autorskim Karla Grenzlera, a poprzedziła go konferencja naukowa na temat związków pomiędzy literaturą, muzyką a sztuką. Nikt nie podważał ich istnienia. Żartowano, że widać je nie tylko w skali makro, ale również i mikro. Przy konferencyjnym stole zasiedli przedstawiciele różnych dziedzin sztuki, artyści malarze, rzeźbiarze, muzycy i literaci, aby skonfrontować swój punkt widzenia z postrzeganiem problemu przez przedstawicieli świata nauki – filozofów i literaturoznawców. Debata z udziałem prof. Elżbiety Stefańskiej, prof. Józefa Lipca, prof. Stefana Dousy, prof. Ignacego Fiuta, Janusza Trzebiatowskiego i Izabeli Jutrzenka-Trzebiatowskiej oraz należącego do POLART-u mieszkańca Wiessbaden była barwna, a w końcowej fazie wieczoru wiersze Karla Grenzlera o aniołach przeplatał Wladimir Stockman pieśniami Okudżawy. Lało się też czerwone i białe wino. Obawy, że Festiwal nie zdobędzie publiczności okazały się płonne i również następne wydarzenia zorganizowane przez Stowarzyszenie Twórcze POLART cieszyły się sporą frekwencją, zaś szczególne zainteresowanie środowiska literackiego wzbudził przyjazd gości z zagranicy. Miało być międzynarodowo i było, bo



Kathrin Buczak w Kopalni Soli "Wieliczka"





Izabela Jutrzenka-Trzebiatowska recital fortepianowy w Domu Polonii



Konferencja naukowa w Domu Polonii
od lewej: Stefan Dousa,Izabela Jutrzenka-Trzebiatowska,Karl Grenzler, Janusz Trzebiatowski, Joanna Krupińska-Trzebiatowska, Ignacy S.Fiut,Józef Lipiec, Elż. Stefańska

w II *Międzynarodowy Festiwal Związki pomiędzy kulturą Południa a Północy – Schubert – Chopin – Grieg – wzajemne inspiracje i rezonans w malarstwie i literaturze* wpisał się wieczór Poezji Wiedeń/Londyn zorganizowany 27 maja 2014 w Klubie Dziennikarzy "Pod Gruszką", gdzie swoje wiersze oraz wiersze Wojciecha Pawłowskiego czytała Joanna Janda, zaś o kondycji poezji emigracyjnej opowiadał prof. Bolesław Faron.

Festiwal pokazał ogromny potencjał POLART-u, gdy 14 czerwca 2014 w Kolegiacie św. Anny zabrzmiały organy, przy których zasiadł prof. Krzysztof Latała. Po koncercie Stowarzyszenie fetowało jubileusz Artysty w Domu Polonii, podczas gdy Trzebiatowski prezentował swoje *Impresje Chińskie* w Chojnicach. A przed nami był kolejny zjazd pod ziemię, gdzież wciąż trwała wystawa POLART-u odwiedzana tłumnie każdego dnia przez turystów przewijających się przez Kopalnię Soli "Wieliczka". Nigdy wczesniej żadna z naszych wystaw nie zdobyła aż tak licznego grona odbiorców.



Boguslaw Hubisz-Sielska i Magdalena Chmielowiec w Kopalni Soli "Wieliczka"

Koncert muzyki kameralnej w wykonaniu dwóch wspaniałych altowiolistek prof. Bogusławy Hubisz-Sielskiej i Magdaleny Chmielowiec oraz grającego na wiolonczeli Franciszka Palla ostatecznie zakończył w dniu 28 czerwca 2014 trwający od trzech miesięcy w „Komorze Drozdowice" *XVII SALON SZTUKI STOWARZYSZENIA TWÓRCZEGO POLART 2014.* Nie zakończył jednak Festiwalu.

Jego zwieńczeniem będzie jubileusz 80-lecia urodzin i 60-lecia pracy twórczej Tadeusza Strugały oraz dedykowane mu z tej okazji „Wiersze muzyczne". Zapraszamy 3 października 2014 do EUROPEUM w Krakowie.

Joanna Krupińska-Trzebiatowska

JOANNA JANDA

życie
(miniatura)

papierowa zabawka
licha jak skrzydło ważki
dwa kolory dwa światy
piekło niebo

hazard

znowu dzień
sturlał się po zieleni sukna
bila szczęścia usnęła w kieszeni
och i co dalej?
(to billard)

nadzieja na zysk
cwałem na obłoku różowym gnająca
spłynęła mżawką grosików na city
ech też mi strata!
(ruletka)

jego cień
szarością niepewności
w walcu na trzy czwarte odkręconym
jak klisza fotoplastikonu
pęka i znika
(mój pasjans)

impresja

w pustej ramie
po obrazie
usuniętym starannie
przez dawne
przeżyte już
teraz nieważne

w smudze kurzu
osiadłej przed laty
na pozłótce
jak słodka śmietanka
nim zaschnie
w skorupę kożucha
w zawisłej
w prawym górnym rogu
szarej nitce
płótna z blejtramu
o treści wtedy
w zapisie
bardzo ważnej

w pustej ramie
eteryczna akwarela
wyobraźni

motyl nocny

na chwilę wytchnienia
w buroszarym bolerku z brokatu
złotą nitką słoneczną cerowanym
parną nocą lipcową zmęczona
na białej desce parapetu
usiadła

światłem latarni o zmierzchu nęcona
przez muszki (te co tylko na jeden numer są chętne)
osaczona
zabrzęczona
za róg przegnana (w rewir tanich wiatrów)
kominowym dymem oszołomiona
trachea atriplicis
inaczej –
ćma

gdy cisza opada

unoszę z obłoku snu rozbudzone powieki
muśnięte szorstkością twojego policzka
w oddechu błądzącym nad ustami
odżywa cała nocna magia namiętności

słodko waniliowy zapach świecy
z tańczącym na ściane płomieniem
unoszą nasze ciała w takt samby
podany batutą niecierpliwości

twoje dłonie
ich niepewne drżenie
gwałtowna muzyka słów
głośniejsza od pulsowania aorty
aż w skroniach coś pęka

i cisza opada
i leży zwinięta w pościeli
w kłębek spełnienia
jak w jedwabnym kokonie ukryta
dla wspomnień

ten obok nas

zagubiony w sobie
zamknięty dla świata
za żywopłotem
mrozem zwarzonej
bezdomności

łachmanem wiatru przewiany
za połami palta
co świetnością było
w kapeluszu
molami utkanym
w butach
wędrowaniem schodzonych
na wylot

na ławkach
w śmietnikach
bramach ruder
gdzie schody do nieba
świetlanej przeszłości
przysiada
doczekać
nocy
rana

życia

sonata jesienna

delikatnie dotykam drewna
opuszkami palców przesuwam
wzdłuż linii papilarnych
odciskam ślad

w skupieniu słucham muzyki
granej na strunach sitowia
pośród płaczu wichury
czy to Bach?

w zapachu liści kory i mchu
oplecionych jesienną mgłą
smutną nutą przemijania
zapisuję takt

przekładam kartkę
w albumie miraży życia
pierwszego listopada
jak co roku
od lat

Z cyklu „Salwatorskie spotkania" (4)

a kiedy przyjdzie

połamać pióra

pozwolić suszce

wchłonąć atrament

latawcem wysłać

w niedopoznane

kartki notatki

i wiersze

co

po mnie

zostanie?

garść pyłu

czy gwiazdy

rzucone na kamień



Z JOANNĄ JANDĄ

ROZMAWIA
MAŁGORZATA BUGAJ-MARTYNOWSKA

M.B.M. Pani wiersz „Martini" z 2011 umieszczony w rubryce jednej z londyńskich polonijnych gazet, to był początek drogi prowadzącej do sukcesów, czy początek współpracy z PoEzją Londyn?

J.J. To rzeczywiście pierwsza moja publikacja prasowa. Można powiedzieć początek wszystkiego, co się wydarzyło, wydarza i co jeszcze przede mną w temacie poezja. Wiersz „Martini" został umieszczony na łamach londyńskiego „The Polish Observer" w lipcu 2011 r. przez Adama Siemieńczyka, założyciela i lidera grupy literacko-artystycznej „PoEzja Londyn". W styczniowym numerze gazety przedstawiona została moja sylwetka twórcza. Krótka opowieść o mnie zatytułowana „Dostrzec drugiego człowieka" znakomicie oddaje ideę „PoEzji Londyn", nieformalnego zrzeszenia twórców emigracyjnych, których działania ograniczają się nie tylko do pracy twórczej, prezentacji własnego dorobku, ale również zmierzają w kierunku dostrzegania drugiego człowieka, jego potrzeb duchowych, materialnych. Uczą odpowiedzialności za prezentowane słowo, dzieło artystyczne, odpowiedzialności za drugiego człowieka…

Dzisiaj podąża Pani już własną poetycką drogą, co jednak przyniosła współpraca z londyńską grupą artystyczną?

Przynależność do „PoEzji Londyn" pozwoliła mi na poznanie wielu ciekawych twórców, których poetyckie obrazowanie zdarzeń, odczuć jest podobne do mojego. Zostawia w duszy ślad.
„PoEzja Londyn" sprawiła, że zostałam dostrzeżona, zaistniałam w świecie polskiej współczesnej literatury emigracyjnej.

Czym jest dla Pani poezja?

Poezja jest wpisana w moją duszę, jest integralną częścią mojego ego. To wspaniałe zjawisko, znane podobno jedynie wybrańcom losu. Poezja rodzi się w momentach wzmożonego przeżywania, powstaje zupełnie niespodziewanie pobudzona do życia niekiedy dla innych nic nieznaczącym epizodem, zarejestrowanym obrazem, usłyszanym słowem, melodią…
Świat widziany oczami poety bywa szary, zwykły, czasem kaleki i często beznadziejny. Bywa jednak też jak mieniąca się kolorami, delikatna bańka mydlana. Poezja jest czułym instrumentem, przy pomocy którego piszący potrafi odegrać melodię duszy. Odkrycie tej umiejętności, jej kształtowanie jest prawdziwą przygodą życia.

Kiedy stała się pani Poetką? Czy wówczas, gdy zaczęła Pani pisać...?

Trudno powiedzieć, kiedy stałam się poetką. Pamiętam w jakich okolicznościach powstał mój pierwszy wiersz pt. „Schizofrenia". Było to w ponury, deszczowy wieczór listopadowy w 2006 roku. Zapis podyktowała sytuacja, w jakiej się znalazłam; sytuacja, która wywołała u mnie rodzaj dynskomfortu emocjonalnego, ten z kolei „nakazał" mi sięgnąć po notes i zapisać przeżyte wrażenia. Od tego momentu zaczęłam notować zdarzenia nadając im formę białego wiersza. Chowałam je „do szuflady" nie chwaląc się nikomu swoją „twórczością", bo przecież nawet przed samą sobą nie mogłam się wtedy przyznać, że uważam je za poezję. Ciekawość jednak wzięła górę. Zaczęłam przyglądać się utworom zamieszczanym na różnych internetowych forach poetyckich. Dla próby umieszczałam czasami swoje wiersze i ze zdziwieniem stwierdzałam, że przyjmowane były przychylnie, oceniane jako dobre.

Wszystkie uwagi krytyczne traktowałam poważnie. Nabrałam odwagi. Pisałam coraz więcej
Kilka wierszy wysłałam do oceny krakowskiemu poecie, Leszkowi Długoszowi, który tak je skomentował: „Z prawdziwą przyjemnością przeczytałem (zobaczyłem, uśmiechnąłem się) Pani wiersze. Są one co prawda troszkę pod chmurką Jasnorzewskiej, ale to nie jest zła okolica! Delikatne liryki, świadomie igrające kruchością, wzruszeniem, czułością dla przyrody. Piszę to bez żadnej presji. Tak to widzę."
W 2012 roku nawiązałam bliższy kontakt z poetami tworzącymi na emigracji. Zbliżenie do piszących „pod skrzydłami“ PoEzji Londyn sprawiło, że odważyłam się na próbę zredagowania książki poetyckiej. Wysłałam propozycję wydawniczą do kilku oficyn. Ku mojej ogromnej radości otrzymałam zgodę na publikację od krakowskiego Wydawnictwa Miniatura. Ukazanie się „Wieczornego ratunku sumienia“ dało podstawę podjęcia próby bezpośredniego przedstawienia mojej twórczości podczas spotkań poetyckich. Na przestrzeni lat 2012-2013 miałam przyjemność i zaszczyt, wspólnie z Wojciechem Jarosławem Pawłowskim, zaprezentować naszą twórczość na spotkaniach: „Wieczór autorski – Poezja emigracyjna Joanny Jandy i Wojciecha Jarosława Pawłowskiego“(2012) w Wiedniu, „POWROTY – Polska Poezja Emigracyjna“ w Lanckoronie (2013) i „PoEzja w Wiedniu 2013“ połączona z prezentacją antologii „Piękni Ludzie“ i twórczości Barbary Gruszki-Zych z Polski, Krystyny Szostak z Austrii i Aleksandra Jędryczki ze Szwecji, a także wystawą fotografii Marka Abramowicza z Londynu. Kolejna prezentacja naszej twórczości emigracyjnej (z udziałem historyka literatury polskiej, krytyka i publicysty, prof. Bolesława Farona) zapowiedziana jest na 27 maja br. w Krakowskim Klubie Dziennikarzy „Pod Gruszką“ i ma się odbyć w ramach II Międzynarodowego Festiwalu – *Związki pomiędzy Kulturą Południa a Północy – Schubert – Chopin – Grieg – Wzajemne Inspiracje i Rezonans w Malarstwie i Literaturze.*

Aby tworzyć poezję z pewnością trzeba być wrażliwym, mieć wysoki współczynnik empatii, być dobrym i czułym obserwatorem. Czy poetą może być każdy, kto chwyta za pióro...?

Wrażliwość, empatia, umiejętność szczególnej obserwacji otaczającego nas świata, zdarzeń w których uczestniczymy, wewnętrzna konieczność zapisu przeżycia predysponują do tworzenia. Czy jednak każdy, kto odnajdzie w sobie tę potrzebę jest poetą? Z całą pewnością nie. Często obserwujemy u współcześnie piszących niedoskonały warsztat pisarski, wynikający z braku odpowiedniego przygotowania, wykształcenia językowego, czy oczytania. Tak, obok dobrej, solidnej poezji powstają liczne publikacje wydawane własnym nakładem finansowym autorów, reprezentujące mierny poziom. Rodzi to bunt i pytanie o odpowiedzialność za słowo. Zapisałam to całkiem niedawno w wierszu: „Literackie zderzenia“

słowa, słowa, słowa…

zapisane
wzorem składni
uporządkowaniem myśli
intencją przekazu

w konfrontacji

z bezładem myśli
schizofrenią fromy
bezsensem kreacji
rodzą pytanie

o odpowiedzialność (jj, Wiedeń 23.03. 2014)

Jak powstaje wiersz?

Wiersz powstaje z impulsu. Rodzi sie w chwili przeżycia sytuacji, dostrzeżenia zjawiska. Bywa refleksją, słownym obrazem, zapisem myśli, wydarzenia…
Sam proces tworzenia odbywa się spontanicznie, wystarczy zanotować pierwszą frazę, po której rodzi się kolejna i kolejna. Bywa też trudną i żmudną pisaniną, wymagającą analizy tekstu, formy, wielokrotnej korekty.

Czy poeta ma swoich mistrzów pióra, po których utwory chętnie sięga? Czy również Pani może wymienić nazwiska poetów, których twórczość jest Pani bliska?

Nie mogę powiedzieć, że poezja była jedynym pokarmem mojej duszy, „zasilałam“ ją też prozą, interesowało mnie zawsze malarstwo, teatr, wszelkie ekspozycje prezentujące polski dorobek kulturowy. Każdy z nas piszących ma swoich mistrzów, którzy w jakiś sposób zainspirowali w nas potrzebę takiego właśnie sposobu wypowiedzi.. Mieszkając jeszcze w domu rodzinnym, w Krakowie często sięgałam po piękne wydania Kochanowskiego, Mickiewicza, Słowackiego, po komedie Fredry, przedzierałam się przez trudne słowo Norwida, zachwycałam Kasprowiczem, Tuwimem, Gałczyńskim czy Staffem, przeżywałam tragedie pokolenia wojennego z Baczyńskim, czy z drżeniem emocji czytałam nocami poezję Miłosza. Chwile rozterek uczuciowych łagodziłam rozkoszując się lirykami Haliny Poświatowskiej, Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej.

„Wieczorny ratunek sumienia”, który zawiera sześćdziesiąt wierszy wybranych spośród około trzystu powstałych na przestrzeni ostatnich sześciu lat, to Pani debiut i zarazem początek sukcesów i publikacji.

„Wieczorny ratunek sumienia“ wydany w 2012 roku przez krakowską Miniaturę to zbiór o różnej tematyce, z wierszem przewodnim pt. „Pokruszone herbatniki“, których zmieszane aromaty: wanilii, cynamonu, anyżku …/otulone / zwiewnym obłokiem / startego przez kamień ziarna / pszenicznego kłosa /…
prowadzą czytelnika przez karty książki.
Rok 2013 zaowocował kolejnymi wydaniami, tomikami „Wyrok dla dwojga“ i „Prywatne nieba“. Obie książki ukazały się również nakładem Miniatury, a opatrzone zostały „słowem“ autorstwa poety Wojciecha Jarosława Pawłowskiego. Moja sylwetka twórcza przestawiona została na stronach literackich dwutygodnika „The Polish Observer“ i „Dziennika Polskiego“ ukazujących się w Londynie, szkockiego „Open Polish Magazine“, w Piśmie Polonii Austriackiej „Polonika“ i w wiedeńskim kwartalniku Klubu Inteligencji Polskiej „Jupiter“. Redagowana przez Aleksandra Nawrockiego „Poezja dzisiaj“ zamieściła w 96 numerze moje wiersze obok utworów innych, wybranych poetów należących do PoEzji Londyn. Jako jedna z tworzących na emigracji znalazłam się w antologii poezji emigracyjnej „Piękni Ludzie“ (2012) autorstwa Adama Siemieńczyka.
W wydanej w bieżącym roku w USA antologii „Contemporary Writers of Poland“ znalazły się trzy moje wiersze tłumaczone na język angielski przez Grahama Crawforda.

Jest Pani jedną z „Pięknych Ludzi”, poetką emigracyjną. Którędy prowadziła droga do tego wyróżnienia?

Początkowo tworzyłam „poezję szufladową“. Po czasie odważyłam się „ujawnić“ swoją działalność. Nawiązałam kontakt z Adamem

Siemieńczykiem, wkrótce zostałam jedną z „Pięknych ludzi“, twórców emigracyjnych, których łączy wspólna pasja. Poezja.
Poezja rodzi się w samotności duszy każdego z nas, w którymś momencie jednak odnajdujemy potrzebę wyjścia poza tę samotność, potrzebę zaprezentowania się światu, jego akceptacji, a tym samym zyskania motywacji do dalszego działania. Twórcy związani z „PoEzją Londyn” mają możliwość prezentowania siebie i swojej twórczości na przeróżnych imprezach organizowanych w Polsce i wybranych miastach europejskich. Wielu z nich znalazło się w Antologii PoEzji Emigracyjnej „Piękni Ludzie“, książce prezentującej sylwetki poetów tworzących na terenie Wielkiej Brytanii i innych krajów europejskich, a także wybranych autorów mieszkających w Polsce. Odnalezienie siebie na stronie 122 antologii było dla mnie niewątpliwie momentem przełomowym. Byłam poetką. Z ogromnym wzruszeniem wspominam tę chwilę…

Od 10 lat przyznawane są „Złote Sowy” Polakom wyróżniającym się w pracy na rzecz wizerunku Polaków i popularyzacji Polski na świecie, inaczej mówiąc ambasadorom polskości na świecie. W tym roku nagroda przypadła m.in. Pani. Czy spodziewała się Pani takiego wyróżnienia i jakie ma ono dla Pani znaczenie?

Pamiętam moje ogromne zdziwienie, kiedy odebrałam wiadomość: /…/ Redakcja pisma polonijnego „Jupiter” – organ Klubu Inteligencji Polskiej w Austrii i Federacji: Kongres Polonii przy życzliwym poparciu MSZ-tu i ambasadora RP w Austrii, planuje zorganizowanie w dniu 29. marca 2014 w Sali Wiedeńskiej Stacji PAN, dziewiątej w historii Polonii imprezy, na której zostaną rozdane polonijne „Oskary” przyznawane za działalność, twórczość, kulturę i umiejętność współpracy z innymi organizacjami i środowiskami przede wszystkim polonijnymi.../.../ Redakcja Jupitera – przyznała w tym roku „Złote Sowy” (Goldene Eule) – między innymi Pani - decyzją kapituły, otrzyma Pani statuetkę w kategorii Literatura. /.../
Znalazłam się pośród tegorocznych zasłużonych działaczy polonijnych z Austrii, Wielkiej Brytanii, USA, Kanady, Niemiec, Finlandii, Ukrainy i Belgii. Zostałam dostrzeżona i wyróżniona. Dlaczego?
Na to pytanie dostałam odpowiedź od inicjatorki i zarazem organizatorki „Złotych Sów“, pani Jadwigi Hafner, która wręczając mi dyplom i statuetkę powiedziała: „Gratuluję i… zostań sobą, taką jaką jesteś…“ To zobowiązuje…

Proszę o kilka słów na temat planów, tomiku, który być może jest w przygotowaniu...?

Najbliższe miesiące wypełnione będą pracą nad kolejnym tomikiem wierszy.
Przygotowałam do druku i wysłałam do kilku oficyn rozszerzoną o część drugą powieść o tematyce współczesnej „Kłamczucha“, która ukazała się w roku 2009 nakładem Wydawnictwa Branta.
Przed rokiem rozpoczęłam pisanie kolejnej powieści obyczajowej z wątkiem sensacyjnym. Mam nadzieję ukończyć ją i przygotować do wydania jeszcze w tym roku.
27 maja br. z Wojciechem Jarosławem Pawłowskim (również tegorocznym laureatem „Złotych Sów“ w kategorii literatura) biorę udział w spotkaniu poetyckim zorganizowanym w Krakowskim Klubie Dziennikarzy „Pod Gruszką“ przez poetkę i pisarkę Joannę Krupińską-Trzebiatowską, redaktor naczelną „Hybrydy“, pisma artystyczno-literackiego Stowarzyszenia Twórczego Polart.
Zapowiada się piękna impreza połączona z pierwszym czytaniem moich wierszy w Krakowie, moim rodzinnym mieście.
Będzie okazja do odnowienia dawnych znajomości, poznania nowych, ciekawych ludzi z krakowskiego środowiska literackiego.
A w Wiedniu..? Tutaj każdy nieomal dzień oferuje całą paletę interesujących imprez, spotkań...

Dziękuję za rozmowę

Małgorzata Bugaj-Martynowska



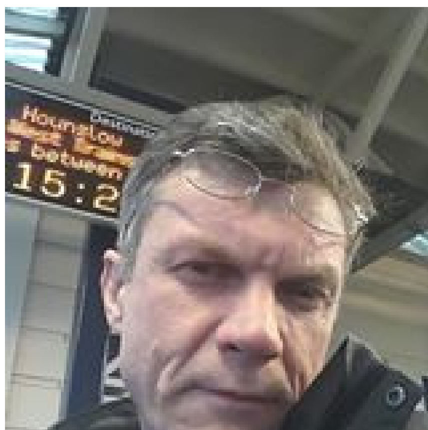
Jerzy Nowakowski, MEDAL XXV -lecia POLARTU
REWERS / AWERS





prof.Bolesław Faron w Klubie Dziennikarzy "Pod Gruszką"

WOJCIECH JAROSŁAW PAWŁOWSKI



Wojciech Jarosław Pawłowski

urodził się 9 kwietnia 1959r. w Przedczu na Kujawach.

Jako poeta zadebiutował wierszem „Publiczna egzekucja" w Magazynie Wileńskim. W roku 1993 opublikował swój pierwszy tomik poetycki „Ja nie stąd" w Nauczycielskim Klubie Literackim we Włocławku. W tym samym wydawnictwie opublikował siedem kolejnych zbiorków autorskich: Droga do tam (1994), Nie wszystko przemija (1995), Róże w ścieżkach pamięci (1996), Tobie naprzeciw wychodzę (1997), Czas upływa tęsknotami (2004), Drogowskazy (2004) i Myśli z oddali (2006). W lutym 2013 roku ukazała się kolejna książka, wydana przez krakowską Miniaturę „Modlitwa o deszcz" w tłumaczeniu na j.angielski dokonanym przez Krzysztofa Zabłockiego.

W swoim dorobku posiada liczne publikacje prasowe w Polsce jak i na Litwie, Anglii, Austrii oraz udział w około trzydziestu antologiach i almanachach poetyckich. W roku 2002 zamieszkał w Londynie. Obecnie mieszka w Londynie i Wiedniu.

Jest laureatem „Złotych Sów Polonii" (kategoria literatura) za rok 2013, przyznawanych przez redakcję pisma polonijnego „Jupiter", organu Klubu Inteligencji Polskiej w Austrii i Federacji Kongres Polonii w Austrii.

SENS

/ Joannie /

tak
można
przeżyć
sens
zakładając istnienie
tylko teraźniejszości
pomnożyć
ubogość istnienia
do dziś
do ja
bez możliwości
mówienia o nas –
teraz
zrodzone z niczego...

OBLECZONY SEN

oblekłem tobie sen
w czystą pościel
nocy
utraconych
poczuciem winy
zapomniałem śnić
dla ciebie...
Nelly

EPILOG WOSKOWY

dopóki
będzie
słowo
które
może dać
pytanie
odpowiedź
prawdę
kłamstwo
dla mnie
dla ciebie
o nas
tak jesteśmy teraz

co potem
gdy braknie
życia

milczenie
jak
bezgłośna wieczność
myśli
oddalających się
we wszechświecie

GWIEZDNY PYŁ

ja już nie jestem z tego świata
który mi dano z pierwszym krzykiem w posag
abym spojrzeniem ogarniał go czułym
w wiecznej nostalgii pól wisły i błota

ja już nie jestem bo nigdy nie byłem
złączony z wami w ciężkich grudach ziemi
które spadają na pokoleń trumny
bom tylko pyłem unoszony nurtem
rzek i strumieni...

...i czasem tylko
w deszczu srebrnej krasie
wpadam do stawów spod skrzydeł anioła
i mącę lustra
i płoszę karasie...

ŻÓŁTY MOTYL

świat nie jest obcy
jest tylko nieznany
odpryski wrażeń
nie złożą się w całość

są miasta
rzeki żłobiące granice
przestrzeni życia
jest skała i drzewo
człowiek
zachłannie uczepiony ziemi
i mały motyl
w żółtej samotności
zwiastuje tylko odmianę pogody
z nagłej odwilży

przez szarość i błoto

by potem płynąć w ławicy kolorów
odnaleźć tęczę
co przybliży niebo

w ciepłym oddechu
parującej łąki
zasnąć na chwilę
o krok

od wieczności

JUŻ PORA

już pora pojednania
z dręczącym cieniem świata
w spowiedziach wspominaniach
w ścierniskach końca lata

już pora zjednać ciszę
smużącą mgłą z zaświatów
słuchaj – oni już słyszą
jak cichnie zapach kwiatów



WINCENTY KUĆMA

***

/ Adamowi i Marcie/

żeśmy nie polegli
nie było przyczyny
- w litości barbarzyńców
modlitw naszych słów
- przychodzi ocalenie
gdy umrze zwycięstwo
i zgoda jest na klęskę

łzy bohaterów
wzbudzają w tłuszczy pogardę
płaczący
otrzymują szacunek wdów
nienarodzeni
wzrastają
do zemsty...

MADONNA POKRZYWNA III

widziałem smutek pól
i w sukni białej postać
to wśród pijanych zbóż
pokrzywna szła po ostach
kiedyśmy jako chwasty
rośli pomiędzy kłosami
pani kalecząc stopy
modliła się za nami

Lament

Zwracam się do was kapłani
Nauczyciele sędziowie artyści
Szewcy lekarze referenci
I do ciebie mój ojcze
Wysłuchajcie mnie.

Nie jestem młody
Niech was smukłość mego ciała
Nie zwodzi
Ani tkliwa biel szyi
Ani jasność otwartego czoła
Ani puch nad słodką wargą
Ni śmiech cherubiński
Ni krok elastyczny

Nie jestem młody
Niech was moja niewinność
Nie wzrusza
Ani moja czystość
Ani moja słabość
Kruchość i prostota

Mam lat dwadzieścia
Jestem mordercą
Jestem narzędziem
Tak ślepym jak miecz
W dłoni kata
Zamordowałem człowieka
I czerwonymi palcami
Gładziłem białe piersi kobiet.

Okaleczony nie widziałem
Ani nieba ani róży
Ptaka gniazda drzewa
Świętego Franciszka
Achillesa i Hektora
Przez sześć lat
Buchał z nozdrza opar krwi
Nie wierzę w przemianę wody w wino
Nie wierzę w grzechów odpuszczenie
Nie wierzę w ciała zmartwychwstanie



TADEUSZ RÓŻEWICZ

– polski poeta, dramaturg, prozaik i scenarzysta
zmarł 24 kwietnia 2014 we Wrocławiu

Kto jest poetą

Poetą jest ten który pisze wiersze
I ten który wierszy nie pisze

Poetą jest ten który zrzuca więzy
I ten który więzy sobie nakłada

Poetą jest ten który wierzy
I ten który uwierzyć nie może

Poetą jest ten który kłamał
I ten którego okłamano

Ten który upadł
I ten który się podnosi

Poetą jest ten który odchodzi
I ten który odejść nie może

List do ludożerców

Kochani ludożercy
Nie patrzcie wilkiem
Na człowieka
Który pyta o wolne miejsce
W przedziale kolejowym
Zrozumcie
Inni ludzie też mają
Dwie nogi i siedzenie

Kochani ludożercy
Poczekajcie chwilę
Nie depczcie słabszych
Nie zgrzytajcie zębami

Zrozumcie
Ludzi jest dużo będzie jeszcze
Więcej więc posuńcie się trochę
Ustąpcie

Kochani ludożercy
Nie wykupujcie wszystkich
Świec sznurowadeł i makaronu
Nie mówcie odwróceni tyłem:
Ja mnie mój moje
Mój żołądek, mój włos
Mój odcisk moje spodnie
Moja żona moje dzieci
Moje zdanie

Kochani ludożercy
Nie zjadajmy się Dobrze
Bo nie zmartwychwstaniemy
Naprawdę

Oblicze ojczyzny

Ojczyzna to kraj dzieciństwa
Miejsce urodzenia
To jest ta mała najbliższa
Ojczyzna

Miasto miasteczko wieś
Ulica dom podwórko

Pierwsza miłość
Las na horyzoncie
Groby

W dzieciństwie poznaje się
Kwiaty zioła zboża
Zwierzęta
Pola łąki
Słowa owoce

Ojczyzna się śmieje

Na początku ojczyzna
Jest blisko
Na wyciągnięcie ręki

Dopiero później rośnie
Krwawi
Boli

Oczyszczenie

Nie wstydźcie się łez
Nie wstydźcie się łez młodości poeci.

Zachwycajcie się księżycem
Nocą księżycową
Czystą miłością i pieniem słowika.

Nie bójcie się wniebowzięcia
Sięgajcie po gwiazdę
Porównujcie oczy do gwiazd.

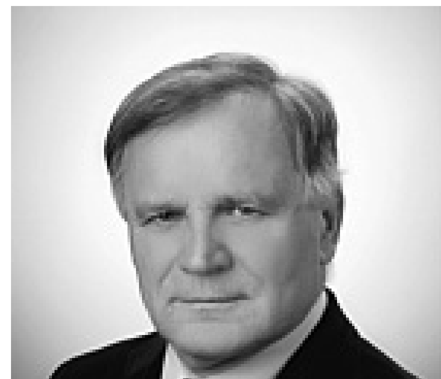
Wzruszajcie się pierwiosnkiem
Pomarańczowym motylem
Wschodem i zachodem słońca.

Sypcie groch łagodnym gołębiom
Obserwujcie z uśmiechem
Psy kwiaty nosorożce i lokomotywy.

Rozmawiajcie o ideałach
Deklamujcie odę do młodości
Ufajcie obcemu przechodniowi.

Naiwni uwierzycie w piękno
Wzruszeni uwierzycie w człowieka.

Nie wstydźcie się łez
Nie wstydźcie się łez młodzi poeci.



BOLESŁAW FARON

POEZJA MAŁEJ OJCZYZNY POWROTY JÓZEFA BARANA DO BORZĘCINA

„chyli się słońce nad Wawelem stodoły
i zapada nad ojczyzną-ojcowizną
już dotyka głowy mojego ojca
Rejtana stojącego u wrót"

z tomu *Na tyłach świata*

Borzęcin. Tak brzmi tytuł prezentowanego tutaj zbioru poezji Józefa Barana. Ponieważ nie jest to zbyt częste, by pisarz nadawał swoim utworom po prostu nazwę miejscowości, w której się urodził, zastanówmy się przez chwilę nad funkcją tytułu w dziele literackim. Otóż Stanisław Jaworski w *Podręcznym słowniku terminów literackich* (Kraków 2001) tak definiuje to pojęcie: „nazwa nadana tekstowi przez autora (lub wydawcę), stanowiąca ważną sugestię sposobu czytania jako istotna informacja o zawartości" (s. 222). W dalszej części swej wypowiedzi mówi, że może on zawierać wskazanie znaczenia tekstu, często symboliczne lub metaforyczne, ocenę przedstawionego świata lub zjawiska", „wskazanie na pewną tradycję i/lub podejmuje z nią polemikę". Poprzestajemy na wymienionych tutaj funkcjach tytułu dzieła literackiego, gdyż w moim przekonaniu w całości one wyczerpują istotę nazwy, jaką Józef Baran określił swój wybór wierszy. Borzęcin – nazwa wsi i gminy. Na dostępnych portalach można przeczytać m.in. takie informacje: „Gmina Borzęcin położona jest wśród licznych, bogatych w zasoby fauny i flory lasów na równinie Kotliny Krakowsko-Sandomierskiej, nad rzeką Uszwicą, w kierunku północnym od trasy E4 pomiędzy Brzeskiem a Tarnowem. Około 8,5 tys. mieszkańców zamieszkuje na powierzchni 103 km2". Wśród zabytków wymienia się m.in. kościół p.w. Narodzenia NMP w Borzęcinie Górnym z XVII wieku, odbudowany w 1854 roku, powiększony i rozbudowany w stylu eklektycznym w latach 1912–1917 przez Jana Sas-Żubrzyckiego. Wieś Borzęcin należała do powiatu pilznieńskiego, województwa Sandomierskiego, podczas rozbiorów wchodziła w skład Galicji pod zaborem Austriacko-Węgierskim. Gmina szczyci się zasłużonymi dla Borzęcina czterdziestoma sześcioma obywatelami. Brak w tym wykazie wybitnego polskiego dramaturga, nowelisty, eseisty Sławomira Mrożka, który tutaj się urodził. Wśród wspomnianych czterdziestu sześciu zasłużonych znajduje się czterech ludzi pióra, jeden rzeźbiarz i jeden malarz. Wśród pisarzy: oprócz Józefa Barana – odnotowano także Jana Baranowicza (właściwie Jana Barana), Anastazję Staśko, artystkę ludową, popularnego w międzywojniu autora – Pawła Staśko; Jana Martyńskiego – rzeźbiarza, Stanisława Łasińskiego – artystę malarza z XIX wieku.



JÓZEF SĘKOWSKI

FORMA BIOLOGICZNA, blacha chromoniklowa, tworzywo sztuczne, 60 x 40 x 130 cm, 2001

Chociaż Józef Baran zarówno w wypowiedziach oficjalnych, jak i w rozmowach prywatnych zawsze podkreśla, że jego twórczości nie można jednoznacznie zaszufladkować, że nie jest pisarzem nurtu chłopskiego, jak Tadeusz Nowak, Julian Kawalec

czy Wiesław Myśliwski, że nie jest poetą krakowskim, mimo że w Krakowie spędza większą część swojego życia, a jest natomiast twórcą uniwersalnym podejmującym tematy ogólnoludzkie, egzystencjalne, to jednak w jego dorobku łatwo zauważyć głęboki związek ze środowiskiem jego dziedzictwa, z miejscem urodzenia, ze wsią Borzęcin. Toteż kiedy dowiedziałem się, że szykuje wybór poezji pod tytułem *Borzęcin*, uznałem, że jest to bardzo interesujące, ważne, pożyteczne przedsięwzięcie. Inicjatywa ta bowiem wpisuje się w pielęgnowany w niektórych państwach Zachodu kult małych ojczyzn, który staje się szczególnie ważny w postępującej współcześnie globalizacji, unifikacji kulturowej za sprawą aktywnych w tej dziedzinie mediów. Kiedy przez parę lat pod koniec ub. wieku zajmowałem się promocją polskiej kultury w Austrii, miałem możliwość zauważyć, jak bardzo tam dba się o tożsamość kulturową poszczególnych regionów. Prawie każda większa miejscowość posiadała własne muzeum i szczyciła się wywodzącymi z niej postaciami kultury, pisarzami, plastykami, muzykami, gromadziła pamiątki, organizowała ekspozycje, utrwalała pamięć swoich zasłużonych odpowiednimi tablicami. Sadzę więc, że zbiór wierszy Józefa Barana pt. *Borzęcin* będzie taką tablicą, która utrwala wiedzę o poecie w Borzęcinie, a Borzęcin na mapie Polski. Lepszego znaku towarowego nie mogła sobie gmina zafundować. Uważam, że jest to znakomita forma promocji, działająca w obie strony, i miejsca urodzenia poety i jego twórczości.

Wybór ten wyraźnie ułatwi czytelnikowi tekstów Józefa Barana rekonstrukcje jego osobowości poetyckiej, inspiracji artystycznych, wśród których – śmiem twierdzić – kraj lat dziecinnych odgrywa naczelną rolę, wraca więc i w poezji uzależnienie od tej tematyki, w reportażach z podróży (nostalgia), w dziennikach.

Prezentowane w tym tomie wiersze i fragmenty dzienników ujęte są w układzie chronologicznym. I tak z tomu *Nasze najszczersze rozmowy* (1974) znalazło się tutaj czterdzieści wierszy, z *Dopóki jeszcze* (1976) – jedenaście, z *Na tyłach świata* (1971) – siedem, z *W błysku zapałki* (1979) – jeden, z *Pędy i pęta* (1984) – sześć, ze *Skarga* – osiem, z 115 wierszy (1994) – czternaście, z *Dom z otwartymi ścianami* – dwanaście, z *Dolina ludzi spokojnych* (2001) – pięć, z *Taniec z ziemią* (2006) – dziewiętnaście, z *Rondo* (2009) – dziesięć, z *Nowych wierszy* – dwanaście i fragmenty z dzienników *Koncert dla nosorożca* (2005), *Przystanek marzenie* (2008) i *Spadając, patrzeć w gwiazdy* (2013).

Czy z przywołanego tutaj zestawienia można wysnuć jednoznaczne wnioski dotyczące częstotliwości pojawiania się tematu rodzinnych okolic w poszczególnych fazach twórczości autora? Jakichś jednoznacznych – nie. Nie da się tutaj wytyczyć np. wyraźnej linii wznoszącej czy opadającej. Mimo to pewne konstatacje się jednak narzucają. Najwięcej tekstów, bo czterdzieści, pochodzi z debiutanckiego tomiku, potem w latach osiemdziesiątych ta liczba spada do kilku, by w latach dziewięćdziesiątych, gdy twórca osiągnął już pewien wiek i stabilizację poetycką, te liczby wzrosły do siedemnastu, czternastu, dwunastu, w 2006 – do dziewiętnastu czy w *Nowych wierszach* – dwunastu. Wynika z tego, że najsilniej tematykę związaną z krainą lat dziecinnych Józef Baran eksploatował w początkowej fazie twórczości, potem mamy kilkunastoletnie spowolnienie i ponowny do niej powrót, mniej więcej do połowy lat dziewięćdziesiątych ub. wieku aż do dzisiaj.

Skoro jesteśmy w kręgu rozważań statystycznych, odnotujmy jeszcze dwie kwestie: częstotliwość pojawiania się nazwy Borzęcin w tytułach utworów oraz – ile razy określa nią autor miejsce powstania wiersza. Odnośnie do pierwszej; otóż nazwa miejsca urodzenia poety w tytułach wierszy występuje dość rzadko; cztery przypadki: *Lipcowa niedziela w Borzęcinie, Bukolika borzęcka, Pierwszolistopadowy dialog z borzęckimi mogiłami i Niedziela w Borzęcinie.* Znacznie częściej pojawia się Borzęcin jako informacja o miejscu powstania utworu wraz z datą. Dwadzieścia trzy wiersze zostały w tę notę zaopatrzone. Warto je tu przytoczyć, a więc: *Legenda o śpiących domach* (Borzęcin 1969), *Pastorałka przewrotna* (Borzęcin 1970), *Krótka rozprawa z filozofem w barze pod Uszwicą* (Borzęcin 1985), *Życie w zenicie* (Borzęcin 1985), *Śmierć wujka Bacha – wyprawiacza ptaków* (Borzęcin, *maj 1991), Pochyla się ku jesieni ziemia (Borzęcin 30 VIII 1990), Baśń podjesienna* (Borzęcin 1958/1990), *** [*nie przyjeżdżaj tu gdzie*] (Borzęcin 1991), *Ballada przed pierwszą komunią* (Borzęcin 1990), *Porwanie domu* (Borzęcin 1993), *Wspomnienie wieczornej letniej burzy* (Borzęcin, lipiec 1996), *Nawoływania* (Borzęcin 1998), *Tutaj* (Borzęcin 1997), *Mała kosmogonia lipcowa* (Borzęcin, czerwiec 2002), *A wody płyną i płyną* (Borzęcin, lato 2002), *Dzień jak co dzień* (Borzęcin 2003), *Symfonia* (Borzęcin,1 maja 2008), *Rozmowa z ptaszkiem w słońcu* (Borzęcin, lipiec 2007), *Uczę się od mrówki* (Borzęcin, 26 maja 2006). Przypomnienie tych faktów wydaje się istotne, gdyż informują czytelnika o tym, że miejsce urodzenia poety, wspomnienie domu, rodziców i krewnych, przyroda inspirują go do sięgnięcia po pióro, są nieustannym bodźcem wywołującym doznania estetyczne. Częstotliwość, z jaką pisarz sygnalizuje bezpośredni związek z rodzinną miejscowością, ma istotne znaczenie dla interpretowania tego dorobku.

O twórczości Józefa Barana miałem okazję pisać kilkakrotnie, zarówno o jego poezjach, jak i dziennikach. Wiele sądów wówczas wypowiedzianych mogę powtórzyć również dzisiaj, po lekturze tomu *Borzęcin*. Na przykład w *Przedsłowiu* do książki *Pod zielonym drzewem życia* (Kraków 2002) konstatowałem: „Twórczość Józefa Barana jest bardzo przyjazna człowiekowi, nie przestrzega go przed zagrożeniami współczesnej cywilizacji, katastrofą ekologiczną czy innymi niebezpieczeństwami. To raczej pogodna pieśń o życiu, o życiu oswojonym. Ma ona w sobie coś ze stoickich wierszy Jana Kochanowskiego". W późniejszym szkicu o poezjach Józefa Barana *Wyprawa po złote runo* (2003) pisałem: „Dolina ludzi spokojnych to powrót do korzeni, do borzęcińskiej atmosfery, to zespół wierszy, który ongiś powodował, że uważano Barana za poetę nurtu chłopskiego. Do tej tematyki nawiązują tytuły takich wierszy, jak: *Ziemia, Dom, Rodzinne żniwa, Saga o krainie moich ojców, Litania do chleba, Apokalipsa domowa, Śni mi się mama.* Pojawia się tutaj charakterystyczna dla tej problematyki leksyka, a więc ojciec, matka, wuj, siostra, brat, ziemia, jabłonka, stodoła, dom, burza... Wprowadza poeta w świat arkadii swego dzieciństwa, arkadii, w której jest miejsce na urodziny wnuka, śmierć matki, dziadka [...] Józef Baran nie wyrzeka się swego rodowodu, jego przodkowie, jak widać, raz po raz goszczą w tej poezji, Borzęcin, miejsce urodzenia, również, ale zarówno zakres jego zainteresowań poetyckich, jak i metaforyka, i leksyka daleko wybiegają poza krąg podtarnowskiej wsi".

Zanim przejdę do szczegółowych rozważań nad istotą zawartych w tomie *Borzęcin* wierszy, przytoczę jeszcze sąd znakomitej aktorki, wielbicielki poezji naszego poety, Anny Dymnej, która we *Wstępie do Wyprawy po złote runo* (Kraków 2003)

wypowiedziała się niezwykle trafnie o warsztacie poetyckim Barana: „Niczego nie kalkuluje i nie udaje. Umie patrzeć na świat i dostrzega zjawiska, fakty, istoty, rzeczy, które innym umykają, które dla innych w ogóle nie są godne zauważenia. Jest delikatny i nieśmiały, ale czasem bardzo odważny w wyrażaniu uczuć. Patrząc na zwykłe rzeczy – odkrywa i nazywa sprawy najważniejsze. Kilkoma słowami umie boleśnie dotknąć ziemi i sięgnąć gwiazd, w kropli zobaczyć wszechświat, w borzęcińskim sadzie odkryć prawdziwe szczęście".

Po debiucie Józefa Barana w 1974 roku krytycy mieli spore trudności w zakwalifikowaniu tej poezji. Najłatwiej było umieścić ją we wspomnianym nurcie chłopskim namaszczonym przez Henryka Berezę. Sugerowali to i Jerzy Kwiatkowski, i Zbigniew Bieńkowski, i Henryk Czubała, aczkolwiek już wtedy pojawiły się głosy, że jest w niej „sporo rzetelnej, dobrej roboty poetyckiej (Jerzy Kwiatkowski), że „umie trafić do serc ludzkich" (Artur Sandauer), że wieś jest dla Barana punktem wyjścia w świat" (Leonard Neuger). Jakub Ciećkiewicz sugerował natomiast, że osobowość poety kształtowała się na granicy trzech światów: wiejskiej, patriarchalnej rodziny z głęboko zakorzenionymi zasadami etycznymi, robotniczego środowiska i inteligenckiego świata literatury i sztuki. Przy czym ten ostatni z jednej strony stwarzał dystans wobec wsi, z drugiej wyposażał autora w narzędzia umożliwiające poetyckie powroty. Powroty te obecne w całej twórczości Barana mają dwie fazy: pierwsza (trzy kolejne tomiki) sentymentalna, nostalgiczna i druga, obejmująca dojrzały okres twórczości, bardziej zracjonalizowana, wsparta doświadczeniem życiowym, czasem wręcz ekstremalnym (choroba) i zdobytą wiedzą o świecie, bardziej uniwersalna. Stanisław Stabro w najobszerniejszym , jak dotąd, szkicu *Odys zakorzeniony – o poezji Józefa Barana* wprowadza nadto motyw wędrówki przez niejako trzy kręgi: ze wsi do miasta i z miasta w świat z nieustannymi powrotami. Stąd metaforyczny tytuł szkicu *Odys zakorzeniony.*

Krytycy poezji Józefa Barana wielokrotnie zwracali uwagę na funkcję domu w przestrzeni poetyckiej tej liryki, domu, który symbolizuje trwałość, jest oazą, do której się wraca, stałym punktem. Wierszy tej kwestii poświęconych mamy w tomie *Borzęcin* sporo. Pochodzą one zwłaszcza z trzech pierwszych książek, aczkolwiek w następnych też się pojawią ale już w nieco innej optyce. Podobnie funkcje domu akcentował Julian Kawalec w prozie poetyckiej pod takim tytułem. Przy czym autor *Tańczącego jastrzębia* bierze go metaforycznie na plecy i wędruje z nim przez życie, Baran temu „środkowi świata" wyznacza wiele funkcji: ciągłości pokoleń (*Sztuka dom, Spotkanie* – przyjście na świat wnuka i odejście dziadka), gdzie indziej jest on symbolem ciepła domowego z nieodłącznym atrybutem w postaci kota (*Bajka o kotach*), życiowego bezpieczeństwa (Dom II), ostoją tradycji *(Litania do chleba, Wieczerza wigilijna, Szopki*), staje się też elementem rytmu przyrody (*Legenda o śpiących domownikach).* Przychodzi wszakże w życiu podmiotu lirycznego moment, w którym opuszcza tę oazę spokoju, symbol bezpieczeństwa: „gdy wywieziony zostałem w półkoszkach | z ojcowskiego ogrodu | bo skusiłem się na zakazane jabłko wiadomości" *(Ballada o dwu braciach*). W *Drabinie* zaś „musiałeś odejść | z węzełkiem podróżnym | i nie było dla ciebie powrotu | bo drabinę | po której się wspiąłeś | ktoś odsunął na zawsze" i w Bo kto „kto tyle razy | tak jak ja | wykraczał z koła ojcowizny | zakreślonego o północy | święconą kredą przez pradziada | ten już ni razu | ten ni razu | nie zazna spokojnego kąta". Toteż „dziś dom | to już mała szkatułka dzieciństwa z zabytkowymi rodzicami | odnajduję ją w każde wakacje | ukrytą między drzwiami".

Mimo tych pesymistycznych konstatacji bohater liryczny będzie do krainy lat dziecinnych wracał, będzie utrwalał więzy rodzinne, kontemplował przyrodę, znachodził w kontekście z nią ukojenie „będzie się ona mu jawić jako „transcendentny kosmos". Nawiązana ponownie – pisze Stanisław Stabro – przez bohatera więź z prywatną, regionalną »małą ojczyzną« ma go duchowo odrodzić i oczyścić zarazem". Swoją tożsamość utrwala bohater liryczny poprzez konstruowanie mitu rodzinnego, przywołując w licznych wierszach dzieje członków rodziny z różnych pokoleń, a więc: dziadka, babuni, brata, siostry, wuja na czele z postaciami Ojca i Matki. Im poświęca najwięcej wierszy, oni będą wracać w tekstach o domu, będzie śledził ich proces starzenia się, aż do odejścia. Znaczenie tych postaci sygnalizują już liczne tytuły wierszy: *Nasza kwoka nasza matka poranna, Kościół mojej matki, Ojciec jest dziś generałem, Ojciec w szpitalu, Moja mama nie wie co to smutek, Śni mi się mama, Mama opowiada o swoim dzieciństwie, Patrzą na mnie zewsząd oczy Matki, Dwie twarze ojca, Psalm ojcowski, Pożegnanie mamy, Wyznania Mamy.*

W patriarchalnej chłopskiej kulturze Ojciec wykonuje żmudną pracę, by zabezpieczyć byt rodzinie na „wyspie szaleńców | zesłanych na ciężkie roboty" *(Saga o krainie moich ojców*). Jest niekwestionowanym, autorytetem, przewodnikiem duchowym patronem wtajemniczeń we wszystkie aspekty życia. Wyłania się z tych tekstów postać wręcz spiżowa. *Ojciec jest dziś generałem*: „ojciec jest dziś generałem | na równym jak stół | placu zagonów | odbywa przegląd | piechoty łanowy dziesiątków. Legenda o śpiących domownikach: „generał ojciec z mapą pola | na której | zaznacza strategię | przyszłorocznych zasiewów". Ta militarna metafora pełni tutaj wyraźną funkcję nobilitującą. Zwykłe czynności rolnicze zostają tutaj podniesione do rangi zarządzania armią. W tradycji wiejskiej bowiem wojsko, szarża, a zwłaszcza generalska zawsze były wysoko cenione. W wierszu *Dwie twarze ojca* pojawia się temat przemijania, podobnie w tekście *Ojciec w szpitalu,* ale spotykamy go też przy codziennych czynnościach gospodarskich „ojciec zapina stodołę na | ostatni skobel" (*Dom I).*

Postać matki pojawia się w tych tekstach znacznie częściej w całkiem innej tonacji. To postać, w której skumulowały się miłość i poświęcenie, swoista mądrość życiowa, zdystansowana wobec doświadczeń syna wyniesionych spoza społeczności wiejskiej. Jest swego rodzaju westalką strzegącą jak mitologiczne boginie domowego ogniska, gwarantuje stabilność rodziny, jest opoką. Poprzestając na małym ma też swoje marzenia, wyobrażenia o szczęściu. W wierszu *Nasza kwoka nasza matka poranna*: „zrywa się z gniazda | skoro tylko ranne zorze | przypina do myśli skrzydła miłości". W *Kościele mojej matki* podejmuje kwestie jej sfery duchowej, gdzie jej teatrem jest kościół, filharmonią chór kościelny, a książka do modlenia zastępuję poezję. Z czasem pojawiają się w tej poezji tony nowe, wiersze o starości matki: Moja mama nie wie co to smutek „choć krzyżyków siedem dźwiga". Ten tekst rozpoczyna serię wierszy o jej sędziwych latach przez znakomity wiersz *Samotna maratonistka, Mojej 95-letniej mamie, Taka jesteś daleko, Mamie na 97 urodziny, po Pożegnanie Mamy* (19 maja 2013 – moja mowa na pogrzebie mamy w Borzęcinie, w samo południe, piękny dzień).

Osobną, mocną warstwą tej liryki jest przyroda, Natura pisana z dużej litery. Jest ona przyjazna człowiekowi, oswojona. Napisałem wcześniej, że „przyroda i uczucia w wierszach Barana zespalają się w jedno, tworzą nierozerwalną całość", a także: „Autor mocno stąpa po ziemi, nie ucieka w kosmos, nie odwołuje się do wyimaginowanych lasów i łąk, lecz do krajobrazów zapamiętanych z dzieciństwa, z którymi współżyje do dnia dzisiejszego". To moje przekonanie podważył Stanisław Stabro w przywoływanym już szkicu. Po lekturze tekstów w tomie *Borzęcin* muszę przyznać mu rację, kiedy pisze: „W wielu utworach to kosmiczna właśnie więź z przyrodą, z porami roku, odradzaniem się wewnętrznym bohatera, związanym z owym uniwersalnym rytmem, mitem, rytem, wysuwa się na plan pierwszy". To prawda, że poeta mocno stąpa po ziemi, że krajobraz borzęcki go inspiruje, że kontakt z przyrodą stron rodzinnych wyzwala doznania poetyckie, ale jednocześnie je uwzniośla, uniezwykla, nadaje im inny wymiar. Borzęcin, jego przyroda stają się w tych wierszach częścią kosmosu. Na dowód przytoczę choćby parę tytułów: *Bukolika borzęcka, Baśń podjesienna, Krótka adoracja królewskiej lipy* („cóż mówić o kosmosie"), *Lipowy tren, Majowe zaklęcia, Kolejny obrót lata wokół słońca, Mała kosmogonia lipcowa, Epifania wiosenna.*

Nie miejsce tutaj na szczegółową charakterystykę liryki Józefa Barana. Myślę, że tych parę sugestii interpretacyjnych wystarczy. Zgromadzone tutaj teksty skupione są wokół jednej osi: Borzęcin, a zatem zagęszczenie w jednym tomie wybranych motywów z jednej strony zniekształca perspektywę, robi wrażenie, że poeta jest autorem jednego tematu, z drugiej pozwala wyraźniej dostrzec aspekt autobiograficzny tej twórczości. Aczkolwiek od razu trzeba zastrzec, że to obfite czerpanie ze źródeł autentycznych zostaje poddane gruntownej obróbce poetyckiej, poeta nadaje mu głębszy sens, pozwalający na refleksję na temat życia, przyrody, kosmosu. W poezji Barana Borzęcin, dom, rodzina, natura podlegają sakralizacji, uwzniośleniu, nabierają aspektu egzystencjalnego.

Zwracałem dotąd uwagę na warstwę tematyczną tomu, podkreślić jednak pragnę, że jest to po prostu dobra poezja, poezja w trakcie ewolucji, ulegającą zmianie w jej rozwoju. Autor coraz częściej pogłębia metaforyzację szczegółu, nadając mu ogólnoludzkie znaczenie, egzystencjalne. Operuje mistrzowską metaforyką, umiejętnie rzeźbi w słowie, mocno trzymając się konkretu, znakomicie obdarza go szerszym wymiarem, Borzęcin staje się punktem centralnym w kosmosie. Twórczość Barana, aczkolwiek osobna, oryginalna mieści się w polskiej tradycji liryki czarnoleskiej, poezji Leśmiana czy prozie Brunona Schulza (widoczne tu i ówdzie autoironia, elementy groteski).

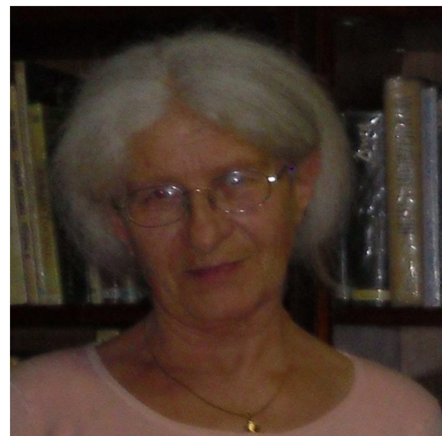
Józef Baran jest nie tylko znakomitym poetą, ale również od pewnego czasu prozaikiem. Zamieszczone w tomie *Borzęcin* fragmenty trzech dzienników, a mianowicie z *Koncertu dla nosorożca* (2005), *Przystanku marzenie* (2008) i *Spadając, patrzeć w gwiazdy* (2013), są tego najlepszym dowodem. Tę formę literackiej wypowiedzi tak scharakteryzował autor w pierwszym dzienniku: „Moje pisanie dziennika kojarzy mi się niekiedy z czynnością zapamiętaną z dzieciństwa i polegającą na ubijaniu w beczce gołymi stopami zszatkowanej kapusty… Kapustę się soliło warstewkami, dodawało kopru, marchwi, nawet jabłek. W dzienniku myśli, obrazy, sceny, nastroje… przyprawiam, ubijam, zagęszczam i zagęszczam…". Niezwykle trafne, metaforyczne określenie czynności pisarskiej autora dziennika, utworu sylwicznego, składającego się z wielu warstw.

W *Borzęcinie* Baran wypreparował z tej beczki wspomnień jedną warstwę, tę która dotyczy kraju dzieciństwa. Nic więc dziwnego, że tutaj nazwa Borzęcin powraca raz po raz: „Pięć dni w Borzęcinie", „uciekam na trzy dni do Borzęcina", „…I znów na ojcowym zastodolu w Borzęcinie". Powroty tutaj mają dla poety istotne znaczenie, pozwalają się odrodzić, zrzucić z siebie miejską powłokę. „Jutro uciekam na trzy tygodnie do Borzęcina między ptaki, zwierzęta, drzewa. Może dojdę do siebie, to znaczy przestanę żyć powierzchniowo". Te powroty do arkadii pełnią też wobec narratora wiele innych funkcji. Pozwalają mu obcować z naturą. „Uspokojenie w lesie, skąd oderwałam się kiedyś jako wolny atom. Między kuzynkami: brzozami, choinkami, korczyną… Szukam jeszcze na mchu swoich śladów. Próbuję sobie przypomnieć język, którym się posługiwałem przed tysiącami lat z naturą. Natura ciągnie Barana do lasu". Szczególnie regenerujące są te powroty po dalekich podróżach: „... I znów na ojcowskim zastodolu, w Borzęcinie. Prosto z Ameryki […]". „[…] Spadając z nieba zaryłem nosem w ziemię miedzy kapusty buraczane liście i maminy zielony groszek. Czuję jak serce »rośnie« i wypuszcza, jak w przyspieszonym filmie listki".

Tu odbywają się kolejne spotkania z matką, rozmowy z nią o życiu, o starzeniu się, o przemijaniu, na tutejszym cmentarzu żegna ją na zawsze. Tu odżywają wspomnienia ze szkolnych lat, tu konfrontuje się z prostymi ludźmi, jak Głupi Janek, formułując równocześnie refleksje na temat życia, tu rejestruje z nostalgią upływający czas jak w Elegii o stodole: „Ten widok kojarzy mi się z bramą cmentarną na równinie Borzęckiej, której wizytówką jest trupia czaszka i napis „Memento mori". Przez dziurę po »wrotniach« stodoły jak przez Łuk Triumfalny widać na przestrzał las i pola, i łąki, i przelatujące przez nią trzepoczące słońcem motyle. I ścieżkę prowadzącą do drogi, którą kiedyś wyjechałem w świat". Kontakt z rodzinną przyrodą wywołuje w świadomości narratora stany jedności z naturą: „Czasem, gdy jadę na rowerze po borzęckich drogach i dróżkach, czuję się natchniony, poczuciem, że staję się jednością Ze wszystkim co Mnie Otacza i Przenika. Że jestem wreszcie na Jego Obraz i Podobieństwo – o wiele bardziej niż w kościele, gdzie usiłuję się nudzić na mszy, w tłumie drobinek ludzkich, mrówek bożęckich, w ciasnocie mrocznych murów…".

Lektura wybranych tutaj wyimków dzienników Józefa Barana upoważnia do stwierdzenia, że pisarz niezależnie od tego, w jakiej formie się wypowiada, nie przestaje być poetą. Nawet fraza tej prozy jest mocno nasycona metaforyką, niezwykłymi skojarzeniami i ważnymi, egzystencjalnymi stwierdzeniami i pytaniami. Teksty te jeszcze raz potwierdzają to – jak istotną rolę odgrywa w dorobku pisarskim Józefa Barana jego mała ojczyzna.

Czarny Potok, Wielkanoc 2014 roku



DANUTA SUŁKOWSKA

ZA KLAUZURĄ
RZECZ O KLASZTORZE KLARYSEK W STARYM SĄCZU

Wiadomo powszechnie, iż wybitne osobowości miewają doniosły wpływ na ludzi, zdarzenia i miejsca, w których przyszło im żyć. Ich działalność w znacznym stopniu kształtuje rzeczywistość w czasach im współczesnych, a to decyduje o dalszych losach mniejszych i większych środowisk ludzkiego bytowania.

Do takich osób należy Kunegunda (Kinga) – córka Beli IV – króla Węgier z dynastii Arpadów, żona Bolesława Wstydliwego – księcia krakowsko-sandomierskiego, Pani Ziemi Sądeckiej, wreszcie – pod koniec życia – klaryska. (W 1690 roku beatyfikowana, w 1999 roku ogłoszona świętą). Jej wpływ na sprawy polityczne, ekonomiczne i społeczne w księstwie był bardzo ważny, a wkład w rozwój Sądecczyzny i Starego Sącza (którego jest założycielką) po prostu decydujący. Ta Ziemia bardzo wiele jej zawdzięcza. Wiele też zawdzięcza ufundowanemu przez nią klasztorowi Klarysek.

Artykuł ten ukazuje pokrótce źródła i początki ruchu franciszkańskiego w Europie, a potem przenosi czytelnika w czasy współczesne – za klauzurę starosądeckiego klasztoru Klarysek. W ten sposób (i tylko w ten!) można „rzucić okiem" na życie zamkniętej wspólnoty zakonnej.



Święta Klara, obraz z XVII w.

I. Reguła zakonna – od XIII wieku do współczesności

Sytuacja polityczna, ekonomiczna i społeczna w Europie w XII i XIII wieku była mocno skomplikowana i trudna. Do najbardziej niekorzystnych zjawisk występujących w tym okresie w większości krajów europejskich należy zaliczyć pogłębiające się dysproporcje w poziomie życia najbogatszych i najbiedniejszych warstw ludności. Klasy uprzywilejowane – możnowładcy, szlachta i rycerze, a wkrótce również wzbogaceni dzięki rozwojowi handlu i przemysłu kupcy i rzemieślnicy, starali się pomnożyć, często używając przemocy, swój stan posiadania i wpływy. Cierpiała na tym ludność najbiedniejsza. Nie można nazwać tych burzliwych lat czasem spokoju, bezpiecznego życia, ani przykładnego i powszechnego przestrzegania zasad ewangelicznych – szczególnie na Zachodzie Europy, w tym również w Italii.

Dla mocno zaangażowanego wówczas w politykę i inne sprawy świeckie Kościoła katolickiego, z całą pewnością nie był to najlepszy okres, choć jego długa i obfitująca w bardzo dramatyczne momenty historia, zna czasy o wiele trudniejsze. Niemniej życie chrześcijańskie na przełomie XII i XIII wieku wymagało odnowy.

U progu XIII wieku rozpoczął się w dziejach zakonów katolickich Zachodu nowy etap, którego jednym z najważniejszych inicjatorów (obok m.in. św. Dominika) był św. Franciszek z Asyżu (Jan Bernardone). Ten (ur. w 1181 lub 1182 r.) syn bogatego kupca, porzuciwszy majątek, dom rodzinny, a przede wszystkim zabawy i przygody młodości, postanowił żyć według Ewangelii, naśladując Chrystusa. Wkrótce jego proste, ascetyczne życie zyskało podziw i uznanie, szczególnie niższych warstw społecznych, znaleźli się też młodzieńcy, często z bogatych rodów, którzy zapragnęli pójść w jego ślady. Stali się oni towarzyszami Biedaczyny z Asyżu; wspólnie z nim wędrowali głosząc w prosty, niewyszukany sposób słowo boże, pocieszali strapionych i uciśnionych, dawali przykład prawdziwego, pięknego braterstwa.

Program życia swego i swoich towarzyszy zapisał Franciszek w ułożonej przez siebie Regule. Zaczyna się ona słowami: „Reguła i życie Braci Mniejszych polega na zachowywaniu świętej Ewangelii Pana naszego Jezusa Chrystusa przez życie w posłuszeństwie, bez własności i w czystości" (PFr, s. 95). [1] W 1209 lub 1210 r. Franciszek udał się do papieża Innocentego III, który ustnie wyraził zgodę na to, aby bracia żyli według tych zasad. Przez wiele lat Reguła św. Franciszka nie była potwierdzona oficjalnym dokumentem. Dopiero w 1223 r. papież Honoriusz III wydał bullę zatwierdzającą Regułę Braci Mniejszych. W dokumencie tym znajduje się zdanie dowodzące jej wcześniejszego uznania: „Regułę waszego zakonu potwierdzoną przez niezapomnianej pamięci papieża Innocentego III, naszego poprzednika, powagą apostolską wam potwierdzamy" [2].

Ewangeliczne życie Franciszka zachwyciło Klarę (ur. w 1193 lub 1194 r.), wywodzącą się z możnego szlacheckiego rodu Offreduccich z Asyżu. Pod wpływem nauk i przykładu przyszłego Świętego odeszła potajemnie z domu rodzinnego i udała się wraz z przyjaciółką do Porcjunkuli, gdzie czuwali, czekając na jej przybycie, bracia pokutnicy. Tam przyjęła z rąk Franciszka habit pokutny, wyrzekła się świata i poświęciła na wyłączną służbę Bogu. Działo się to w nocy po Niedzieli Palmowej w 1211 lub 1212 r. Po krótkim pobycie w klasztorach benedyktynek, została umieszczona przy odnowionym wcześniej przez Franciszka kościele św. Damiana pod Asyżem, gdzie mieszkała przez 42 lata (do końca życia). W niedługim czasie przyłączyła się do niej młodsza siostra Katarzyna, potem inne panny. Wspólnota Ubogich Pań rozrastała się szybko.

W Kościele katolickim istniała tradycja, iż założyciele męskich zakonów tworzyli również żeńskie wspólnoty, żyjące według tej samej, odpowiednio tylko zmodyfikowanej reguły. Matką II Zakonu franciszkańskiego stała się św. Klara, która duchowość i dzieło św. Franciszka przeszczepiła na grunt niewieści. Obydwoje pragnęli, aby wspólnota San Damiano otrzymała oficjalne zatwierdzenie przyjętego przez Ubogie Panie sposobu życia. Niestety, sprawa ta skomplikowała się. W 1215 roku odbył się sobór Laterański IV, który postanowił, aby nowe zgromadzenia zakonne posługiwały się którąś z istniejących już wcześniej klasycznych reguł. Ponieważ Reguła Franciszka była zatwierdzona ustnie, zatem nie miała rangi „klasycznej" i nie mogła być podstawą prawną dla wspólnoty klariańskiej. Istotnym elementem życia Braci Mniejszych i Pań Ubogich było ewangeliczne ubóstwo, czyli całkowite wyrzeczenie się wszelkiej własności. Nie zakładała tego żadna klasyczna reguła. Dlatego Klara wniosła do papieża Innocentego III prośbę o „przywilej ubóstwa", który otrzymała tuż przed jego śmiercią w 1216 roku. Uzyskanie tego przywileju dawało nowemu zakonowi „(...) bezpieczną i prawną podstawę oraz pozwalało na zachowanie swego charyzmatu odziedziczonego od św. Franciszka" [3].

Zadaniem nowego papieża Honoriusza III była realizacja postanowień soboru Laterańskiego IV. Jednym z legatów apostolskich, którzy w tym celu zostali mianowani, był kardynał i biskup Ostii – Hugolin. Sprawował on funkcję legacką w Toskanii i Lombardii. Po zapoznaniu się z sytuacją zgromadzeń zakonnych żyjących na wzór wspólnoty San Damiano, przedstawił ją papieżowi, który w 1218 roku wydał dla nich bullę. Napisano w niej, iż mogą żyć „tak jak chcą", lecz kardynał ma prawo przyjmować dla nich dobra, które stanowiłyby własność Stolicy Apostolskiej, a przez mniszki byłyby tylko użytkowane. Klara uznała, że nie zgadza się to z przyjętymi przez nią zasadami i postarała się, aby nowy papież potwierdził wydany dla jej wspólnoty przez Innocentego III „przywilej ubóstwa".

W 1218 lub 1219 roku kardynał Hugolin ułożył dla Ubogich Pań pierwszą regułę, tzw. Konstytucje Hugoliańskie. „Mocą tych Konstytucji Ubogie Panie, czyli Damianitki otrzymywały podstawę kanoniczną swego bytu zakonnego w regule św. Benedykta z Nursji, przejęły z niej pewne elementy ustrojowe, np. autonomię klasztorów, tytuł abbadessa dla przełożonej, szkaplerz i płaszcz w ubiorze... i w ten sposób zadośćuczyniły wymaganiom soboru Laterańskiego IV." [4]

Kardynał Hugolin pominął w tym dokumencie sprawę dóbr, zatem poszczególne wspólnoty mogły użytkować dobra będące własnością Stolicy Apostolskiej, lub żyć zgodnie z „przywilejem ubóstwa", jak w San Damiano. W Konstytucjach Hugoliańskich Damianitki zostały nazwane Ubogimi Mniszkami Zamkniętymi. Wprowadzenie klauzury do nazwy zakonu oznaczało, iż ustawodawca uznał ją za szczególnie istotną. W tekście dokumentu podkreśla to z całą mocą. Jak wynika z Konstytucji, zakon składał się z mniszek, które ślubowały klauzurę oraz z „sióstr posługujących na zewnątrz klasztoru". Mieszkały one razem i wszystkie w obrębie klasztoru były grzebane.

W Konstytucjach pominięta została sprawa posługi siostrom przez braci, wiadomo wszakże, iż istniała ze strony Braci Mniejszych opieka duchowa nad klasztorami żeńskimi, którą sprawowali kapelani i spowiednicy. Bracia pomagali też zgromadzeniom Ubogich Mniszek materialnie, głównie poprzez przydzielonych im kwestarzy.

3 października 1226 roku umarł w Porcjunkuli Franciszek. W niespełna dwa lata później, bo już 16 lipca 1228 roku został kanonizowany przez papieża Grzegorza IX – byłego kardynała Hugolina.

Ubogie Mniszki nie były zadowolone z tego, że będąc rodziną św. Franciszka, składają profesję zakonną na imię św. Benedykta, jednak gdy kardynał Hugolin został papieżem, potwierdził daną im wcześniej regułę (Konstytucje Hugoliańskie). Wiele lat trwały starania o jej zmianę. Klarze zależało szczególnie na utrzymaniu charyzmatu ewangelicznego ubóstwa i na ścisłej łączności z zakonem Braci Mniejszych. Starania Klary najbardziej wspierała jej młodsza siostra – św. Agnieszka (Katarzyna), która przeprowadziła reformę wspólnoty Ubogich Pań w Montecelii koło Florencji (na wzór klasztoru San Damiano). Również św. Agnieszka Czeska pilnie dbała o zachowanie franciszkańsko – klariańskiego stylu życia w utworzonym przez siebie klasztorze. Podobnie jak Klara zabiegała (bezskutecznie) u kolejnych papieży, aby „przywilej ubóstwa" dawany niektórym klasztorom nie był wyjątkiem, lecz należał do reguły. Nie zostały też wysłuchane prośby o usunięcie z profesji klarysek imienia św. Benedykta i zredagowanie nowej reguły. Mimo tych próśb papież Innocenty IV potwierdził w 1245 roku Konstytucje Hugolina dla całego zakonu.

Jednak już wkrótce, bo w 1247 roku papież ten zdecydował się ogłosić nową regułę. Zmieniona formuła profesji brzmiała następująco: "Ja, Siostra NN, przyrzekam Bogu i Najśw. Maryi zawsze Dziewicy, błogosławionemu Franciszkowi i wszystkim świętym zachować wieczyste posłuszeństwo według Reguły i sposobu życia danego naszemu Zakonowi przez Stolicę Apostolską, żyjąc przez cały czas mego życia beż własności i w czystości." [5] Formuła profesji była taka sama dla sióstr zamkniętych i posługujących.

Innocenty IV powierzył Braciom Mniejszym niemal cały kanoniczny zarząd II Zakonu św. Franciszka. Tak więc na zakładanie nowych klasztorów żeńskich musiała być zgoda kapituły generalnej I Zakonu, jego Generał lub odnośny Prowincjał mieli być wizytatorami zgromadzeń sióstr, oni też otrzymali prawo zatwierdzania wyboru ksieni w klasztorach Ubogich Mniszek. Uprawnień i obowiązków braci wobec sióstr było wymienionych w papieskim dokumencie bardzo wiele.

Siostry zobowiązane były do ubóstwa indywidualnego, natomiast klasztory mogły „przyjmować i posiadać oraz swobodnie trzymać we wspólnocie dochody i posiadłości." [6] Przestała mieć moc zasada, że są one własnością Stolicy Apostolskiej. Zarządzał nimi mianowany przez Wizytatora prokurator. Otrzymany wcześniej przez niektóre klasztory przywilej ubóstwa był jedynie dyspensą od obowiązującego prawa posiadania.

Brak wyraźnego nawiązania do reguły św. Franciszka oraz możliwość posiadania dóbr i stałych dochodów, bardzo martwiło Klarę, opracowała zatem własną regułę wzorowaną na tej, którą napisał Święty Założyciel dla Braci Mniejszych. Wyznaczyła w niej cztery najważniejsze zobowiązania zakonu, które obecnie stanowią przymioty sióstr klarysek. Są nimi: „zachowanie Ewangelii, posłuszeństwo Ojcu Świętemu, służba kościołowi katolickiemu, pielęgnowanie duchowości św. Franciszka i łączności z rodziną franciszkańską".[7] Używany dotąd przez zgromadzenie w San Damiano tytuł Ubogie Panie został zmieniony na Ubogie Siostry. Klara położyła duży nacisk na wspólnotowość życia, w którym obowiązują zasady: pierwszeństwa modlitwy nad pracą oraz wspólnota pracy i środków utrzymania. Siostry mogły uprawiać ogród na własne potrzeby oraz przyjmować pieniądze jako jałmużnę. Reguła ta została potwierdzona w 1252 r. przez protektora zakonu – kardynała Rinaldo Segni, nie dawało to jednak pełnej gwarancji uznania jej przez Stolicę Apostolską.

Gdy Klara była ciężko chora, odwiedził ją papież Innocenty IV. Uprosiła go wówczas, aby zatwierdził jej regułę, co też uczynił, wydając 9 sierpnia 1253 roku stosowną bullę. Reguła ta obowiązywała tylko w klasztorze San Damiano w Asyżu, jeśli inne zgromadzenie zakonne chciało żyć według niej, musiało otrzymać na to zgodę Stolicy Apostolskiej.

W dwa dni po ogłoszeniu bulli papieskiej, czyli 11 sierpnia 1253 roku Klara umarła. Już w listopadzie rozpoczął się jej proces kanonizacyjny. W sierpniu 1255 roku Klara została ogłoszona świętą przez papieża Aleksandra IV.

W następnych latach powstało wiele klasztorów II Zakonu w różnych krajach Europy. Istniały one w różnych środowiskach, co stwarzało odmienne uwarunkowania bytowe. Wielość reguł oraz samoistność wspólnot, wewnątrz których były różne tendencje dotyczące organizacji życia, sprawiło, że zakon uległ rozchwianiu. To skłoniło papieża Urbana IV do opracowania nowej reguły dla wszystkich klasztorów klariańskich. Została ona ogłoszona bullą 18 października 1263 roku.

Papież ustanowił św. Klarę patronką II Zakonu franciszkańskiego. Było to wyrazem uznania dla jej zasług, jako jego współzałożycielki. Zakon otrzymał w związku z tym nową nazwę. W bulli czytamy: „Przeto My, za radą naszych Braci, postanowiliśmy wreszcie nazwać go jednolicie Zakonem Świętej Klary." [8] Odtąd siostry składać miały profesję zakonną na imię św. Franciszka i św. Klary.

Klasztory mogły posiadać dobra, nad którymi pieczę sprawowali ustanowieni przez ksienię i konwent zarządcy. Ponadto, zgodnie z życzeniem Braci Mniejszych, została cofnięta jurysdykcja tego zakonu nad Zakonem Świętej Klary. Odtąd obydwa zakony miały podlegać wspólnemu protektorowi.

Reguła papieża Urbana IV jest bardzo szczegółowa i obejmuje całość spraw zakonu i klasztoru. Zdecydowała ostatecznie o franciszkańsko – klariańskim charakterze II Zakonu. W następnych wiekach nie tworzono już nowych reguł, powstały tylko stosowne komentarze do już obowiązujących. W czasach późniejszych napisano konstytucje, statuty, zwyczajniki i regulaminy. Świat się zmieniał i trzeba było dostosować niektóre sprawy związane z funkcjonowaniem zakonu i poszczególnych klasztorów do nowych warunków.

Obecnie w II Zakonie franciszkańskim są w użyciu dwie reguły. Klaryski, których Konstytucje oparte są na Regule św. Klary (zatwierdzonej przez papieża Innocentego IV) nazywane są innocentkami, natomiast te, które pozostają przy Regule Urbana IV – urbanistkami.

Siostry klaryski w starosądeckim klasztorze to urbanistki.

II. Klaryski w Polsce – klasztory trzynastowieczne i ich fundatorzy

Powszechnie znana jest prawda, iż słowa pobudzają, ale przykłady pociągają. O słuszności tego stwierdzenia przekonujemy się, śledząc rozwój ruchu franciszkańskiego w średniowieczu, kiedy to za przykładem św. Franciszka i św. Klary wiele panien i liczni młodzi mężczyźni opuszczali domy rodzinne, by poświęcić się Bogu. Powstawało coraz więcej konwentów męskich i żeńskich, w których bracia i siostry – podobnie jak święci z Asyżu – żyli „w posłuszeństwie, bez własności i w czystości".

W pierwszej połowie XIII wieku, a więc jeszcze za życia św. Klary, postało w Europie wiele klasztorów II Zakonu franciszkańskiego. Najwięcej było ich w Italii – wg pisma protektora zakonu Ubogich Pań – kardynała Rinaldo – w 1228 r. istniały tam 24 zgromadzenia zakonne Damianitek. Sposób życia Świętej Matki Klary pragnęły również naśladować kobiety w innych krajach. W krótkim czasie zostały założone klasztory Ubogich Pań m.in. w Hiszpanii, we Francji, na terenie Czech i w Polsce.

Pierwszą polską klaryską była bł. Salomea (ur. w 1211 lub 1212 r.) – córka księcia krakowskiego Leszka Białego i księżniczki ruskiej Grzymisławy. Jako kilkuletnie dziecko została przyrzeczona Kolomanowi, synowi króla Węgier – Andrzeja II i w stosownym czasie została jego żoną. W średniowieczu nie były rzadkością tzw. „białe małżeństwa", kiedy to małżonkowie ślubowali czystość. Było to wyrazem gorliwości religijnej i stanowiło ofiarę składaną Bogu. Takim małżeństwem był właśnie związek Kolomana i Salomei.

W 1215 r. Koloman został koronowany na króla Halicza, a w 1219 r. – po opanowaniu go przez Węgrów – osiadł w nim wraz z Salomeą. Niestety, po dwóch latach książę ruski Mścisław zdobył Halicz i uwięził oboje. Mogli oni powrócić na Węgry dopiero po podpisaniu przez Mścisława porozumienia z królem Węgier. Koloman został wielkorządcą Slawonii – Dalmacji. W 1241 roku w bitwie z Tatarami nad rzeką Sajo został ciężko ranny i zmarł. Trzydziestoletnia Salomea została wdową i powróciła do Polski, gdzie postanowiła założyć klasztor sióstr św. Klary. W 1245 roku przyjęła w Sandomierzu habit zakonny z rąk prowincjała franciszkańskiego Rajmunda, a biskup krakowski Prandota udzielił jej „konsekracji dziewic" (poświęcenie na mniszkę).

Jako datę powstania pierwszego klasztoru II Zakonu franciszkańskiego w Polsce przyjmuje się właśnie rok 1245. Został on wybudowany w Zawichoście i był fundacją bł. Salomei Piastówny i jej brata – księcia krakowsko–sandomierskiego Bolesława Wstydliwego. Wspólnotę zakonną utworzyły siostry, które przybyły z Pragi, przysłane przez św. Agnieszkę. Prawdopodobnie mniszki te przebywały początkowo w Sandomierzu, a po ukończeniu klasztoru w Zawichoście, przeprowadziły się do niego. Nie była to jedyna przeprowadzka tego zgromadzenia zakonnego. Pierwszy polski klasztor Ubogich Pań wzniesiony został na terenie obronnym i miał wszelkie cechy fortecy, dlatego nazywano go „konwentem o 12 basztach". Jednak ani wały obronne, ani baszty nie stanowiły wystarczającego zabezpieczenia w czasie częstych najazdów litewskich, ruskich i tatarskich. Dlatego Bolesław za radą panów krakowskich i biskupa Prandoty postanowił wznieść dla Damianitek nowy klasztor w Skale koło Krakowa. W 1260 r., po świeżym najeździe tatarskim, Salomea otrzymała zgodę papieża na przeniesienie konwentu. Zanim ukończono nowe budynki klasztorne, istniały dwie wspólnoty II Zakonu (od 1259 r.) – dawna w Zawichoście i nowa w Skale. W 1264 roku wszystkie siostry zamieszkały w Skale. Klasztor został bogato uposażony przez Bolesława, Salomeę i wielmożów. 10 listopada 1268 roku Salomea zmarła. Kult pierwszej polskiej klaryski trwał nieprzerwanie przez wieki, co stało się podstawą do podjęcia starań o jej beatyfikację. Zakończyły się one sukcesem w 1672 r.

W Skale siostry klaryski mieszkały ponad pięćdziesiąt lat. Na początku XIV wieku król Władysław Łokietek oddał im kościół św. Andrzeja w Krakowie, a po wybudowaniu

przy nim przez mniszki murowanego klasztoru, całe zgromadzenie zakonne przeniosło się do niego. Stało się to w 1320 roku.

Klasztor Klarysek w Krakowie istnieje do chwili obecnej.

Następne na ziemiach piastowskich zgromadzenie sióstr św. Klary powstało w 1257 roku we Wrocławiu. Jego fundatorką była Anna – córka króla Czech Przemysława Ottokara I poślubiona księciu Henrykowi Pobożnemu. Po śmierci męża, który zginął w 1241 r. w bitwie z Tatarami pod Legnicą, odbudowała konwent Braci Mniejszych oraz zbudowała klasztor Klarysek we Wrocławiu. Pierwsze mniszki przysłała do niego z Pragi jej siostra – św. Agnieszka. Do klasztoru tego wstąpiła córka Anny – Jadwiga, która już w następnym roku po jego założeniu została w nim ksienią. W późniejszych wiekach różne były koleje losu wrocławskiego klasztoru, wreszcie został on skasowany przez władze pruskie.

Z wrocławskiego klasztoru wywodziły się wspólnoty Ubogich Pań w Strzelinie i Głogowie. Po 1327 roku (najazd Jana Luksemburskiego na Śląsk, większość książąt uznaje zwierzchnictwo Luksemburczyków), wszystkie śląskie klasztory klarysek znalazły się poza granicami Polski.

Kolejny konwent sióstr św. Klary na naszych ziemiach został ufundowany w 1280 roku przez św. Kingę w Starym Sączu. Równocześnie z nim zbudowała tu ona klasztor Braci Mniejszych (został skasowany w czasie zaborów przez władze austriackie).

Fundatorka starosądeckich klasztorów w dokumentach urzędowych najczęściej nazywana jest Kunegundą, natomiast w tradycji i legendzie – Kingą. Urodziła się ona ok. 1234 roku jako córka króla Węgier z dynastii Arpadów Beli IV i Marii – córki cesarza bizantyjskiego Teodora I Laskarisa. Jako pięcioletnie dziecko została przyrzeczona księciu sandomierskiemu Bolesławowi Wstydliwemu. Opuściła wówczas dwór rodziców w Ostrzyhomiu i została przywieziona do Polski. Wychowywała się wraz z przyszłym mężem na dworze jego matki Grzymisławy w Sandomierzu. W 1241 r. Tatarzy najechali ziemie polskie, co zmusiło Bolesława i Kingę do ucieczki – najpierw do Krakowa, następnie na Węgry, w Pieniny i na Morawy. Gdy niebezpieczeństwo minęło, powrócili i osiedli w Nowym Korczynie. W tym samym czasie przybyła tam owdowiała siostra Bolesława – Salomea, która stała się opiekunką Kingi, wywierając przez to duży wpływ na młodocianą księżniczkę. Wraz ze śmiercią Henryka Pobożnego, Bolesław zyskał prawo do księstwa krakowskiego. Konieczna była odbudowa państwa, zniszczonego przez Tatarów. Stało się to możliwe, dzięki Kindze, która przekazała na ten cel swój bogaty posag. Po ukończeniu przez Kunegundę 12 roku życia, została ona poślubiona Bolesławowi. Uroczystość odbyła się w Krakowie w 1246 roku. Kinga dzieliła z Bolesławem trudy rządzenia państwem. Jej wpływ na sprawy polityczne i ekonomiczne, a tym samym zasługi dla księstwa były bardzo duże. Doceniając to, a przede wszystkim pragnąc zabezpieczyć małżonkę na przyszłość, książę ofiarował jej w wieczyste posiadanie Ziemię Sądecką. Po jego śmierci w 1279 roku Kinga przybyła do Starego Sącza. Jako „pani i księżna sądecka" rządziła Sądecczyzną i kontynuowała budowę starosądeckich klasztorów i kościołów. Zamieszkała w ufundowanym przez siebie klasztorze, w 1281 r. sprowadziła do niego mniszki ze Skały, następnie zapewniła mu byt materialny, bogato go uposażając. Po przekazaniu praw książęcych żonie Leszka Czarnego – Gryfinie, została klaryską. Złożyła śluby zakonne i otrzymała „konsekrację dziewic" z rąk biskupa Pawła z Przemankowa 24 kwietnia 1289 r. Po trzech latach zmarła w opinii świętości i została pochowana w starosądeckim klasztorze. Jej śmierć, która nastąpiła prawdopodobnie 24 lipca 1292 roku poprzedzała choroba, o której wiadomo tylko, że była długa i ciężka.

Kult Kingi był silny i miał bardzo szeroki zasięg, dlatego też starania o jej beatyfikację zakończyły się sukcesem. Niepamiętność kultu Kingi orzekła Święta Kongregacja Obrzędów 10 czerwca 1690 roku, a papież Aleksander VIII kult ten stosowną bullą zatwierdził. W 1753 r. rozpoczęto starania o kanonizację bł. Kingi. Niestety, wkrótce rozpoczęły się zabory, a wraz z nimi przyszła decyzja o kasacie starosądeckiego klasztoru. Mimo, iż z tej próby klasztor nasz, podobnie jak krakowski, wyszedł zwycięsko, nadzieje na szybką kanonizację Pani Ziemi Sądeckiej upadły. Również późniejsze czasy nie sprzyjały realizacji tego zamierzenia. Dopiero 16 czerwca 1999 r. papież Jan Paweł II ogłosił Kingę świętą w czasie Mszy św. kanonizacyjnej celebrowanej na ołtarzu polowym stojącym nadal wśród starosądeckich pól.

Klasztor Sióstr Klarysek w Starym Sączu trwa nieprzerwanie na tym samym miejscu najdłużej ze wszystkich znajdujących się w Polsce konwentów sióstr św. Klary.

W XIII wieku powstał w Polsce jeszcze jeden klasztor II Zakonu franciszkańskiego. Założyła go w 1283 roku w Gnieźnie młodsza siostra św. Kingi – bł. Jolenta (Polacy w Wielkopolsce nazywali ją Heleną, takie imię figuruje też w niektórych dokumentach).

Fundatorka gnieźnieńskiego konwentu klarysek urodziła się ok. 1244 roku. Jej ojciec – król węgierski Bela IV dążył do tego, aby więzi jego królestwa z Polską były jak najściślejsze. W realizacji tych planów politycznych miało pomóc małżeństwo Jolenty z jednym z książąt piastowskich. Dlatego została ona wysłana na dwór Kingi i Bolesława w Krakowie. Tam dorastała pod opieką swojej starszej siostry. Wkrótce też ułożono jej małżeństwo z księciem kalisko–gnieźnieńskim Bolesławem Pobożnym. Uroczyste zaślubiny Bolesława i Jolenty odbyły się w 1256 r. na Wawelu, jednak dwunastoletnia oblubienica, ze względu na zbyt młody wiek, nie pojechała od razu na dwór męża. Udała się do Kalisza dopiero po dwóch latach.

Jolenta uczestniczyła w sprawach księstwa w mniejszym stopniu niż Kinga, jednak jej rola w sprawowaniu władzy również daje się zauważyć. Duży wpływ miała szczególnie na decyzje dotyczące spraw religijnych i kościelnych. Była matką trzech córek, ponadto wychowywała pięcioro osieroconych dzieci Przemysła I – brata Bolesława Pobożnego. Po śmierci męża, który ustanowił swoim następcą Przemysła II (bratanka, który wyrastał na jego dworze), udała się do Krakowa, na dwór Bolesława Wstydliwego i Kunegundy. Była wiosna 1279 roku. W grudniu tego samego roku książę krakowsko–sandomierski zakończył życie. Według Jana Długosza i sugerujących się jego kronikami autorów, Jolenta pojechała z Kingą do Starego Sącza, jednak w dokumentach Przemysła II z 1284 r. i Mszczuja II z 1285 r. wymieniona jest jako zakonnica w gnieźnieńskim klasztorze Klarysek. Bardziej prawdopodobne zatem, że po śmierci Bolesława Wstydliwego wyjechała do Kalisza lub Gniezna, aby razem z Przemysłem II czuwać nad budową konwentu, w którym wkrótce zamieszkała.

Gnieźnieński klasztor został zbudowany przy kościele i klasztorze franciszkańskim. Początek zgromadzeniu zakonnemu klarysek dały siostry przybyłe ze Skały. Książęta – Przemysł II oraz Mszczuj pomorski, a także król Władysław Łokietek obdarowali klasztor licznymi dobrami ziemskimi. Zakonnicami były w nim: córka Jolenty – Anna, cztery wnuczki założycielki oraz córka Przemysła I.

Jolenta zmarła w czerwcu 1298 roku. Była czczona przez wieki, szczególnie w Gnieźnie i Kaliszu. Na początku XVII wieku franciszkanie rozpoczęli starania o jej beatyfikację. Została ogłoszona błogosławioną przez papieża Leona XII w 1827 roku.

W 1798 r. władze pruskie odebrały gnieźnieńskiemu klasztorowi dobra ziemskie, a w 1837 r. skasowały go. Mieszkały w nim wówczas tylko trzy zakonnice, którym pozwolono pozostać tam do śmierci. Gdy umarła ostatnia, rozebrano klasztor. Stało się to w roku 1865.

Jak wynika z powyższego tekstu, do naszych czasów dotrwały tylko dwa klasztory klarysek

założone w XIII wieku – krakowski i starosądecki. W późniejszych wiekach powstało w Polsce więcej konwentów II Zakonu franciszkańskiego. Zarówno klasztory trzynastowieczne, jak również te, które zostały założone później, posiadały dobra ziemskie i stałe dochody, co było zgodne z Konstytucjami Hugoliańskimi oraz regułą papieża Urbana IV ogłoszoną w 1263 r.

III. Formacja zakonna

Dziewczynę przekraczającą próg klauzury klasztornej z zamiarem zostania klaryską, czeka długa droga do profesji wieczystej, której złożenie nie oznacza bynajmniej zakończenia doskonalenia się i umacniania swego powołania zakonnego. Cały ten proces, trwający od wejścia za furtę aż do śmierci, nosi nazwę formacji zakonnej (od łac. formatio = kształt, ukształtowanie).

Kandydatka na mniszkę zgłasza się do klasztoru, przeświadczona, że ma powołanie zakonne. O tym, czy tak rzeczywiście jest, będzie się musiała dopiero przekonać. Pewność w tym względzie musi zyskać również mistrzyni nowicjatu, ksieni i cała wspólnota.

Słowo „powołanie" pochodzi od czasownika „powołać", czyli wezwać, naznaczyć, wybrać, przeznaczyć kogoś do czegoś. Wiele dziewcząt zgłaszających chęć wstąpienia do klasztoru, czuje, nieraz bardzo silnie, że zostały wezwane do poświęcenia się życiu zakonnemu. Niejednokrotnie okazuje się, iż myliły się w swych odczuciach. Aby poznać prawdę, przeważnie wystarczy krótki pobyt w klasztorze, ale bywa też, że potrzeba na to więcej czasu. Jeśli dziewczyna uświadamia sobie, że nie odpowiada jej życie mniszki, a klasztor nie jest miejscem dla niej, oznacza to, że nie ma powołania. Bo powołanie to inaczej skłonność, zdolność, zamiłowanie do określonego sposobu życia, działania, pracy. Jego realizacja daje radość i poczucie spełnienia.

Siostry klaryski, za przykładem założycielki II Zakonu franciszkańskiego – św. Klary, bardzo cenią i pielęgnują ten wielki dar. Mają zawsze w pamięci przekazane im w testamencie słowa swej Świętej Matki o nim: „Wśród różnych dobrodziejstw, które otrzymałyśmy i co dzień otrzymujemy od hojnego Dawcy, Ojca miłosierdzia (2 Kor 1,3) i za które powinnyśmy chwalebnemu Dobroczyńcy całym sercem dziękować, jest wielkie dobrodziejstwo naszego powołania; im zaś ono jest doskonalsze i większe, tym więcej jesteśmy Bogu dłużne." (Testament św. Klary, 2–3)

Aby lepiej zrozumieć, czym jest powołanie i formacja zakonna, należy zapoznać się również, (a może przede wszystkim), z tym, co mówią na ten temat same mniszki. To najbardziej kompetentne źródło informacji. Oto słowa jednej z nich: „Powołanie do życia konsekrowanego nie jest czymś statycznym. Podlega nieustannemu rozwojowi, wymaga współpracy z Bożą łaską. Od samego początku należy je odpowiednio pielęgnować i temu służy formacja, podzielona na poszczególne etapy: aspirat, postulat, nowicjat, okres ślubów czasowych, formacja stała (permanentna) od ślubów wieczystych do końca życia." [9]

Kandydatka na mniszkę zgłasza się do klasztoru z wymaganymi dokumentami i zostaje tam przyjęta przez ksienię, która oddaje ją pod opiekę mistrzyni nowicjatu, czyli siostry odpowiedzialnej za formację zakonną. Tak rozpoczyna się aspirat, który jest okresem przygotowania się do postulatu. Trwa on przeważnie kilka tygodni i nie może być dłuższy niż trzy miesiące. Aspirantka bierze udział w modlitwach wspólnoty, uczestniczy też w życiu nowicjatu. „Spokojnie przygląda się życiu zakonnemu, pogłębia swoją wiedzę religijną. Także wspólnota ma możliwość rozeznania, czy aspirantka może być dopuszczona do kolejnego etapu formacji." [10] Przebieg formacji w czasie aspiratu, w dużym stopniu zależy od tego, jakie podstawy kandydatka wyniosła z domu rodzinnego i szkoły, czyli po prostu – jaką ma wiedzę religijną. Jej uzupełnianie zaczyna się od katechizmu, potem przychodzą inne „przedmioty". Formacja zakonna ma ściśle określony program, zupełnie jak w szkole lub na wyższej uczelni. Jego opanowanie polega nie tylko na przyswojeniu sobie konkretnej wiedzy, ale przede wszystkim na jej zrozumieniu. Ze wszystkich przedmiotów, które przewiduje program aspiratu, postulatu, nowicjatu i profesji czasowej, siostra zdaje egzamin. (Przed złożeniem ślubów wieczystych).

W pierwszym okresie swego pobytu w klasztorze, przyszła zakonnica nosi jeszcze świecką odzież. Dopiero z chwilą rozpoczęcia postulatu przywdziewa strój zakonny; nie są to wszakże szaty, jakie noszą klaryski. Postulantka ubrana jest w czarny strój z charakterystyczną pelerynką; na głowie ma krótki welonik (bez zawicia 1).[11] Podczas postulatu kandydatka przygotowuje się do następnego etapu swego życia w klasztorze. Podobnie jak poprzednio, jej formacją kieruje mistrzyni nowicjatu. Postulat trwa rok i jest okresem, podczas którego ksieni i cała wspólnota mają możliwość dokładniejszego zorientowania się, czy kandydatka jest zdrowa fizycznie i psychicznie, a także czy posiada cechy osobowości, konieczne w życiu kontemplacyjnym i odpowiednią do rozpoczęcia takiego życia dojrzałość.

Rok to sporo czasu; można w ciągu tych dwunastu miesięcy dosyć dobrze zapoznać się z egzystencją, jaką prowadzą klaryski, można zorientować się, jakie mają obowiązki – przepisane regułą i wynikające z życia we wspólnocie klauzurowej. Jest czas, aby zastanowić się, czy na pewno chce się przyjąć te powinności i zostać mniszką II Zakonu franciszkańskiego. Jednym słowem, jest to czas, w którym trzeba próbować odpowiedzieć sobie na pytanie: „Mam powołanie zakonne, czy nie?" Sprawę tę trzeba przemyśleć dogłębnie i trwa to aż do złożenia profesji wieczystej. Decyzja musi być całkowicie wolna i odpowiedzialna.

W czasie postulatu dziewczyna uzupełnia swoją wiedzę religijną, a także, w razie potrzeby, również humanistyczną. Jeśli jest zdecydowana pozostać w klasztorze i jeśli zgromadzenie wyrazi swoją w tej kwestii aprobatę, zostaje po upływie roku dopuszczona do nowicjatu. Przed podjęciem tej decyzji, ksieni sprawdza jeszcze bardzo dokładnie wszystkie dokumenty. Nic nie może być przeoczone, wszystkie dane muszą być gruntownie zbadane i rozważone, aby dopuszczenie było ważne.

Dzień, w którym postulantka zostaje nowicjuszką, to wielkie, radosne święto – przede wszystkim dla samej bohaterki tej chwili, ale też dla całej wspólnoty.

„Nowicjat rozpoczyna się obrzędem przepisanym w rytuale serafickim. Są to tzw. obłóczyny." [12]

Jak wynika z zachowanych opisów, obłóczyny w dawnych wiekach przypominały uroczystości weselne. Dziewczyna wstępująca do Zakonu, ubrana była w ślubny strój, przybywali liczni goście, obecni byli kapłani, czasem również biskup. Po obrzędzie odbywało się przyjęcie. Jeśli nowicjuszka pochodziła z zamożnej rodziny, było ono bardzo wystawne.

W starosądeckim klasztorze jeszcze do niedawna można było zobaczyć piękną i wzruszającą uroczystość obłóczyn, ponieważ odbywała się w kaplicy św. Kingi. Obecnie Kościół przywiązuje szczególną wagę do ślubów zakonnych i na jego życzenie obłóczyny stały się wewnętrznym, „rodzinnym" świętem wspólnoty, zatem ich przebiegu nie mogą zobaczyć osoby z zewnątrz. Ale łatwo je sobie wyobrazić, czytając relację starosądeckiej klaryski:

„O umówionej godzinie wyrusza procesja sióstr ze śpiewem Magnificat do chóru zakonnego. Na końcu procesji idzie Matka ksieni prowadząca postulantkę ubraną w białą suknię i wianek, z płonącą świecą w ręce. Gdy jest więcej postulantek, prowadzą je członkinie rady. W chórze, na początek śpiewamy pieśń do Ducha Świętego, a następnie Psalm 42 /41/, poprzedzony odpowiednim wprowadzeniem. (Psalm ten zaczyna się od słów: >Jak łania pragnie wody ze strumienia, tak dusza moja pragnie Ciebie, Boże!< - przyp. DS). Następnie

przełożona pyta postulantek o co proszą, one zaś odpowiadają odpowiednią formułę. Teraz następuje Liturgia Słowa. Odpowiednio dobrane teksty, szczególnie fragment Ewangelii, mówiący o krzewie winnym i latoroślach. Po odczytaniu Ewangelii, ksieni przemawia do sióstr lub odczytuje rozdział Reguły mający związek z przyjęciem do Zakonu. Następnie nakłada postulantkom habity i białe welony oraz nadaje nowe imiona, które wcześniej siostry wylosowały.” [13]

Imiona te napisane są na odwrocie obrazków przedstawiających świętych. Zanim tam się znajdą, zgromadzenie zastanawia się nad ich wyborem. Uczestniczą w tym również postulantki, które mówią, jakie imiona chciałyby przyjąć.

Ceremonia obłóczyn ma ściśle określony przebieg. Najważniejszym jego elementem jest ubranie postulantki w strój klaryski, które oznacza przyjęcie jej do Zakonu Świętej Klary. Zakładaniu habitu, welonu (na zawicie) i białego sznura (bez węzłów) towarzyszą odpowiednie modlitwy. Przed włożeniem welonu, siostrze obcina się włosy, na znak porzucenia przez nią świata. Na zakończenie uroczystości wspólnota odmawia Modlitwę Powszechną i Modlitwę Pańską.

Nowicjuszka należy już do Zakonu, zatem Matka ksieni i wszystkie siostry witają ją „serdecznym uściskiem pokoju”, śpiewając psalm 34 /33/, którego refren brzmi: „Skosztujcie i zobaczcie jak dobry jest Pan”.

Ksieni oddaje nowicjuszkę pod opiekę mistrzyni nowicjatu na kolejne dwa lata jej formacji zakonnej, nazywanej podstawową. W pierwszym roku, tzw. kanonicznym, nie ma odwiedzin rodziny. Jest to rodzaj próby; siostra musi upewnić się, jak znosi długą rozłąkę z bliskimi, wszak życie kontemplacyjne, które chce prowadzić, nie sprzyja częstym z nimi kontaktom.

„Nowicjuszka stara się lepiej poznać swoje powołanie i życie zakonne, przyswoić sobie ducha Zakonu, wspólnota zaś będzie mogła sprawdzić zdatność nowicjuszki.

Nowicjuszka jest wdrażana do postępu w cnotach ludzkich i chrześcijańskich przez modlitwę i ciągłe nawracanie, do kontemplacji Chrystusa i zagłębiania się w Piśmie Świętym, do cenienia wartości życia konsekrowanego, do poznania życia i historii Zakonu Świętej Klary dla przyswojenia sobie jego ducha i posłannictwa, do świadomego i czynnego udziału w liturgii. (...) Nowicjat to czas głębokiego przygotowania do złożenia ślubów. Łączy się to ze zdobywaniem odpowiedniej wiedzy o naturze ślubów i obowiązkach z nich wypływających.” [14]

Jeśli nowicjuszka trwa w swym postanowieniu, aby wieść życie w klasztorze klauzurowym i jeśli wspólnota uzna, że jest do niego zdatna, składa śluby czasowe na trzy lata. Warunkiem ważności profesji jest ukończone 18 lat, odbycie ważnego nowicjatu, dopuszczenie przez ksienię ze stanowczym głosem kapituły, złożenie ślubów bez przymusu, wyraźnie, bez wpływu bojaźni lub podstępu [15] i przyjęcie ich przez ksienię lub jej delegatkę.

Profesję czasową można w razie potrzeby przedłużać do 9 lat (licząc od złożenia pierwszych ślubów). Jak wynika z prostej arytmetyki, od momentu wejścia za klauzurę, do deklaracji na całe życie, czyli ślubów wieczystych może upłynąć nawet 12 lat i 3 miesiące (3 miesiące aspiratu + 1 rok postulatu + 2 lata nowicjatu + 9 lat profesji czasowej). To bardzo dużo czasu na zastanowienie się i podjęcie właściwej decyzji. Zdarza się też, choć bardzo rzadko, że siostra w tym okresie rezygnuje z życia zakonnego.

Uroczystość ślubów czasowych odbywa się publicznie, (choć oczywiście za klauzurą, czyli w kaplicy św. Kingi). Według prawa kanonicznego neoprofeska musi być widoczna dla zgromadzonych w kościele wiernych, a cały przebieg ceremonii winien być dobrze słyszalny. Ponadto każdy kolejny etap obrzędu jest opisywany przez kapłana, aby wszyscy w kościele wiedzieli, co się w danej chwili dzieje. (Widzieć mogą, tylko ci, którzy stoją na wprost kraty oddzielającej kaplicę św. Kingi od części kościoła przeznaczonej dla wiernych). W ten sposób wszyscy obecni w świątyni stają się świadkami ślubów.

Początek uroczystości ma miejsce w Pokoju Papieskim, skąd wyrusza uroczysta procesja do kaplicy. Ksieni prowadzi nowicjuszkę, a wszystkie siostry śpiewają Magnificat. W kaplicy św. Kingi odprawiana jest Msza św. Po Ewangelii kapłan poświęca welon i sznur, po czym pyta neoprofeskę, o co prosi Kościół święty, ona zaś odpowiada: „Proszę o miłosierdzie Boże i przyjęcie mnie do Zakonu Sióstr Klarysek.” Po homilii i następnych pytaniach, modlitwach i śpiewach nowicjuszka składa śluby na ręce ksieni lub jej delegatki, obok której stoją dwie siostry w roli urzędowych świadków. Następnie otrzymuje czarny welon i sznur z trzema węzłami oraz księgę Reguły lub Konstytucji, po czym wpisuje tekst ślubowania w Księdze Ślubów i podpisuje go. Swoje podpisy składają też: ksieni, świadkowie i celebrans. Po ślubach kontynuowana jest Msza św.

„W tym dniu neoprofeska trwa na modlitwie przed Panem. Nie rozmawia z siostrami, ani z gośćmi. Dzień następny jest radowaniem się z najbliższymi.

Profeska czasowa jest zobowiązana do przestrzegania Reguły i Konstytucji, winna też brać udział w chórowym odprawianiu Liturgii Godzin. W dalszym ciągu uzupełnia pod kierunkiem mistrzyni swoją formację zakonną. Stara się zdobyć jak najszerszą wiedzę o nauce Kościoła i jak najpełniej ją zrozumieć, pomaga w obowiązkach i doskonali swoje umiejętności „zawodowe” (np. haft, szycie, praca biurowa, gra na instrumencie).” [16]

Konstytucje Zakonu Klarysek formułują obowiązki profesek czasowych następująco: „Przez cały okres ślubów czasowych mniszka stara się usilnie o uzupełnianie podstawowej formacji nowicjackiej, w sposób odpowiadający dojrzałości osoby, więzom złożonych ślubów, przygotowując się do profesji ostatecznej i uroczystej.” [17]

Po upływie przepisanego czasu, jeśli czuje się gotowa do podjęcia na zawsze obowiązków życia kontemplacyjnego, zwraca się (na piśmie) do Matki ksieni i zgromadzenia z prośbą o dopuszczenie do profesji wieczystej.

Aby profesja wieczysta (ostateczna) była ważna, wymagane jest ukończenie przez siostrę 21 lat życia, pozostałe warunki są takie same, jak w przypadku ślubów czasowych.

Siostra przygotowuje się duchowo do złożenia profesji ostatecznej odprawiając rekolekcje.

Ceremoniał uroczystości złożenia ślubów wieczystych jest niemal identyczny z obrzędem profesji czasowej. Wzbogacony jest tylko kilkoma symbolicznymi, właściwymi dla tego aktu elementami.

IV. Rytm klasztornych dni

Gdyby ktoś zapytał nas – ludzi świeckich, co będziemy robić np. w południe za rok, jeśli oczywiście doczekamy tej daty, to niemal wszyscy odpowiedzielibyśmy: „Nie wiem”. Jeśli zadalibyśmy to pytanie klarysce, powiedziałaby, że jeśli wypadnie akurat dzień powszedni, to najprawdopodobniej wraz z całym zgromadzeniem odmawiać będzie w chórze zakonnym Anioł Pański i modlitwy brewiarzowe Godziny południowej (Seksty).

Zgromadzenie zakonne żyje zgodnie z ustalonym programem dnia, w którym modlitwy, praca i wypoczynek przypadają o określonych godzinach. Rytm ten nie jest czymś stałym, może się zmieniać zależnie od życiowych potrzeb. Może też ulec zmianie w związku z ważnymi wydarzeniami w życiu Kościoła. Przykładem takiej właśnie sytuacji może być choćby dzień, kiedy to siostry postanowiły zmienić godzinę odmawiania ostatniej modlitwy dnia (Komplety), a także zjeść kolację o innej niż zazwyczaj porze, ponieważ chciały w pewien sposób uczestniczyć (oglądając telewizyjną transmisję) w modlitewnym czuwaniu

młodzieży z Ojcem Świętym Benedyktem XVI w Kolonii. Widać więc, że rozkład dnia nie jest czymś bardzo sztywnym. Można postanowić, że nawet w jednym dniu coś z ważnych powodów będzie inaczej.

Wzmianka o oglądaniu telewizji jest okazją do szerszej informacji na ten temat. I tu posłużę się słowami starosądeckiej mniszki: „Od początku pontyfikatu uczestniczyłyśmy w pielgrzymkach Ojca Świętego Jana Pawła II i różnych nabożeństwach pod Jego przewodnictwem nie tylko w Polsce. Z początku siostry pożyczały telewizor. Był jeszcze czarno – biały. Później pewien dobroczyńca ofiarował nam kolorowy telewizor wraz z magnetowidem. Niestety, gdy zbliżała się kanonizacja św. Kingi, telewizor się wysłużył i nie można było go już naprawić. Zaistniała konieczność kupienia nowego, aby siostry pozostające w domu mogły brać udział w kanonizacji naszej Świętej Matki. Chodzi o siostry starsze, chore i te, które z racji obowiązku musiały być na miejscu, aby godnie przyjąć Namiestnika Chrystusowego.

Z telewizji korzystamy gdy jest program religijny (pielgrzymki papieskie, kanonizacje, inne spotkania modlitewne, chociażby trudne dni kwietnia 2005, gdy uczestniczyłyśmy modlitwą w chorobie i śmierci naszego umiłowanego Ojca Świętego, wybór nowego papieża, inauguracja pontyfikatu)." [18]

Powróćmy jednak do tematu, czyli rytmu klasztornych dni.

Siostry wstają bardzo wcześnie. Po porannej toalecie spotykają się w kapitularzu na wspólnej modlitwie pod Krzyżem. Stamtąd przechodzą do chóru zakonnego, gdzie odbywa się tzw. „Godzina czytań" i pierwsza modlitwa brewiarzowa (Jutrznia). Godzina czytań jest modlitwą brewiarzową, którą można sprawować o dowolnej porze; w starosądeckim konwencie łączona jest ona z Jutrznią. Składa się z hymnu, psalmów i dwóch czytań – pierwsze z Pisma Świętego, drugie z tekstów Ojców Kościoła. Może to też być życiorys świętego czczonego w danym dniu lub fragment jego listu albo przemówienia. Godzina czytań zakończona jest stosowną oracją. W dni świąteczne końcowa modlitwa poprzedzana jest pieśnią „Ciebie Boga wychwalamy".

Następnie siostry udają się do kaplicy św. Kingi na Mszę św. wspólnotową. Po nabożeństwie i dziękczynieniu przechodzą do chóru zakonnego na rozmyślanie (trwa ono pół godziny). Oto jak opowiada o nim Matka ksieni: „Najczęściej jest to medytacja nad tekstami czytań mszalnych, szczególnie nad Ewangelią czytaną (a raczej proklamowaną) w danym dniu. Jest to modlitwa wewnętrzna z przywołaniem w pamięci i wyobraźni wydarzeń, o których czytamy w danym fragmencie Pisma Świętego. Można także tematem modlitwy myślnej uczynić jakieś inne wydarzenie, np. łaskę powołania (dziękczynienie) lub inne aktualne sprawy pomiędzy siostrą a Bogiem. Jest to taka wewnętrzna audiencja." [19]

Po rozmyślaniu siostry odmawiają modlitwy brewiarzowe Godziny przedpołudniowej (Tercja).

Teraz można już zjeść śniadanie. Po posiłku czeka praca – zgodnie z aktualnym podziałem obowiązków we wspólnocie.

Podział zadań zależy od umiejętności, talentów, wiedzy, zainteresowań i potrzeb domu, liczy się też wiek i siły zakonnic, bo przecież starsza, czy niedomagająca siostra nie może otrzymywać „obowiązku" wymagającego dużych sił. Starosądeckie klaryski, podobnie zapewne jak inne zgromadzenia, bardzo troszczą się o słabsze, chore i starsze współsiostry. Opieka nad wymagającymi pomocy zakonnicami jest częścią obowiązków młodszych i zdrowych. Trzeba tu wszakże podkreślić, że nawet siostry w mocno zaawansowanym wieku starają się pracować na miarę swoich sił. Wielokrotnie widziałam w ogrodzie staruszkę w habicie (zgiętą wpół pod ciężarem lat i chyba też z powodu osteoporozy), która pracowicie plewiła grządki, siedząc na niziutkim stołeczku. Od czasu do czasu przesuwała go sobie troszkę dalej, pozostawiając za sobą skrawek oczyszczonego z chwastów rządka marchwi, czy też innej rośliny. To był bardzo wzruszający i budzący szacunek widok.

Wróćmy jednak do najważniejszych domowych zajęć klarysek. Są to prace w kuchni, pralni, w ogrodzie, w archiwum i bibliotece, przy wypieku hostii i komunikantów, w szwalni i pracowni szat liturgicznych, w administracji oraz w kościele. Większość prac na rzecz świątyni wykonywana jest na zapleczu – trzeba się troszczyć o kwiaty w cieplarni, potem komponować z nich bukiety do dekoracji ołtarzy (trochę kwiatów dają życzliwi klasztorowi ludzie, część kupuje się), trzeba zadbać o paramenty liturgiczne. Ważny jest też porządek. W części kościoła dostępnej dla wiernych większość prac porządkowych wykonuje osoba świecka, mimo to dla sióstr zostaje jeszcze wiele do zrobienia. Dlatego codziennie rano i wieczorem, a czasem też w ciągu dnia (zawsze przy zamkniętych drzwiach!) siostry zakrystianki wchodzą do świątyni, aby np. zmienić dekoracje, coś odkurzyć, poprawić, czyli po prostu zadbać o to, „aby wszystko było jak należy".

Podział obowiązków w zgromadzeniu nie jest dokonywany raz na zawsze; co pewien czas – z różną częstotliwością, zależnie od sytuacji – zajęcia sióstr zmieniają się. Bywa wszakże, że niektóre mniszki pełnią jeden „obowiązek" przez dłuższy czas, tak jest np. z pracą w archiwum – tam trzeba się po prostu świetnie orientować i mieć dużą wiedzę historyczną. Również niektóre inne zadania można otrzymać na dłużej, ot choćby wtedy, gdy jest się np. utalentowaną hafciarką. Bo w domu zakonnym – jak wszędzie – dobrze jest, gdy człowiek wykonuje odpowiednią dla siebie pracę, czyli po prostu taką, w której jest dobry i którą lubi.

Tak więc przedpołudniowe godziny dni powszednich są w klasztorze bardzo pracowite. W niedziele i święta wykonuje się tylko niezbędne prace – do takich należy np. przygotowywanie posiłków. Siostry mają więcej czasu na modlitwę i wypoczynek.

W południe klaryski udają się do chóru zakonnego, gdzie odmawiają Anioł Pański i modlitwy brewiarzowe Godziny południowej (Seksta). Potem przechodzą do refektarza, czyli klasztornej jadalni na obiad. W czasie posiłków jedna z mniszek czyta głośno (podobnie jak przed wiekami) fragment pobożnej lektury. Po obiedzie następuje wspólnotowe nawiedzenie Najświętszego Sakramentu w chórze i modlitwy w powierzonych zgromadzeniu intencjach. Trzeba tu wspomnieć, iż wierni (szczególnie pielgrzymi) proszą o bardzo dużo modlitw – zapisują tymi prośbami setki specjalnie przygotowanych w kościele kartek. Siostry sumiennie spełniają te prośby.

Potem można trochę odpocząć. W klasztornym rozkładzie dnia rekreacja zaplanowana jest codziennie, z wyjątkiem piątków i dni pokuty. Ten wspólny wypoczynek ma różne formy. Siostry spacerują po ogrodzie, grają w różne gry, rozmawiają. W pogodne dni miło jest posiedzieć (np. z robótką) w ukwieconym, zielonym wirydarzu i pogawędzić z siostrami. (Czy to nie scenka jakby żywcem przeniesiona z dawnych wieków, kiedy to szlachcianki prowadziły towarzyskie rozmowy wyszywając coś lub dziergając?) Latem rekreacja miewa formę bardzo czynną – siostry gromadnie i wesoło obierają owoce i warzywa na przetwory; nie wolno przecież zmarnować darów Bożych.

Powstały w mojej wyobraźni romantyczny obrazek, acz bardzo ładny, nie uświadamia jednak czytelnikowi znaczenia wspólnego wypoczynku sióstr. Konieczne jest zatem szersze omówienie tych ważnych chwil. Same mniszki mówią o nich następująco: „Rekreacja jako wyraz i znak wspólnoty siostrzanej, należy do bardzo ważnych elementów w budowaniu i umacnianiu jedności naszej rodziny zakonnej."

Niejednokrotnie siostry są bardzo zmęczone, jednak czas przeznaczony na rekreację spędzają wspólnie, ponieważ przywiązują ogromną wagę do bycia razem. Takie chwile mają wielkie znaczenie dla każdej rodziny. Jeśli jej członkowie nie starają się spędzać jak najwięcej czasu razem i szczerze rozmawiać, może nastąpić rozluźnienie więzi między nimi, a nawet rozpad rodziny. Jak wiemy, w klasztorze przez cały dzień obowiązuje milczenie, choć oczywiście siostry porozumiewają się między sobą, czy to podczas pracy, czy w innych sytuacjach, mówią jednak wtedy tylko to, co konieczne. W czasie rekreacji można swobodnie rozmawiać, co sprzyja „budowaniu zdrowych więzi" we wspólnocie.

W Konstytucjach klarysek czytamy: „Wspólna rekreacja jest dla nas chwilą odprężenia wśród codziennych zajęć i okazją do szczerej wymiany myśli i wiadomości w pogodnej radości ducha, abyśmy potem znowu mogły z zapałem podjąć swoje obowiązki." [20]

Wspominałam wyżej o dniach pokuty. Czym ona jest, najlepiej wyjaśnią słowa siostry klaryski: „Pokuta to nie biczowanie, głodzenie się, szkodzenie zdrowiu przez nieroztropne umartwienie. Jest to raczej przyjmowanie z poddaniem się woli Bożej tego, co niesie każdy dzień: zdrowia i choroby, sukcesu i niepowodzenia, wymagań jakie stawiają nam Boże przykazania, śluby zakonne, życie wspólne, klauzura, itp. Oczywiście, że są posty, milczenie, modlitwy pokutne, ale praktyki pokutne nie mogą być celem samym w sobie. Mają nas one uwolnić od przesadnego myślenia o sobie i całą miłość skierować ku Bogu oraz modlić się za innych, którzy wcale albo mało się modlą. Za świętych, aby byli jeszcze świętszymi, a za mniej świętych, by się nawrócili. Jest tyle problemów w Kościele i na świecie, że trudno wymienić jakie sprawy polecamy Bogu w modlitwie, nie zapominając o własnej grzeszności." [21]

W godzinach popołudniowych siostry również na przemian modlą się i pracują. Konstytucje klarysek bardzo wiele miejsca poświęcają modlitwie i pracy sióstr. Znajduje się w nich między innymi taki zapis: „Błogosławimy ustawicznie Pana za to, że dał nam „łaskę pracowania", gdyż w ten sposób możemy:

-zaspokajać poprzez pracę potrzeby życia osobistego i wspólnotowego, jak to czynią wszyscy, a zwłaszcza ubodzy;

– naśladować przykład Pana Jezusa, który chciał oddawać się pracy, aby uświęcić także tę działalność ludzką, ofiarując ją Ojcu wraz z modlitwą za zbawienie świata;

– w życiu kontemplacyjnym łączyć ściśle modlitwę, która całkowicie pochłania nasz dzień, z pracą, która w pewien sposób przedłuża chwałę składaną Bogu i uczestniczy w jej wartości duchowej." [22]

W innym miejscu tenże dokument stanowi: „Posłuszne nauce Pana i uległe poruszeniom Ducha Świętego oddajemy się modlitwie liturgicznej:

– aby szukać Boga w słuchaniu Jego słowa i w kontemplacji tajemnic zbawienia;

– aby Go wielbić i składać dzięki Jego majestatowi;

– aby wypraszać Jego łaski i Jego przebaczenie dla zbawienia świata i dla naszego uświęcenia." [23]

Na popołudniową porę dnia w konwencie przypada czytanie duchowne (życiorysy świętych, dokumenty Kościoła, nauczanie papieskie, teksty o życiu zakonnym i inne). Później nieco siostry odmawiają modlitwy brewiarzowe Godziny popołudniowej (Nona) oraz koronkę do Miłosierdzia Bożego, a w niedziele również cząstkę różańca. Niedługo przed kolacją mniszki znów spotykają się w oratorium zakonnym na rozmyślanie, po którym śpiewają Nieszpory. Wieczorem siostry odmawiają Kompletę, czyli modlitwę na zakończenie dnia.

W bardzo interesującej książce poświęconej życiu zakonnemu w dawnych wiekach, autorstwa siostry Małgorzaty Borkowskiej – *Benedyktynki,* znajduje się rozdział zatytułowany: „Dwadzieścia cztery godziny". Oto jego fragment, który w sposób szczególny odnieść można również do współczesności: „I tak kończył się dzień klasztorny, a następny miał być do niego podobny jak jedna kropla wody do drugiej. Albo może raczej jak jeden szczebel drabiny do drugiego, ale właśnie chodziło o to, żeby każdy następny był, mimo tego podobieństwa, jakimś krokiem wzwyż. Nie przez to, że się czegoś widzialnego dokona, coś uchwytnego zdobędzie, ale przez coraz czystszą intencję, coraz większą cierpliwość, coraz pełniejsze oddanie się Bogu." [24] Każde sanktuarium, każde zgromadzenie zakonne ma jakieś – typowe dla tego miejsca i wspólnoty uroczystości, obrzędy i modlitewne intencje. I tu znów pozwolę sobie zacytować Matkę Teresę: „Od Roku Jubileuszowego 2000 – w każdą sobotę o godz. 10.00 odprawiana jest Msza św. sanktuaryjna (z inicjatywy Księdza kapelana Marka Tabora), jako żywy pomnik Wielkiego Jubileuszu. Pozostawiłyśmy też cząstkę Różańca, odmawianą wieczorem w chórze zakonnym. Przed kanonizacją św. Kingi siostry zakonne naszej diecezji właśnie w soboty ofiarowały modlitwę różańcową za Ojca Świętego, o szczęśliwą pielgrzymkę i innych intencjach." [25]

Aby informacja na temat modlitw sióstr klarysek była w miarę pełna, dodam jeszcze, iż codziennie modlą się one, podobnie jak inne wspólnoty zakonne, w intencjach wskazanych przez Kościół. Są one bardzo różnorodne i liczne, wymienianie ich zajęłoby więc bardzo dużo miejsca. Siostry mówią o nich bardzo krótko, ale jakże wiele jest w tych słowach treści: „Modlimy się za cały Kościół i świat."

Przypisy:

1 O. Cecylian Niezgoda OFM Conv., *Święta Klara z Asyżu w świetle Poverella, Klasztor Sióstr Klarysek,* Kraków 1993, s. 122.

2 Ibidem, s. 123.

3 Ibidem, s. 125.

4 Ibidem, s. 127.

5 Ibidem, s. 134.

6 Ibidem, s. 136.

7 Ibidem, s. 138.

8 Ibidem, s. 141.

9 Notatki osobiste M. Teresy Izworskiej OSC (maszynopis)

10 Ibidem.

11 Zawicie, rodzaj czepka z białego płótna osłaniającego głowę, podbródek i szyję; w dawnych wiekach zawicie nosiły głównie mężatki; był to kawałek białego materiału, (rodzaj chusty lub szala), albo czepek, nieraz bardzo strojny; końce chusty lub dodatkowy pas materiału (w przypadku czepka) owijane były wokół szyi kobiety.

12 Notatki osobiste M. Teresy Izworskiej, op. cit.

13 Ibidem.

14 Ibidem.

15 Ibidem.

16 Ibidem.

17 *Reguła i Konstytucje Mniszek Zakonu Świętej Klary z Asyżu złączonego z Zakonem Braci Mniejszych Konwentualnych,* (tłumaczenie z j. włoskiego), Wydawnictwo OO. Franciszkanów, Niepokalanów 1991, s. 232.

18 Notatki osobiste M. Teresy Izworskiej, op. cit.

19 Ibidem.

20 *Reguła i Konstytucje Mniszek Zakonu Świętej Klary z Asyżu złączonego z Zakonem Braci Mniejszych Konwentualnych*, op. cit., nr. 106, s. 80.

21 Notatki osobiste M. Teresy Izworskiej, op. cit.

22 *Reguła i Konstytucje Mniszek Zakonu Świętej Klary z Asyżu złączonego z Zakonem Braci Mniejszych Konwentualnych*, op. cit., s. 84.

23 Ibidem, str. 90.

24 Małgorzata Borkowska OSB, *Życie codzienne polskich klasztorów żeńskich w XVII – XVIII wieku,* Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1996, s. 254.

25 Notatki osobiste M. Teresy Izworskiej, op. cit.

JACEK ROMAŃSKI

NIEPEWNOŚĆ ISTNIENIA MICHAELA FOUCAULTA STUDIA NAD CZŁOWIEKIEM



BRONISŁAW KRZYSZTOF

Z cyklu Katedra III, 129 cm, 2008

Michel Foucault przedstawiając w swoich książkach projekt filozofii jako historii nauk uważał, że w poszukiwaniu warunków możliwości powstania wiedzy właściwej każdej epoce, należy sięgnąć pod powierzchnię tego, co nazywamy klasyczną historycznością, tylko tak bowiem możemy poznać w jaki sposób tworzą się nowe epistemologiczne czy antropologiczne pojęcia, formy rozumienia świata, człowieka i jego miejsca w kulturze. Szczególną wagę przypisuje wydarzeniom radykalnym, znaczącym zmianom w sposobie myślenia, które kształtują tożsamość i zmieniają oblicze rozumienia świata w danej epoce. Mniej ważne są dla niego same koncepcje naukowe i filozoficzne, istotny jest dający się określić zbiór faktów, który je umożliwił. [1] Jedno z głównych zagadnień, które Foucault rozważa w tym kontekście, odnosi się do pytania, czy człowiek istnieje i czy istniał kiedykolwiek? Według niego, aby powstała forma – człowiek, jego siły muszą wejść w związek ze światem zewnętrznym, każda forma jest, bowiem kompozycją rożnych (wewnętrznych i zewnętrznych) stosunków lub związków sił. Pyta zatem, o to jaka forma jest efektem kompozycji tych sił w poszczególnych epokach i czy można stwierdzić, że jest nią człowiek.[2] W odróżnieniu od Kanta, wskazując jakie warunki muszą zostać spełnione, aby możliwe było funkcjonowanie określonego systemu wiedzy w danym okresie historycznym, nie opiera się on założeniu konstytutywnych dla reprezentacji aktywnych władzach umysłu. Zdaniem Foucaulta warunków możliwości wiedzy należy poszukiwać w historii nauk. To na tej płaszczyźnie zdolni jesteśmy zdefiniować właściwy danej epoce historycznej zbiór zasad określany mianem episteme tzn. ujawnić pewne szczególne, determinujące nasze myślenie o świecie wydarzenia. [3] Kantowskiej, syntetycznej jedności podmiotu i świata przeciwstawione zostają tutaj pewne niezbywalne nieciągłości, zaburzające przyczynowo skutkowy tok wnioskowania, a tym samym osłabiające prawodawstwo wspomnianych władz jako źródła wiedzy.[4] Równocześnie dzięki wykraczającym poza indywidualne ograniczenia uwarunkowaniom historycznym, jak również poprzez wykazanie trudności związanych z określeniem pojęcia człowieka, znacznie osłabiona zostaje w tym zakresie także rola ludzkiej podmiotowości. Foucault stawia pytanie, czy sposób w jaki uporządkowana została wiedza w naszej własnej epoce historycznej, może być ostatecznie prawodawczy, czy odzwierciedla jakąś niezaprzeczalną prawdę o świecie ? Na początku „Słów i rzeczy" czytamy fragment cytowanej przez J.L. Borgesa chińskiej encyklopedii. Klasyfikacja ówcześnie znanych zwierząt wygląda tu następująco: „ a) należące do Cesarza, b) zabalsamowane, c) tresowane), d) prosięta, e) syreny), f) fantastyczne, g) bezpańskie psy, h) włączone do niniejszej klasyfikacji, i) miotające się jak szalone, j) niezliczone, k) narysowane cienkim pędzelkiem z wielbłądziego włosia, l) et cetera, m) które właśnie rozbiły wazon, n) które z daleka podobne są do much". [5] Poprzez ten cytat Foucault stara się nam uświadomić, że jest możliwy całkiem inny od znanego nam współcześnie i niekompatybilny z nim sposób organizacji świata , który mimo, że funkcjonował w innej epoce, z naszego punktu widzenia i może się okazać niezupełnie zdroworozsądkowy. [6] W momencie, w którym zaczynamy rozumieć, że nasza współczesna wiedza również nie opiera się na neutralnej, niepodważalnej prawdzie może okazać się, że świat, w którym żyjemy, wygląda nagle zupełnie inaczej niż dotychczas sądziliśmy.

W jaki zatem sposób możemy osiągnąć jakąkolwiek wiedzę o rzeczywistości, gdy wobec możliwości nieporządku, czy chaosu wielu możliwych światów nasz zdroworozsądkowy system zaczyna nagle chwiać się w posadach? Foucault uważa, że aby przeanalizować i sproblematyzować systemy wiedzy musimy zrozumieć sposób ich funkcjonowania, starając się równocześnie dociec z jakich przyczyn to, co początkowo tworzyło trzon ich organizacji nagle się zatraca. Z tego powodu historia nie jawi mu się jako ciąg postępujących w logicznym porządku idei, ale raczej jako nieciągłe, naznaczone pewną fundamentalna nieświadomością pole epistemiczne, w którym pewne idee mogą zaistnieć a inne nie. Wspomnianą nieciągłość wiedzy oraz zmiany w jej obrębie Foucault ukazuje na podstawie trzech głównych okresów historycznych (renesansu, klasycyzmu i współczesności), analizując w jaki sposób, w każdym z nich zmieniał się nasz sposób pojmowania rzeczywistości. [7]

W Renesansie, stwierdza francuski filozof, świat starano się zrozumieć poprzez system odwzorowań (similitudes), pokrewieństw, czy pewnego rodzaju powinowactwa pomiędzy przedmiotami. Sądzono przykładowo, że tojad odpowiada ludzkiemu oku z powodu jego uformowania i wyglądu, czyli czarnych nasionek na białym tle, które oko to przypominały. [8]

Aby znaleźć pewne „logiczne" powiązanie sądzono, że roślinki te zdolne były leczyć choroby oczu. Również słowa w tamtym okresie pojmowane były jako rzeczy i posiadały taką sama jak one zdolność do pokrewieństwa, czy oddziaływania. Zdaniem Foucaulta w renesansie to właśnie magia tworzyła system wiedzy (divinatio), deszyfrujący nieodłączne znaczenia, właściwe obiektom w znajdującym się świecie. „Wielka metafora księgi, którą otwiera się sylabizuje i czyta po to, aby poznać naturę, jest tylko widzialną inną stroną, o wiele głębszej przenośni, która umieszcza język po stronie świata, wśród roślin ziół, kamieni i zwierząt." [9]

Zmianę tego porządku zwiastuje powieść „Don Quichote". Cervantes ukazuje swojego bohatera, który podążając renesansowym tropem odwzorowań, spodziewa się, że świat będzie dokładnie odpowiadał przeczytanej przez niego powieści. Okazuje się jednak, że u podstaw jego przekonań tkwi błąd. „Don Quichote zarysowuje negatywny obraz Renesansu: pismo przestało być prozą świata; odwzorowania i znaki zerwały dawny sojusz; podobieństwa oszukują, prowadzą do omamów i niepoczytalności; rzeczy zachowują uparcie swoją ironiczną tożsamość – nie są niczym ponad to czym są; błędne słowa szukają przygód i nie wypełnia ich żadna treść ani odwzorowanie; przestały być oznaczeniami rzeczy, drzemią między kartami ksiąg w tumanach kurzu. Magia, która pozwalała niegdyś rozszyfrować świat, odkrywając pod powierzchnią znaków tajemne odwzorowania, służy już tylko wyjaśnianiu, w niepoczytalny sposób, dlaczego analogie zawsze są zwodnicze". [10] Cała sytuacja wyznacza wspomniany moment nieciągłości, zerwania pomiędzy dwoma systemami wiedzy, a zarazem rozdźwięk w sposobie pojmowania świata. [11]

W Klasycyzmie metoda poznawcza zostaje oparta już nie na podobieństwie, a na rzetelnej metodzie naukowej. Odtąd nie zasadza się ona jedynie na interpretacji znaków i poszukiwaniu odpowiedników, istotne jest natomiast ich uporządkowanie, konstytutywne dla wszelkich form ówczesnej wiedzy. Opisując rzeczywistość, nauka i filozofia tamtego okresu tworzyły nieskończone serie, poprzez co również siły człowieka weszły w związek z siłami zewnętrza spotęgowanymi do nieskończoności. (nieskończoność Pascala, rodzaje nieskończoności u Spinozy, czy Leibniza). Infinitum było jednakże dla niego budzącą trwogę, zewnętrzną siłą, której nie mógł wytłumaczyć, gdyż sam pozostawał ograniczony. Dlatego, aby oswoić myśl o nieskończoności człowiek pragnął ją w jakiś sposób zorganizować czy uporządkować. Poszukiwał zatem elementów skończonych, na których mógłby oprzeć swoje rozważania. Elementy te służące za empiryczną podstawę twierdzeń o rzeczywistości, tworzyły nieograniczone, rozwijające się serie - kontinua. Były nimi np. reprezentujący nazwy język, pieniądz, który reprezentował potrzebę, czy cechy charakterystyczne reprezentujące przedmioty badań historii naturalnej. [12] W okresie tym konstytuuje się zatem nowy porządek, który paryski filozof definiuje poprzez pojęcie rozwijanej w nieskończoność reprezentacji. Zdaniem Foucaulta w epoce klasycznej trudno jednakże poszukiwać człowieka rozumianego jako namacalna, pierwotna realności, która nie podlega władzy dyskursu, lecz pozostaje w bardziej bezpośredniej relacji z naturą,[13] „tam gdzie styka się reprezentacja i byt , gdzie krzyżuje się natura i natura ludzka-sądzimy dziś, że w tym miejscu dostrzegaliśmy pierwotne, niezaprzeczalne i enigmatyczne istnienie człowieka-tam myśl klasyczna umieszczała tylko i wyłącznie władzę dyskursu. To znaczy języka z jego władza reprezentacji." [14] W konsekwencji podważa on istnienie jego istnienie w owym okresie z dwóch względów. Po pierwsze w takim ujęciu byłby on tylko podwojeniem reprezentacji, które odnosiło naturę ludzką do natury w ogóle.[15] Po wtóre, operacje rozwijania do nieskończoności, formowania kontinuów (deploiment) narzucały ideę Boga jako najwyższego rozwinięcia. W tym przypadku kompozycja sił człowieka i sił nieskończoności nie tworzyłaby formy człowieka, lecz formę Boga.[16] Kiedy zatem powstała forma człowieka, kiedy narodził się człowiek? Mówiąc inaczej, w jaki sposób należało zacząć pojmować świat i za pomocą jakich narzędzi, aby mógł on zacząć istnieć jako niezależny podmiot wiedzy? Według Foucaulta nie mogło to nastąpić do momentu, w którym nie runął świat klasyczny.

W XIX w jego zdaniem język wyzwala się z jarzma odzwierciedlania rzeczywistości, które nałożył na niego klasyczny dyskurs. Podobnie jak wcześniej Cervantes, tak teraz to Markiz de Sade, staje się autorem uprzywilejowanym, zwiastującym przełom pomiędzy klasycznością a współczesnością. Jego pisarstwo to z jednej strony ujęte w formę skrupulatnych wyliczanek opowieści o seksualnych ekscesach. Z innego punktu widzenia możemy jednakże rozpatrywać je jako próbę ukazania seksualnego szaleństwa, którego nie da się wysłowić w zbyt ubogim i powtarzającym się języku. Niedopasowanie pomiędzy cielesnym doświadczeniem a językiem, staje się odtąd faktem. [17] Foucault pisze „Sade dociera na skraj dyskursu i myśli klasycznej. Rządzi na ich kresach. Wraz z nim przemoc, życie i śmierć, pragnienie i seksualność zaczną rozwijać poniżej reprezentacji ogromną płaszczyznę cienia, którą, w miarę sił, próbujemy odzyskiwać w naszym dyskursie, wolności i myśleniu. Ale myśl nasza jest tak ograniczona, wolność tak uległa, a dyskurs tak wytarty, że musimy sobie zdawać sprawę, iż w gruncie rzeczy ów cień u spodu jest morzem do wypicia." [18] Na przełomie współczesności i okresu klasycznego pojawia się zatem w myśleniu o świecie kolejny moment zerwania, dla którego znamienna jest pewnego rodzaju głębia, skrywająca to, co nieujawnione i niejasne.[19] Podobnie jak język, który nie jest już widziany jako transparentny lub mogący sprostać zadaniu zatrzymania znaczenia, tak również nauka zwraca się stopniowo ku nie dającym się reprezentować pojęciom, koncentrując się na pęknięciach ciągów, które umożliwiają wgląd w obszary będące niewiadomą, w nich doszukując się przyczyny zjawisk. Metoda naukowa

dostrzegając powierzchowność analizy empirycznych serii przestaje opierać się na ich rozwijaniu, lecz w samych przedmiotach badań poszukuje warunków, dla których mogły zaistnieć w określonej formie. W ten sposób klasyczna seria zostaje rozbita i przerwane zostaje empiryczne kontinuum rozwijane do tej pory w nieskończoność. Ta zmiana optyki doprowadziła do wielu ważnych odkryć. Możliwości wymiany i zysku zaczęto szukać na poziomie pracy, historia języka i fleksja stały się uzasadnieniem dla gramatyki, możliwości powstania życia dopatrywano się bezpośrednio w żywych organizmach. W tym czasie historię naturalną zastępuje biologia, teorie pieniądza - ekonomia polityczna, gramatykę ogólną – filologia. Innymi słowy metafizyce nieskończoności zostaje przeciwstawiona analityka skończoności pod postacią pracy, języka, życia. [20] Zakwestionowanie możliwości bezpośredniej reprezentacji prowadzi tutaj do zainteresowania samym źródłem wiedzy, to podmiot staje się w tej krucjacie poszukiwania sensu jej domniemanym nośnikiem. Można zatem sądzić, że wchodząc w związek z siłami skończoności mógłby komponować formę – człowieka a nie Boga.[21] Okazuję się jednak, że tak nie jest, oddziaływujące na niego czynniki zewnętrze wykraczają bowiem niejednokrotnie poza systematykę, pozostając często niezrozumiałe, a mimo to jest on przez nie w dużej mierze warunkowany. Inaczej mówiąc wiedza o świecie nie jest odtąd dana poprzez reprezentujące nieskończony, zewnętrzny porządek przedstawienia rzeczy, lecz przez zastany skończony dyskurs, w którym zostaje on niejako umieszczony. Przyczyny, które stanowią o treści tego dyskursu pozostają niejednokrotnie ukryte przed nim w głębi, na poziomie, którego nie jest w stanie sobie uświadomić. Poczucie skończoności i niemożliwość uświadomienia sobie racji jego własnego istnienia sprawiają, iż staje się on kimś obcym, oddzielonym od siebie samego. „Fakty, których dostarcza mu jego obiektywna wiedza, obce mu i poprzedzające jego narodziny, przerastają go przytłaczając swoim ciężarem – jak gdyby był tylko obiektem natury, obliczem, które zetrze historia ". [22] Źródło własnego pochodzenia pozostaje zatem dla niego w pewien sposób zakryte. Człowiek „odkrywa siebie w związku z zawsze gotowym już światem – nigdy nie jest współczesny umykającemu źródłu , które prześwieca przez czas rzeczy. Kiedy próbuje się określić jako istota żyjąca, własny początek odkrywa na tle życia, które zaczęło się dawno przed nim (…). Jedynie na gruncie tego co już się zaczęło człowiek może myśleć o tym, czemu przypisuje wartość źródła". [23] Nie można zatem określić momentu, ani przyczyn dzięki, którym powstał byt, określany mianem człowieka. Jego istota wciąż się wymyka, stawiając nas przed obliczem skończoności niczym przed wciąż na nowo powtarzanym pytaniem, na które nie ma odpowiedzi. Od klasycyzmu do współczesności człowiek przechodzi ze stanu, w którym jeszcze go nie było do stanu, w którym już go nie ma a nauki humanistyczne, w szczególności antropologia zdają się jedynie "antropologicznym snem", mistyfikacją.[24] Mają równocześnie na uwadze głoszoną przez Nietzschego śmierć Boga, ludzka kondycja opiera się teraz co najwyżej na dramatycznej niepewności istnienia.[25] Foucault szukając możliwości wiedzy dociera do miejsca, w którym przekraczając podmiotowe, znane z „Krytyki Czystego Rozumu" uwarunkowania, człowiek staje nad skrajem przepaści, w której nie odnajduje ani Boga ani siebie samego. Pisze on jednak „ dyskurs nie jest życiem, jego czas nie jest waszym czasem i w nim nie pojednacie się ze śmiercią. Możliwe, że zabiliście Boga grzebiąc go pod ciężarem tego wszystkiego co powiedzieliście, nie sądźcie jednak, że stworzycie z wszystkiego co mówicie, człowieka, który będzie żył dłużej od niego". [26]

Zdaniem paryskiego filozofa pozostaje jedynie odwołać się do tej przepaści, pęknięcia, czy przestrzeni, która oddziela podmiot od świata rzeczy zastanych, dzięki niej bowiem może on zacząć myśleć i tworzyć na nowo. W ten sposób z samego dna tej niedyskursywnej głębi pojawia się nadzieja a wraz z nią pytanie: z jakimi nowymi siłami wejdą obecnie w związek siły człowieka i jaka nowa forma może się z tego wyłonić, czym ona będzie? Być może taki kontekst poznawczy jest warunkiem nadejścia przepowiadanego przez Nietzschego nadczłowieka? Rysuje się on Foucaultowi jako nowa forma, jako ktoś nasycony witalnością tym, co nieograniczone, urzeczywistnieniem dążenia do wyzwolenia w sobie życia, pracy i mowy. Aby wyjść mu naprzeciw filozofia nie może już odwracać się od tego, co nie jest do pomyślenia, myśl nie może sprzeciwiać się już temu, co niejasne i ukryte, ale musi być z tym bezpośrednio związana. Pęknięcie to, nie może być wypełnione, tkwiąc człowieku jest bowiem końcem i zarazem początkiem myśli. [27]

Przypisy:

1.por. Gilles Deleuze, *L'Ile déserte et autres textes*, Paris 2002, s. 128-129.
2. Gilles Deleuze, *Foucault,* tłum. M. Gusin, Wrocław, 2004 r., s.153.
3. por. Michel Foucault, *Archeologia Wiedzy,* tłum. A. Siemek, Warszawa 1977, s. 232.
4. por. Michel Foucault, *Słowa i rzeczy,* tłum. T. Komendant ,Gdańsk 2000, s. 19 t. I, s. 140 t. II.
5. ibidem , s.8 t. I
6. por. ibidem
7. por. Lisa Downing *The Cambridge Introduction to Michel Foucault*, New York 2008 s. 39-41
8. M. Foucault, *Słowa i rzeczy,* op. cit., s.52. t. I.
9. ibidem, s. 61.
10. M. Foucault, *Słowa i rzeczy,* op. cit., s. 78. t. I
11. por. ibidem, s.60 oraz op. cit., L. Downing s.43
12.por. G. Deleuze, *Foucault*, op. cit., s.155.
13.por. M. Foucault, *Słowa i rzeczy,* op. cit., s. 125 t. II.
14. ibidem s. 125.
15. por. G. Deleuze, *L`Ile deserte,* op.cit., s. 126.
16. por. G. Deleuze, *Foucault,* op. cit., s.155.
17. por. op. cit., L. Downing s. 44 oraz M. Foucault, *Słowa i rzeczy,* op. cit., s. 271- 272 t. I.
18. M. Foucault, *Słowa i rzeczy*, op. cit., s. 273.
19. por. G. Deleuze, *Foucault,* op. cit., s.157.
20. por. G. Deleuze, *L`Ile deserte,* op. cit., p.127-128.
21.G. Deleuze, *Foucault,* op. cit., s. 156.
22. M. Foucault, *Słowa i rzeczy*, op. cit., s.129. t.II.
23.M. Foucault, *Słowa i rzeczy,* op. cit., s. 149. t. II
24. por. G. Deleuze, *L`Ile deserte,* op. cit., s. 128.
25.por. P. Pieniążek , *Suwerenność a nowoczesność*, Wrocław 2009, s. 35 cyt. „ (…) paragraf 125 Wiedzy Radosnej, w której „szalony człowiek" oznajmia śmierć Boga, nie tyle być może określa kondycję człowieka współczesnego w następstwie załamania się religijno metafizycznej wiary w absolutny porządek sensu, wartości, ideałów co odsłania pustkę , która pochłania wszelkie możliwe podstawy gwarantujące tożsamość i jedność świata"
26. M. Foucault, *Archeologa Wiedzy* ed.cit., s 251.
27. por. G. Deleuze, *L`Ile deserte,* s.128-130 oraz G. Deleuze, *Foucault* op. cit., s.159-162 t.II.

Bibliografia

1. Michel Foucault, *Słowa i rzeczy,* tłum. T. Komendant, Gdańsk 2000.
2. Michel Foucault, *Archeologia wiedzy,* tłum. A. Siemek, Warszawa 1977.
3. Gilles Deleuze, *Foucault,* tłum. M. Gusin,Wrocław 2004.
4. Gilles Deleuze, *L'Ile déserte et autres textes,* Paris 2002.
5. Judith Revel, *Le vocabulaire de Foucault*, Paris 2009.
6. Lisa Downing ,*The Cambridge Introduction to Michel Foucault,* Cambridge 2008.
7. Hubert L. *Dreyfus and Paul Rabinow, Michel Foucault:* Beyond Structuralism and Hermeneutics, Chicago 1983.
8. Daniel Giovannangeli, *L'homme en question, Bulletin d'analyse phénomenologique,* Liege, Vol. 1 nr 1 Septembre 2005, s.16-29, http://www.bap.ulg.ac.be/index.html.

MAREK SOŁTYSIK



DRAMAT I TRYUMF MARII WIĘCKOWSKIEJ

Gdzie jest moje miejsce na ziemi
Mały bezpieczny schowek
Gdzie mogę ukryć ból ramion

Przekręcam kluczem zamek
Nieistniejących drzwi
I stoję pośrodku […]
Bez tarczy na nagim sercu
I tylko pieśń mnie osłania.

Z wiersza Marii Więckowskiej



Maria Więckowska, Łuczniczka, autoportret, gwasz, akwarela

Miłośnik malarstwa, który od pewnego momentu zawodowo się styka się z pracami plastycznymi, będącymi niekiedy dziełami sztuki, przez całe życie czeka na taki radosny moment, kiedy wśród prac artystów współcześnie działających znów będzie mógł autorów rozpoznać po obrazach już na pierwszy rzut oka.
Istnieje grupa takich artystów – i to oni, kiedy siła wyższa sprawia, że przestają działać, trafiają pod postacią istotnego śladu, jako obrazy, do miejsca nieśmiertelności: do muzeów, do leksykonów z reprodukcjami. Maria Więckowska należy do tego grona. Była rozpoznawalna i bezwzględnie prawdziwa. Szukała, tak jak radzą profesorowie w Akademii, i znajdywała – dla nas, którzyśmy ją o to prosili: dla widzów. Podawała nam to na obrazach.
Miałem kolegę, nadwrażliwego, jak się okazało, artystę. Życie tego utalentowanego mężczyzny miało się wypełnić udręką. Pewnego popołudnia, kiedy w krakowskiej ASP trwały zajęcia rysunku aktu, trudno było zachować dystans, gdy on, tak do niedawna spokojny, kroczył od pracowni do pracowni i po kolejnych straszliwych rzutach oka, wyławiając spośród wielu i wskazując na nas, asystentów, studentów, profesorów, przygważdżał wszystkich obecnych słowami: – Jesteś wybrany! – Ty także jesteś wybrany!
Tego nie można opisać. Można namalować. Maria Więckowska, która także należała do tych „wybranych", których odkryła intuicja nawiedzonego, malowała stan, aurę, głębię samotności i „wybranych" właśnie, i zagubionych, i wykluczonych. Malowała niewidome dzieci, które pod jej pędzlem podpowiadają nam odpowiedź na pytanie o obraz, strzeżony w sejfach inności, obraz z własnym przeczuciem świata.
Nie to, żeby niezwykłe namalować niezwykle. Rozgrywki czysto formalne to nie domena jej, która już jako dziewczynka miała pewność, że będzie malarką. Malarze próbują naprawiać świat. Ułożyć go na powrót na podobieństwo tego, co się udało w najlepszych dniach stworzenia. I co malarza najpierw zachwyca, następnie zawstydza, a potem oko i rękę zmusza do czujności. Napięcie, które grozi wybuchem, jest obezwładniane łagodnością serca. I wtedy może powstać nowa harmonia. Nadająca się do zamknięcia ramą. Ale te zbiegające się niezwykłości… no, widocznie tak się musiało stać.
Obrazy Marii Więckowskiej, te jej dojrzałe płótna, starannie poustawiane przez artystkę w korytarzu przy pracowni, gdzie również mieszkała, w domu dla ludzi sztuki zwanym PALMA na krakowskim Kazimierzu, nawet w mroku świeciły. Nie, żeby połyskiwały, nie, żeby blejtramy posunęły się w próchno – obrazy Dzidki (tak ją nazywali koledzy, tak chciała) należały do tych nielicznych dzieł, które żyją. Czy działo się to dlatego (po prostu), że malarka po długim okresie gładko i cienko nakładanych farb zaczęła malować z jeszcze większą precyzją, a jeszcze bardziej odważnie – łącząc na jednym płótnie gładkie laserunki, grube impasty, konsekwentnie się posuwające ku pastoso, i, mało tego, nie wahając się, by tak rzec, dokreślić to, co miała do przedstawienia, konturem nawet nie jak z rysunku, na pewno nie jak z grafiki w jakiejkolwiek technice – konturem wręcz ilustracyjnym. Konturem wydobywała postać i ten sam kontur chronił wydobytą postać!
Skąd te postacie przychodzą? Trzeba zobaczyć kilkanaście figuratywnych (w pewnym sensie) obrazów Marii Więckowskiej, zgromadzonych w jednej sali (kiedyś wypożyczała swoje obrazy pensjonariuszom domów opieki) i wtedy można będzie odpowiedzieć na pytanie, czy to prawda, że to są autoportrety wewnętrzne… Twórczości rysunkowej i malarskiej dumnej a uroczej krakowskiej samotniczki towarzyszyła poezja. Domyślamy się, do kogo się zwraca w wierszu, choć Go nie zobaczymy, ponieważ należy do jej wyobraźni, no, więcej, do jej duszy: „Jest zmierzch / Pora ulgi / Ręce moje są rzucone na stół / Bezwładnie. / Wszystkie epoki tkwią / W moich dłoniach. / Nie czyń mi / Ani jednego wyrzutu". Kto ma wysłuchać? Bóg? Architekt wszechświata? Mężczyzna, którym się opiekowała, ale z którym nie myślała się wiązać? A może ojciec, którego zawsze jej brakowało, zmarł nagle, gdy Maria miała cztery lata i pozostała tylko fotografia: ona i ten najbliższy mężczyzna, oficer w wojskowym mundurze? Czy twórczość miała wypełniać braki? Nie, twórczość, tak bogata, dojrzała i trudna, odsuwała te braki, paradoks: malarka doskonale sobie radziła bez nich.
Poza tym zawsze miała się kim opiekować. „Ptaki – pisała – to są moi bracia".
Do tego stopnia potrafiła wykrystalizować świadomość twórczą, że nie miała cienia wątpliwości, iż np. „format już jest częścią obrazu". Zatrzymam się przy tym absolutnie celnym spostrzeżeniu artystki, którego pierwsza część brzmi jak przykazanie: „pamiętać o płaszczyźnie płótna". I jeszcze się zatrzymam przy alchemii malarstwa, przypominającej o sobie w niezbadanych momentach procesu twórczego. I dającej coś, co wprawdzie nie jest cennym kruszcem, ale na pewno jest skarbem, którego nigdy nie będą mieć w ręku ludzie nie zajmujący się sztuką albo ci, co imitują bycie artystą. „Malować tak, aby ci serce zadrżało z zachwytu i radości" – napisała w jednym z rozlicznych zeszytów, które prowadziła od czasu, kiedy po studiach w ASP żyła i pracowała – w sumie więc tworzyła – jako dojrzała malarka. Nie miała usprawiedliwień dla niedociągnięć warsztatu, surowo oceniała własne porażki artystyczne, pozornie zmarnowane tygodnie przebywania z paletą i pędzlami w dłoniach vis-à-vis z jednym płótnem, które mimo jej wysiłków nie zaświeciło. Nie błysło. Nie zawodziła nad tym, lecz analizowała punkt po punkcie, a kiedy natrafiła na słaby punkt, zapamiętywała. Obraz, o którym, może z wyjątkiem kilku żyjących i nieżyjących mistrzów, tylko ona wiedziała, że nie jest dobry, nie wychodził poza pracownię. W każdym razie nie w takim stanie. Poprawiała lub zamalowywała. Nie pozostawiała na później. „Muszę być przekonana do tego, co robię, wbrew wszystkiemu i wszystkim" – napisała nie w jakimś przełomowym czasie, ani nie po 1948, ani nie w 1956, nie w 1968, nie w1980, itd. To był rok 1965, bardzo dobry dla wolnej sztuki plastycznej, dla literatury uwolnionej na jakiś czas od doktryn, od tendencji. Ale właśnie, właśnie – i środowisko, i rynek sztuki, pewnie i decydenci, wszyscy oczekiwali entuzjastycznych akcentów w nowych dziełach malarzy. Te akcenty miały być wynikiem radości z odzyskanej niezależności twórczej. Lecz co mieli robić tak nieliczni spośród prawdziwych twórców, jak Maria Więckowska, którzy nie musieli się tak bardzie cieszyć, kiedy się większość cieszyła? U niej, u artystki, niewiele się zmieniło. Nie musiało się zmieniać. Przecież ona bez względu na prądy, trendy, nakazy, zakazy, zakusy i psikusy, szła własną drogą. Humanistka, uprawiała mądre malarstwo – wiedziała co wyostrzyć, co zamglić. Zawsze malowała róże, które są ponadczasowe, otwarte twarze ludzkie w zamkniętych pomieszczeniach, zamknięte twarze ludzkie w otwartych przestrzeniach, powtarzała, że „wielkość jest w niedomówieniach". Nikt nie miał wątpliwości, nawet kiedy obraz wisiał w półcieniu, w kącie sali podczas wystawy zbiorowej prac członków ZPAP, na jakimś salonie wiosennym czy jesiennym, koledzy wskazywali na to coś, co oprawione w listewki z pozoru było szarawe, ale dziwnie przyciągające: – O, to na pewno obraz Więckowskiej!
To nie takie proste; nie wystarczy znaleźć właściwą formę, aby wywołać i pozostawić wyraz. Nie wystarczy mieć talent kolorystyczny, żeby olśnić świetlistością i głębią. W dobrze namalowanym obrazie musi być wszystko w najlepszym gatunku: kompozycja, konstrukcja, kolor, faktura, idea. Plama barwna położona o trzy milimetry za daleko może zniweczyć wysiłki, w kąt pójdą wtedy najlepsze dążności. Wcale nie wystarczy, że malarz wie, potrafi, że zna sztuczki, że się nauczył rzemiosła, że jest bardzo zdolny albo nawet utalentowany – żeby namalować OBRAZ, trzeba z nim być, żyć dla niego tyle, ile należy. Nawet rok. Konieczność stałej pracy czy to nad



Profil, rysunek ołówkiem

symboliczno-metaforyczną kompozycja malarską, czy nad cyklem rysunków z natury, nazywała orką. Codzienny mozół jest właściwie główną gwarancją wydania plonu. Czego pośród świadomie sobie zadanego trudu poszukiwała Maria Więckowska? Szukała czegoś, co znaczy o wiele więcej niż doskonałe narysowanie, trafne namalowanie – szukała, hm, jakże to dziś niewygodne, prawdy absolutnej, jeśli już nie absolutu na tym swoim niby skromnym poletku. Malowała do końca, przez całe długie życie była w trakcie, nigdy przed i nigdy po. Szczęśliwa męczennica.

Tajemnica nieznanych gwaszy

Maria Więckowska wystawiała obrazy olejne. Wśród nich dokonywała bezwzględnego wyboru. Pokazane dopiero po śmierci artystki jej precyzyjne, oszczędne rysunki, robione czułą kreską, i mistrzowsko niedopowiedziane akwarele o wyszukanych zestawieniach kolorystycznych to już sygnał, że coś bardzo dobrego jeszcze może gdzieś być. Trzeba zajrzeć do teczek, luźnych kartek, papierów, zeszytów. Tam są skarby. Oprawione dziś, po raz pierwszy wyeksponowane, wypełniają dotychczasową lukę w badaniach historii rozwoju warsztatu znakomitej artystki.

Przede wszystkim niespodzianka: gwasze jakże się różnią od obrazów olejnych perfekcjonistki formy! Gwasze są jasne i niby powinny być kolorowe, bo w nich zestawienia najcieplejszej czerwieni z gorącą żółcienia i z bielą o tonach perłowych – a tu nie. Niespodzianka. Konsekwencja, z jaką malarka sprowadza gamę barwną do czegoś, czego się nie widziało w sztuce ostatniego przełomu wieków, budzi podziw i każe się zastanowić, jak to jest zrobione i skąd wzięte? Kompozycje wielofiguralne przywodzą na myśl freski z czasów, kiedy gotyk ustępował miejsca renesansowi – i które przed chwilą zostały odkryte spod warstwy pobiałkowania. Taki efekt. Powaga i delikatność.

To jedna, nowo odkryta karta twórczości Więckowskiej. Z jakiego czasu są te gwasze? Mogły przetrwać, pośród innych papierów, pozbawione dostępu światła, nawet i od lat sześćdziesięciu, od czasu, kiedy młoda malarka pracowała przy polichromii kościoła. A może są późniejsze? Czas w przypadku rozwoju twórczej Więckowskiej nie ma znaczenia. Jej malarstwo rozwijało się nie liniowo, rozrastało się wszerz. „Nie ma wstecznego rzemiosła – pisała – wsteczne może być tylko myślenie".

Jest pośród nowo odkrytych prac także kilka akwarel, gdzie formy – twarze, dłonie, torsy, są malowane jednym kolorem – zielenią Pawła z Werony, błękitem lapis lazuli – i one zdają się być tym brakującym ogniwem w twórczości pięknej samotniczki; to są, można przypuszczać, materiały przygotowawcze do malowania takich olejnych obrazów-reliefów, jak np. Czytająca, w których śmiałe i konkretne pastoso formuje szlachetny profil młodej kobiety z twarzą pochyloną nad książką. Badanie efektu przestrzennego poprzez uprzednie płaskie namalowanie jego wyobrażenia.

Wiedziała chyba wszystko o sztuce komponowania obrazów; w zeszytach uczciwie dzieliła się z przyszłym czytelnikiem mądrymi spostrzeżeniami i pożytecznymi radami dotyczącymi warsztatu, nie ukrywając, że się uczy na własnych błędach.

Oto akwarela: dwie twarze – kobieca, ulotna, pełna świateł, bystra; męska, twarda, zwarta, mułowato statyczna. To wyraz. A forma? Malarka korzysta z doświadczeń kubizmu, obraca te twarze w jednym kierunku, nagina je w przód i znów wyprostowuje – w ten sposób tworzy sugestię trójwymiarowości. Ale nie bawi jej ten jeden trick, chwyt formalny, który mógłby służyć jako logo formistów. Ona – co już jest pierwszą klasą mistrzostwa – potrafi nadać tym swoim twarzom, szyjom, ramionom, włosom, płynność, rysunkowi pędzlem – malarskość. Niebywałe, że mógł się udać tak karkołomny zabieg. Skondensowana w formie postać dziewczyny napinającej łuk, być może autoportret artystki, która uprawiając sporty przewalczyła pewną kruchość fizyczną, byłaby kompozycja ograniczoną kolorystycznie do wyszukanej czerwieni kostiumu, czerni konturu i włosów (z białym blikiem), i nie wiadomo, co by się stało z jej siłą, gdyby nie tło, niby tylko ruszone pędzlem, a przecież rozmalowane w gamie najdelikatniejszych ugrów i tonów perłowych, uprzejmie przechodzących w róż. Monumentalne kobiece półakty, z tajemnicą subtelnie niedopowiedzianych linii, pochłoniętych przez malarskie przetarcia otaczające figurę i tło, z precyzyjnie rysowanymi głowami, twarzami, szyjami, biustem, to zupełnie osobny, nieznany dotąd rozdział w twórczości Marii Więckowskiej. Rozdział opatrzony żywa paginą. Otwarty.

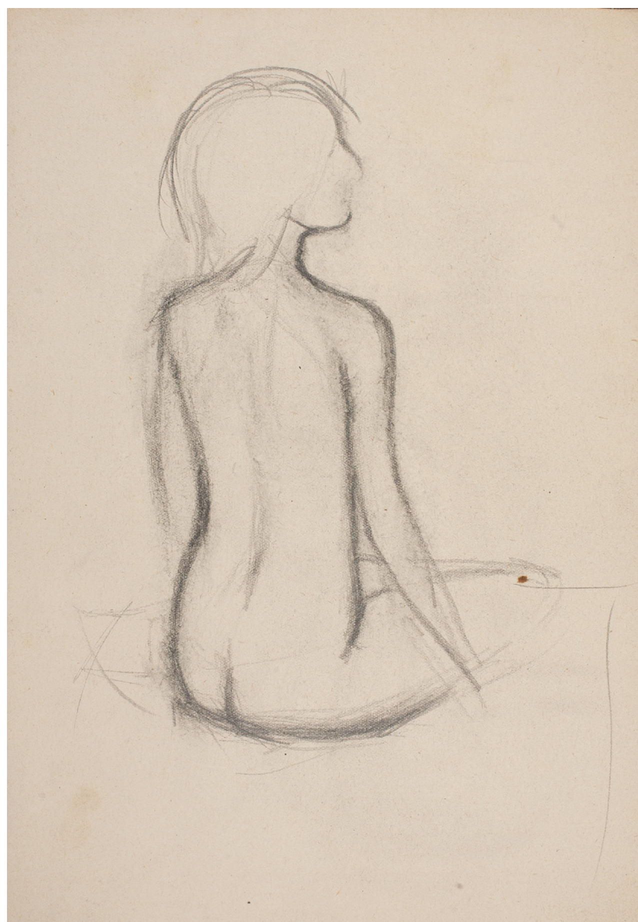
Biografia Marii Więckowskiej
z osobistym akcentem w tle

Moja przygoda z artystką to temat na opowiadanie. Po raz pierwszy, z początkiem lat 60. XX w. zobaczyłem jej obrazy w Sukiennicach, gdzie wśród kramów było stoisko z obrazami członków ZPAP. Obok pejzaży Krakowa, zdobnie oprawnych i o łatwej urodzie, dostrzegłem ciemno-szarawe w tonacji, szlachetne w wyrazie, tajemnicze, trudne, ale inspirujące obrazy w skromnych ramkach. Małe postacie pośród bezkresnych przestrzeni, świetny rysunek twarzy i nagły świetlisty refleks przyciągającego koloru: znak, że obraz oddycha, w dodatku intryguje. Wrył się w pamięć podpis „Maria Więckowska". Dziesięcioletni oglądacz reprodukcji oraz wielkich płócien w galerii na górze, tu, w kramach, mogłem stać i przez kwadrans, oczarowany

obrazami malarki. Takich nie widziałem wcześniej. Z niepowtarzalnymi postaciami, z różami w kolorze indygo… Dziwna, inna, przyciągająca Więckowska, może to wielka artystka? Później oglądałem jej płótna, pośród obrazów innych malarzy, na salonach ZPAP, w Pałacu Sztuki i w Pawilonie Wystawowym. Byłem uczniem PLSP, jednemu z naszych profesorów pomagałem przy przeprowadzce z wybudowanego w latach 60. XX w. domu-plomby na krakowskim Kazimierzu. Skąd nazwa? A, bo to dom dla artystów. PALMA: P – plastycy, A – aktorzy, L – literaci, M – muzycy, A – architekci. W głębi korytarza spostrzegłem otwierające się drzwi. Wyszła szczupła, mocna, czarnowłosa kobieta o jasnej twarzy, ujęła w dłonie stojący przy ścianie obraz, przez chwilę obserwowała dokładnie (pewnie czy przesechł, zapachniało werniksem) i wraz z obrazem znikła za drzwiami. Miałem wrażenie, że trzymała obraz Więckowskiej, ale nie wypadało pytać profesora, zresztą, wolałem tajemnicę.

Potem przez długie lata byłem przekonany, że Maria Więckowska – no, taka artystka! – ma życie wysłane różami. Coraz odważniejsze obrazy na wystawach, doskonałe recenzje, uwielbienie dla jej sztuki Piotra Skrzyneckiego, jego nieudane próby namówienia jej do zasilenia grupy artystów Piwnicy pod Baranami. Słyszało się, że malarka jeździ konno i że pisze… Pierwszy przełom w wyobrażonym wizerunku człowieka. Kiedyś już wspominałem, ale to ważne: pod koniec lat 80. XX w. poszedłem pogadać o twórczości z Jerzym Pankiem, przyjacielem. W mrocznym korytarzu natknąłem się na sterty namalowanych obrazów, które otaczały ścianę naprzeciw pracowni Panka, zostawiając miejsce tylko na drzwi. Coś mnie tknęło. – Jurku – pytam – czyje to obrazy tam pod ścianą? – Dzidki – odrzekł Panek z uśmiechem, który świadczył, że twórczość ceni i osobę lubi. – Dzidka? – mówię zakłopotany. – Nie wiesz? Dzidka, no! Maria Więckowska! – Tam więc mieszkała, tak jak Jurek, w jednym pomieszczeniu miała dom i pracownię. Obrazy się nie mieściły, magazynowała je w korytarzu, nie miała wyboru, musiała mieć zaufanie do ludzi. Choć nie powinna była, ale to inna historia… Wtedy Maria Więckowska trochę dla mnie zeszła z piedestału, stała się bliższa. Bardziej mniszka niż wielkoświatowa dama. Zdaje się, że nie wyjeżdżała za granicę. Jej Paryż to był Jean Louis Baroult, francuski mim, aktor i tancerz, który przyjechał z występami do Krakowa w 1958. Zafascynowana sztuka i osobowością Baroult, Więckowska namalowała wtedy kilka jego portretów, jeden z nich podarowała pięknemu modelowi.

Zawróćmy. Urodzona 16 listopada 1925 w Dęblinie, przeniosła się z rodzicami i siostrą do Jarosławia, tam w 1929 zmarł tragicznie jej ojciec, kapitan Wojska Polskiego; kiedy matka wdowa szyła łatając dziury w budżecie, Maria malowała. W 1938 otrzymała I nagrodę w ogólnopolskim konkursie Polskiego Radia na ilustracje do bajki czytanej na antenie. Wojna, komplety. Po okupacji ukończyła gimnazjum w Jarosławiu i wyjechała do Wrocławia, żeby się uczyć w liceum plastycznym. Nocowała kątem w służbówce bez okna i bez pieca. Mrozy, brak wiadomości; matka, tknięta przeczuciem, zabrała córkę, z poważnymi odmrożeniami, do Jarosławia. Z wiosną Maria wróciła do Wrocławia, w 1947 zdała maturę i po egzaminach dostała się na studia w krakowskiej ASP. Przeszła przez pracownie Czesława Rzepińskiego, Adama Marczyńskiego i Jerzego Fedkowicza, oraz przez nędzę stancji, otrzymanej za opiekę nad małym dzieckiem i za cerowanie. W uzyskaniu miejsca w akademiku pomógł prof. Marczyński, gdy tam jednak przeludnienie osiągało szczyty, zamieszkała u koleżanki. Malowała. Jeszcze podczas studiów dostała wyróżnienie na ogólnopolskiej wystawie malarstwa „Młoda Polska" w Warszawie i nagrodę na Wystawie Sztuki Polskiej w Berlinie. Także w pewnej mierze sukces: z wystawy w ASP ktoś ukradł jej mały obraz przedstawiający troje żydowskich dzieci na łóżku w pustym pokoju. Autorka uznała to za niepowetowaną stratę,



Akt,rysunek ołówkiem

(inną wersję płótna, które uważała za jedno z najważniejszych, zakupiła rzeźbiarka Zofia Woźna). Po absolutorium w 1952 Maria pojechała do Tuchowa, żeby pomagać przy polichromii kościoła. Zarobiła, zimę tedy przeżyła bez trudu, malując w Jarosławiu. Wiosną 1953 zjawiła się w Krakowie, wezwana przez kolegów organizujących grupę artystyczną. Wespół łatwiej poprawić sobie byt. Ministerstwo Kultury i Sztuki zamawia portrety przodowników pracy. Środek lata. Maria straciła równowagę w obliczu śmierci bliskiego kolegi z grupy. Pomaga matka, chorą znowu zabrała do Jarosławia, Wróciła niebawem, choć przetrącona, musiała przecież ukończyła zamówiony portret. Mieszkała u pewnej staruszki na Zakrzówku; gdy do właścicielki przyjeżdżała rodzina, Maria zastawała łóżko zajęte. Wyzna potem, że nieraz sypiała na podwórzu przy psiej budzie. Tułała się po Polsce w poszukiwaniu pracy, wożąc ze sobą i kończąc kompozycję dyplomową, znowu wyczerpana wylądowała w Jarosławiu, etaty w tamtejszym liceum plastycznym były już obsadzone. W 1954 w krakowskiej ASP obroniła dyplom, szukała zajęcia we Wrocławiu, gdzie znów chorą, podniosła ją na duchu dobra wieść z domu: dostała propozycję pracy w liceum plastycznym w Sędziszowie. Tym razem zrezygnowała… na rzecz czegoś intratnego i z przyszłością, mianowicie aspirantury. To odpowiednik obecnych studiów doktoranckich, powiedzmy. Aspirant przez trzy lata otrzymywał comiesięczną wypłatę, miał do dyspozycji modela i pracownię. Było ich kilku, wyłonionych spośród kilkudziesięciu. Maria w 1954-1957 zajmowała się intensywnie pracą twórczą pod opieką Hanny Rudzkiej-Cybis, nocowała nielegalnie w pracowni ASP przy ul. Humberta. Wystawiała obrazy na wystawach zbiorowych, zasiliła szeregi ZPAP, miała dobrych kolegów, którzy odstąpili jej w końcu pokoik przy ul. Miodowej. Był rok 1958, kiedy uzyskała dyplom z



Dzieci w getcie, rysunek tuszem

aspirantury. I nic poza tym. Ona i ci wybrani (w poprzedniej nomenklaturze „kandydaci nauk") po odwilży mogli się pożegnać z myślą o karierze na wyższej uczelni.
Po poważnej operacji i rekonwalescencji Maria imała się różnych zajęć, bywała instruktorką w domach kultury, nauczycielką, dekoratorką wystaw, nie, nie mogła pracować w grupach, to wtedy zachwyciła się sztuką Baroult, a Marią się zachwycił Piotr Skrzynecki. I on, i mający wówczas wysoką pozycję Jerzy Madeyski, w 1959 pisali entuzjastycznie o jej pierwszej wystawie nie byle gdzie, bo pod patronatem ZPAP i CBWA w salach przy Rynku Głównym 25. Drugą jej wystawę indywidualną otwarto w sali ZPAP w Domu Plastyka przy Łobzowskiej (gdzie dziś Galeria Pryzmat) w roku 1961, tuż przed odbywającym się właśnie w tym gmachu Międzynarodowym Kongresie Krytyków Sztuki. – Mimo moich starań – mówiła rozżalona – nie przyprowadzono ani jednej osoby z Kongresu. W tym czasie urządzono bardzo wiele wystaw celem reprezentowania się, moja wystawa zaś, na której urządzenie czekałam od wielu lat, znajdująca się w samym ZPAP, została całkowicie pominięta". Zaiste, dziwne. Praca w szkole nie na jej nerwy, rzuciła ją. Wraz z koleżanką zaprojektowała kukiełki artystyczne do Cepelii. Odznaczenie za to i nagroda w Warszawie, z czasem kukiełki, jako „niehandlowe" przestały przynosić dochód.
Więckowska otrzymała przydział i w 1962 wprowadziła się wreszcie do obiecanej PALMY, żyła ze stypendiów MKiS i ze sprzedaży obrazów. Miała kawałek solidnego dachu nad głową, teraz ona opiekowała się matką, to piękna kolej rzeczy, a kiedy została sama, jej życie stało się pozornie jeszcze bardziej ascetyczne, w istocie jednak robiła to, co powinien robić prawdziwy twórca: rysowała, malowała, pisała wiersze, formułowała spostrzeżenia o istocie sztuki i o warsztacie malarskim, roztaczała opiekę nad niewidomym przyjacielem, ale nie myślała się z nikim wiązać. Krytycy się martwili, że malarka może popaść w manierę – tak była inna, że trudno było darować! W 1965 indywidualne wystawy w Krakowie: „Dziecko żydowskie", w Towarzystwie Społeczno-Kulturalnym Żydów w Polsce, oraz w Domu Kultury Dzieci i Młodzieży – uwaga! – ekspozycja połączona z półrocznym wypożyczeniem obrazów. W 1967 w Warszawie wystawy w Kordegardzie (miała świetną prasę, pisał m.in. Ignacy Witz) i „Dziecko niewidome" w Instytucie Specjalistycznym. Potem już tylko Kraków: 1968 r. w Pawilonie Wystawowym, w 1970 „Dziecko podczas okupacji", w 1979 „Dziecko upośledzone" w Zakładzie Specjalistycznym, w 1974 wystawa w Salonie Sztuki DESA przy Floriańskiej i wreszcie w 1980 r. – piękna retrospektywa w BWA. A co było przez ostatnie trzydzieści lat?! Malowała z doskonałością; nie odsuwając praw życia, docierała do prawdy sztuki. „Dane jej było" wziąć udział w trzech wystawach zbiorowych. Do pracowni zaglądały ptaki, wpadały na chwile motyle. Ładnie.
Kiedyś napisałem, że znakomity malarz i grafik Jacek Sroka przynosił jej obiady – żeby w ferworze pracy nie zapominała o jedzeniu. Mistrz Sroka uściśla: robił dla Więckowskiej zakupy. Ostatnie wakacje spędzała, jak zwykle, twórczo, w okolicach Trzemeśni. Wracając z plenerowymi szkicami pośliznęła się niefortunnie. 17 września 2010 umarła w szpitalu pod narkozą w trakcie operacji złamanej nogi. Nie ma w tym nic dziwnego, że odżywa dla widzów.

Żar i rozwaga
– spełnienie niemożliwego

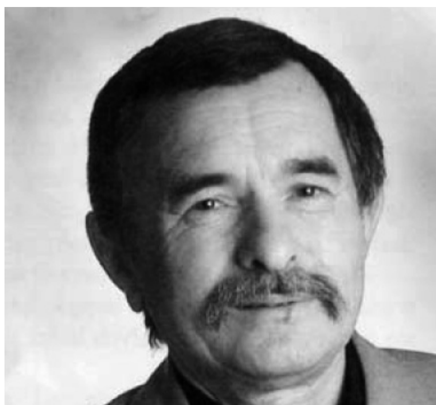
Po raz pierwszy pokazane w kwietniu 2014 studia olejne i szkice Marii Więckowskiej w krakowskiej galerii „Raven" okazują się szczególnie cennym elementem pozwalającym ponowić próbę odnalezienia źródeł fenomenu jej niepowtarzalnej twórczości. Płótna, kartony i tektury wydobyte z zakamarków pracowni przez malarkę i oddane w zaufaniu w ręce znanego marszanda Konstantego Węgrzyna z krakowskiego antykwarycznego Salonu Dzieł Sztuki „Connaisseur", dziś, w trzy i pół roku od śmierci artystki wydobyte na światło dzienne, oglądałem, układając wirtualnie niniejszą ekspozycję. Pierwsza myśl: intymność. Studia i małe wersje przyszłych obrazów to swoisty dezabil (wspaniale się prezentujący, dodam szybko). To coś, co można było zobaczyć nie na oficjalnej wystawie, lecz w pracowni zamkniętej dla obcych. Obrazy bowiem, które pokazywała (ściślej: które decydowała się pokazać) były zazwyczaj zatopione w wytwornych szarościach, tylko gdzieniegdzie z wyszukanym akcentem kolorystycznym. A w szkicach „domowych" – okazuje się, że są gry barwne! Specjalny rodzaj ziemi zielonej połączonej ze starym złotem to kolor, zda się, wynaleziony przez Więckowską. Ten – w zestawieniu z szarawymi ugrami i czerwonawym oranżem „farelki" ogrzewającej nagą modelkę, pozującą swobodnie i bez śladu pretensjonalności – zgarnia w znakomicie skomponowaną całość trzy, by tak rzec, skrzydła tryptyku z aktem. Można stać godzinami i podpatrywać tajniki prawdziwego olejnego malarstwa. Na przykład śmiały dukt pędzla i dyskretną siłę laserunków w płótnach ze studiami realistycznymi, z których – podobnie jak u Andrzeja Wróblewskiego – wyłania się dopiero kreacja, wychodząca poza realia świata przedstawionego – co tu ukrywać, metamorfoza poprzedzona dniami i nocami prób i błędów. Dokonywanych, popełnianych przy sztalugach i nad zeszytem ze zwyczajnym ołówkiem w dłoni – w tym zwinnym narzędziu serca i głowy.
Wiedziała, że nie ma innego sposobu doskonalenia warsztatu; nie musiała sobie powtarzać „ani jednego dnia bez kreski"; od chwili rozpoczęcia studiów malarskich praca przy sztaludze była dla Marii Więckowskiej może nawet nie nakazem moralnym, ile naturalną koniecznością, od pewnego momentu czymś ważniejszym niż regularność i pory posiłków, godziny snu. Wiersze, które pisywała po malarskich seansach, były wytchnieniem od wytężonej pracy. Twórczość i tylko twórczość, nie przeciśnie się jakieś, powiedzmy, hobby. Po co aż tak pracować? Codziennie, systematycznie, z mozołem. Czy nie wystarczy mierzyć się z naprężonym płótnem tylko w momentach natchnienia? Otóż niezupełnie, a raczej na pewno

nie. Tylko autentyczny twórca wie o momentach czystej satysfakcji, zszywającej poszarpane zmysły, dla których podczas artystycznych poszukiwań poświęca się miłość ziemską, życie towarzyskie, wreszcie spokój w czterech ścianach w gronie rodziny. To ostatnie zresztą z jednej strony bywa, zwłaszcza dla chimerycznego artysty, wartością złudną, z drugiej – krzywdzilibyśmy Marię Więckowską biegnąc ku niej z etykietką samotnicy. Uczestniczyła, owszem, próbowała brać żywy udział w akcjach środowiskowych, ale za młodu niejeden raz oparzona, później profilaktycznie usuwała się w cień. Siostrzenica malarki pamięta ją ze swego dzieciństwa jako zadziwiająco inną, nie obnoszącą się z dorosłością osobę dorosłą: tolerancyjną, choć nie lekkomyślną, atrakcyjną, choć nie hałaśliwą, no i przede wszystkim prawdziwą: nie udawała bardziej dojrzałej, nie twierdziła, że jako dorosła wie prawie wszystko.

Dzikie serce, moment piękna
Tajemnica na powiekach artystki
Pielęgnowała swój talent. Jeżeli eksperymentowała – to w ramach tradycyjnego warsztatu (choć nie powiedziała złego słowa o „malarstwie materii", a nawet wręcz przeciwnie; sprzyjała odważnym, zwłaszcza kiedy, spostrzegawcza, konstatowała autentyczność). Nie można sobie wyobrazić, żeby kiedykolwiek pracowała przy sztucznym świetle. Światło dnia jest w jej obrazach – nawet w tych w sensie tematu najbardziej mrocznych. Nie dość, że przeszła przez szkołę mistrzów, dla których kwestia konieczności naturalnego oświetlenia między twórcą o obrazem była bezdyskusyjna, to ponadto eksperymentowała, tworząc na płótnie dodatkową niejako przestrzeń. Łamiąc płaszczyznę, choć jej nie naruszając, stwarzała nowe możliwości dla światła, które musiało się prześlizgiwać i nagle osiąść na formach zbudowanych z gęstej olejnej farby, występujących z powierzchni płótna. Pastoso i impast – i w lekko tylko przeschniętej farbie rysowanie trzonkiem pędzla, gdzieniegdzie, w wyszukanych miejscach w obrębie nowo powstałego rysunku, dokładanie tłustych warstw wyszukanego koloru z pomocą małej szpachli. Z pracowni wychodziły lub pozostawały w ukryciu kompozycje, których wręcz już nie można eksponować w innym świetle niż w tym, w którym zostały stworzone, w takim, jakie jest jedynie słuszne w pracowni artysty malarza: najbardziej rozproszone, północno wschodnie, padające z lewej strony, lub jeszcze lepiej górne.
Wieczory, kiedy nie rysowała i nie malowała, sprzyjały poetyckiej myśli. Nie marzeniom, bo co może sobie wymarzyć osoba, dla której od przełomowego momentu – doznanego w młodości poczucia braku w obliczu śmierci najbliższego mężczyzny – najistotniejsze było miejsce do pracy twórczej, utrwalenie wizji i radość z jedynych najdoskonalszych zestawień kolorystycznych. Może poza Olgą Boznańską – której aura, taka siostrzana, przebija z eksponowanego po raz pierwszy portretu młodej kobiety przywodzącej na myśl Ewę Demarczyk – żadna z polskich artystek nie była tak jak Więckowska całą sobą oddana sztuce. Musiała skonstatować, że tylko będąc w takim, trzeba to tak określić, zakonie, zdoła uczynić coś, czego nie zdoła uchwycić i utrwalić najdoskonalszy aparat fotograficzny: wyraz. Wyraz twarzy. Cały wyraz. Wyraz utworzony między duchem a kształtem oczu, ruchliwą miękkością warg, gładkością szyi, formą włosów; wyraz przenikający do wnętrza. Przed nami kobiety, dzieci na luźnych szkicach, na wnikliwych studiach, strzeżonych ongi przed oczami współczesnych . Kolor. I myśl. W sumie – mistyka bez egzaltacji. Ani śladu uniesienia na pokaz.
Moi młodsi koledzy, którzy zafascynowani osobowością Marii Więckowskiej odwiedzali mistrzynię w pracowni i uczyli się u niej spojrzenia na dzieło sztuki, u swoich z kolei uczniów utrwalili przekonanie, że artystka, swobodnie operująca szarościami i chłodnymi gamami kolorystycznymi, nie znosiła czerwieni – także w naturze. Tak, nie wystawiała niczego, co kojarzyłoby się z czerwienią. Ale czerwienie malowała, owszem; to dziewczynki w czerwonych czapkach, to dzieci-krasnale (ukłon w stronę Witolda Wojtkiewicza, Tadeusza Makowskiego?, być może, ale żaden z mistrzów nie uzyskał wyrazu twarzy dziecka od jednego, tak jak u niej, zdecydowanego cięcia czterech kresek i pchnięcia kropki), to znowuż dziewczynę w bluzie w kolorze intensywnego kraplaku – co widzimy teraz, po półwieczu. Tak, amaranty, z tych chłodniejszych tonów, znanych z elementów umundurowania w niepodległej Polsce. Ale to jednak czerwień. Kropelka czerwieni jest również w żarze namalowanego, żółtawo-pomarańczowego „słoneczka" ogrzewającego modelkę pozującą do aktu.
Wiemy, że była świetną rysowniczką. Także i w pokazanych po raz pierwszy szkicach i studiach budzą podziw znakomicie narysowane postacie, twarze, będące fragmentem kompozycji. Małe nie znaczy nieważne. Postacie w strojach ludowych jadące na długiej drabiniastej furce to prawdopodobnie studium do ilustracji, lub jedna w wersji projektu może okładki książkowej, może płyty. Maestria i obawa przed wyjściem do publiczności z takim otwartym odzwierciedleniem wciąż jeszcze istniejącego kawałka świata: folkloru. Hm, lata sześćdziesiąte XX wieku to już nie za bardzo był czas na realizm. Artystka nie pokazywała takich rzeczy, sama przyzwyczaiła publiczność do elegancji i poetycko-egzystencjalnej tajemniczości w swoich obrazach, których nastrój kojarzył się z aurą Piwnicy pod Baranami, teatru Cricot-2, wreszcie z pomroką krakowskich podworców dobrze ukrytych przed przybyszami. Z zakamarkami, w których dojrzewa owoc wtajemniczonych. Maria Więckowska i „kierezyja wyszywana" – to nie do pomyślenia. Nie dość jej było głosów poważnych recenzentów, przestrzegających ją przed popadnięciem w manierę? Z coraz większą ostrożnością dobierała swoje obrazy na wystawy. Dziś widzimy, że absolutnie jej nie zależało na wywarciu wrażenia na współczesnych; że dzieła wystawiane nie były popisem prestidigitatora, lecz wizją, która mogła znaleźć się w galerii tylko w formie dojrzałej – a była ona poprzedzana setkami godzin, kiedy malarka najrzetelniej studiowała naturę. Oglądając małe obrazy olejne i gwasze, zanim znalazły się na wystawie, zyskałem pewność, że tak było, ponieważ natknąłem się na dziesiątki malowanych przez nią zawsze świetnych studiów jednej i tej samej osoby, zawsze identycznie ubranej i niemal w tej samej pozie. Kto jeszcze tak zaciekle malował jeden motyw, żeby dojść nie tyle może do perfekcji, ile do szczytów uczciwości? Aleksander Gierymski, Claude Monet, Leon Wyczółkowski. Dobre towarzystwo.
Fakt, że Maria Więckowska zachowała naturalną a szczególną wrażliwość, że jako artystka pozostała czysta, do końca odporna na mody i że wciąż szlifowała swój i tak znakomity warsztat, przekonuje o osiągnięciu przez nią szczytów świadomości twórczej, u kresu podróży z biletem do stacji nieśmiertelność. Taki bilet poczuje w zaciśniętej dłoni tylko uczciwy artysta, niepowtarzalnymi skarbami obdarowujący świat.

Marek Sołtysik

Reprodukowane dzieła Marii Więckowskiej pochodzą z kolekcji Salonu Antykwarycznego i Galerii „Connaisseur" w Krakowie.
Fragment nowej książki Marka Sołtysika *Zbrodniarze i cudotwórcy,* która właśnie się ukazała nakładem Oficyny Wydawniczej RYTM.



JÓZEF BARAN

PORWANIE DOMU

nie poznaję rodzinnego domu
na którego pokładzie
biegają panienki rozebrane do rosołu
(który właśnie stygnie na stole)
a szarpidruty ku uciesze wnuków
przekrzykują się z facetami
w kowbojskich kapeluszach
słychać wystrzały
domownicy prawie się nie znają
są przez telewizor sterroryzowani

Ameryka Ameryka wszędzie Ameryka
nawet w rozmowach panuje
Jaśnie oświecony Dolar

brat pilotuje nowy świat
biegając oczami po ekranie
za rozbieganymi obrazami

lecimy w nieznane

Borzęcin, 1993

BALLADA PRZED PIERWSZĄ KOMUNIĄ

dziś piątek dom się pojutrze zaroi
i powiodą małą przed ołtarz anioły
gospodarz przywiązał cielę do drzewa
(cielę niczego się nie spodziewa)

potem trzasnął je dwa razy obuchem
i już leży nakryte kopytami na trawie
jeszcze sprawnie poderżnąć mu gardło
żeby się mogło wykrwawić

i już połcie ćwiartują na stolach
rozprawiają o befsztykach i brizolach
gospodarzowi kotlet w głowie siedzi
lecz dziś piątek a on był u spowiedzi

wiec bezgrzesznie przełyka ślinkę
i umywa ręce z krwi nad balią
dziewczynka przymierza biała sukienkę
jutro pierwsi goście się pojawią

Borzęcin, 1990

***

nie przyjeżdżaj tu gdzie
widać jak na dłoni przemijanie
gdzie pogrzebałeś w sobie
oseska pacholęcia
kawalera z wąsami

tu widać jak czas
lamie najsilniejszych na rękę
i wynosi na cmentarz
rówieśnikom pobielając włosy

wracasz pustą
przedwieczorną drogą
cienie za tobą
cienie przez tobą

spod ziemi wyskakują
coraz to nowe dzieci
i zagradzając ci drogę
rosną zapamiętale

już za chwilę są młodzi
śpiewają za oknem
ochrypłe piosenki
bo właśnie wracają wesela
gdzie i ty tańczyłeś niegdyś
do białego rana

obco brzmią wdali
nawoływania dzwonów
szczekanie psów
i ty sam dla siebie
stajesz się coraz bardziej obcym
skazanym na śmierć człowiekiem

Borzęcin, 1991

ŚWIATY

można być w kropli wody
światów odkrywcą

można
wędrując dookoła świata
przeoczyć wszystko

BALLADA UPALNA

koguty drą się w słońcu wniebogłosy
brzozy jak aniołowie biegnący polami
z nisko opuszczonymi białymi skrzydłami
i świerszczy wrzawa co nie cichnie w trawach

równina w pień wycięta kanikuły kosą
ziemia twarda jak skała i ni kropli wody
świat zda się bredzi w sierpniowej gorączce
o deszcz się modlą łąki i ogrody

i skrzą się rubinowe paciorki jarzębin
dróżka biegnie ku słońcu cala oniemiała
w welonie kurzu auto jak nie z tego świata
pośród cykania świerszczy zabłąkana zjawa

i ja przemykam cienia duktem na rowerze
przybłęda szukający utraconych słów
co mają wonną leśność i źródlaną moc
nad głową płynie obłok zimniejszy od snu

1992

BAŚŃ PODJESIENNA

- Wieśkowi Nowakowi i sobie

krowie porykiwania
niosą się nad łąką
pastuszkowie grzeją ręce
w podjesiennym słonku

rechoczą żaby w bajorkach
na ożogu przemknęła czarownica
skaczą brzózki wesołe kózki
bo to w czary urodzajne okolica

wymachują chłopaki kadzidłami
rozdmuchują żar końskich łajen
jeszcze nie wiedzą co komu pisane
jeszcze ich losy za lasem nieznane

trwa dzieciństwo nikt od pastwisk nie odbiega myślą
poza jednym co w czytuje się w arabskie baśnie
i nikt nie wie że ten chłopak właśnie
marzycielem pozostanie już na zawsze

Borzęcin, 1958/1990

MIJANIE (SIĘ) PRZEMIJANIE TRWANIE

mijają wieki
a one fruną
i są dla nas wciąż te same

zadzierając głowę
niezmiennie mówimy na nie
kawki bociany pszczoły
nie próbując odróżnić
kawkę od kawki
bociana od bociana
pszczole od pszczoły

i one dostrzegają w nas
stale tego samego człowieka
żyjącego teraz i przed stuleciami

w tej gatunkowej perspektywie
(może nie tak znów niedorzecznej)
mijając się a nie przemijając
istniejemy dla siebie
bezimiennie ale za to wiecznie



http://www.chopinsocietyny.org/J_Stryjniak.html

Z JERZYM STRYJNIAKIEM

ROZMAWIA
JOANNA CYGNUS

J.C. Nie przypadkiem, bo przygotowując się do tej rozmowy, natrafiłam w Internecie na Pański *Autoreferat* zaczynający się od stwierdzenia, że choć rodzice nie byli zawodowymi muzykami, muzyka zawsze była obecna w Pana rodzinie, a to pozwala przypuszczać, że była to jedna z tych starych krakowskich rodzin o inteligenckim pochodzeniu.

J.S. Nie tylko inteligenckim pochodzeniu, ale wręcz o szlacheckim rodowodzie a przy tym wielkich patriotycznych tradycjach i choć dzisiaj wydaje się to bez znaczenia, wtedy jednak kiedy rozpoczynałem edukację, a zwłaszcza gdy wkraczałem w dorosłe życie, wyraźnie je utrudniało, bowiem w żaden sposób nie mogłem nagiąć własnego światopoglądu do uwarunkowań ówczesnej rzeczywistości.

J.C. Nie wszyscy pamiętają, że był to czas przyznawania punktów za pochodzenie społeczne przy rekrutacji na wyższe uczelnie.

J.S. Ja miałem zgoła inną przygodę. Mając osiemnaście lat zdobyłem laury zwycięzcy w Ogólnopolskich Przesłuchaniach Muzycznych II Stopnia w Lublinie, co przesądziło o mojej decyzji zostania pianistą, a później wpadłem na pomysł studiowania w Moskwie. Zdałem nawet egzamin do Konserwatorium im. Piotra Czajkowskiego zorganizowany w Warszawie pokonując czterdziestu innych kadydatów, lecz w to miejsce zaproponowano mi studia we Lwowie. Albo żadne...

J.C. Nie rozumiem.

J.S. Ja też nie rozumiałem, ale widać Moskwa nie była dla takich jak ja. Kiedy obstawałem przy swoim, zagubiono moje dokumenty. Ostatecznie w 1979 roku udało mi się podjąć studia w krakowskiej Akademii Muzycznej pod kierunkiem prof. Ludwika Stefańskiego, który urzekł mnie swoją niezwykłą osobowością artystyczną. Trzeba powiedzieć, że towarzyszyła temu wielka pasja i talent pedagogiczny, więc boleśnie odczułem jego śmierć. Studia ukończyłem z wyróżnieniem u prof. Ewy Bukojemskiej, lecz pomimo to nie otrzymałem etatu asystenta w Krakowie. Znalazłem się za to na tzw. czarnej liście i przez trzy lata nie mogłem znaleźć w ogóle żadnej innej pracy. Miało to też swoją dobrą stronę, bo zdobyte umiejętności doskonaliłem na licznych kursach mistrzowskich: u prof. Reginy Smędzianki, prof. Wiktora Mierżanowa, prof. Rudolfa Kehrera oraz Byrona Janisa.

J.C. Warto wspomnieć, że we wrześniu 1983 roku na Festiwalu Pianistyki Polskiej zdobył Pan Grand Prix. Główną nagrodą było stypendium Fulbrighta w Juilliard School of Music?

J.S. Tak, to prawda, ale do Nowego Jorku nie pojechałem i jak to w czasach PRL-u bywało, trafił tam ktoś inny. Wtedy jednak zacząłem poważnie myśleć o wyjeździe za ocean, lecz niestety dopiero po upadku komuny, 1 stycznia 1990 znalazłem się w Palm Beach na zaproszenie organizatorów florydzkiego festiwalu, gdzie zagrałem w ciągu dwóch tygodni kilka recitali.


Carnegie Hall New York City

J.C. Śledząc Pańską karierę można zauważyć, że swoistego rodzaju piętno odcisnęło na niej dwóch kompozytorów.

J.S. W dużym uproszczeniu można by tak powiedzieć. Regina Smędzianka otworzyła przede mną świat Chopina, co skłoniło mnie do udziału w Konkursie Chopinowskim w 1985 roku, niestety bez większego powodzenia, gdyż tuż przed konkursem koncertując w Niemczech nabawiłem się kontuzji prawego nadgarstka. Wielokrotne natomiast pobyty w Weimarze na kursach mistrzowskich sprawiły, że zafascynowała mnie muzyka Franciszka Liszta. Spędziłem nawet noc w domu kompozytora opłaciwszy odpowiednio pracownika muzeum a kiedy zanurzyłem dłonie w należącym niegdyś do niego naczyniu do mycia rąk, odniosłem wrażenie jego bliskości. Po przyjeździe do Nowego Jorku odkryłem, że znajdują się tam rękopisy największych dzieł Liszta i zająłem się ich studiowaniem koncentrując się na *Sonacie h-moll*, jak również najważniejszych jej opracowaniach. Zbiegiem okoliczności należała ona wówczas do utworów najczęściej wykonywanych przeze mnie podczas koncertów.

J.C. Takie zbiegi okoliczności należałoby określać mianem koincydencji znaczącej.

J.S. Moja fascynacja Lisztem nie była przypadkowa, ale stanowiła efekt świadomego wyboru. W konsekwencji swoją pracę habilitacyjną poświęciłem *Sonacie h-moll* Franciszka Liszta. Na przestrzeni blisko trzydziestu lat dokonałem jej czterech nagrań: w 1983 dla Programu 2 Polskiego Radia, w 1990 podczas koncertu w Carnegie Hall, w 2001 dla Studia Pro Piano w Nowym Jorku i w 2012 w Auli Nowa w Poznaniu. To ostatnie nagranie, poprzedzone latami studiów, ukazujące w pelni zamysł i kwintesencję filozofii lisztowskiej, dołączyłem wraz z opracowaniem *Sonaty h-moll* do wniosku o otwarcie przewodu habilitacyjnego spodziewając się uzyskać na tej podstawie stopień naukowy doktora habilitowanego.

J.C. Chodzą słuchy, że nie zostało przychylnie przyjęte przez poznańskich uczonych i spotkał się Pan z odmową?

J.S. To mało powiedziane!

J.C. Ale nie dał Pan za wygraną?

J.S. Oczywiście, że nie! Niestety również w Warszawie pojawiły się problemy z otwarciem przewodu habilitacyjnego, o których teraz nie będę mówił, bo naruszone zostały moje dobra a w tym prawa autorskie i niewykluczone, że sprawa znajdzie swój finał w sądzie.

J.C. Ale ostatecznie możemy składać Panu gratulacje?

J.S. Jak najbardziej.

J.C. Nie bardzo rozumiem z jakiego powodu był Panu w ogóle potrzebny kolejny stopień naukowy, skoro od ponad dwudziestu lat uprawia Pan z powodzeniem pracę pedagogiczną w Stanach Zjednoczonych?

J.S. Zaczynałem w Center of Music Studies w Clark w stanie New Jersey, później w 1997 roku założyłem własną szkołę – New York Conserwatory of Music – na Manhattamie, ale gdy zostałem zaproszony jako profesor wizytujący przez Akademię Muzyczną im. I.J. Paderewskiego w Poznaniu chcąc dostosować się do polskich struktur akademickich obroniłem w 2008 roku doktorat, a następnie postanowiłemnapisać pracę habilitacyjną. Jednocześnie jednak moją intencją było udostępnienie polskim studentom moich doświadczeń związanych z pracą nad dziełami Liszta, bo nie ulega wątpliwości, że dokonane nagrania i opracowanie *Sonaty h-moll* mogą im w istotny sposób pomóc w zrozumieniu tego arcytrudnego a zarazem genialnego dzieła.

J.C. Cofnijmy się jeszcze w czasie do decyzji o emigracji. Co skłoniło Pana do opuszczenia kraju i czy miało to związek z sukcesem odniesionym w 1990 roku w XVII Międzynarodowym Konkursie Pianistycznym Artists International w Nowym Jorku?

J.S. Po wygraniu tego konkursu przy ogromnej liczbie ponad 80 uczestniczących pianistów, zdobyciu pierwszej nagrody i złotego medalu, otworzyły się przede mną najbardziej prestiżowe sale Ameryki, a w tym Lincoln Center, waszyngtoński Kennedy Center, Carnegie Hall, gdzie wystąpiłem w 1990 roku dwukrotnie, najpierw 2 czerwca 1990 i jesienią na obchodach stulecia słynnej sali, co było to swoistego rodzaju ewenementem. Był to sukces spektakularny – *sold out debiut* – któremu patronował Artists International INC. W niedługi czas po przyjeździe do Stanów w 1991 roku wystąpiłem też z koncertem w siedzibie ONZ z okazji 200 rocznicy Konstytucji 3 Maja, a rok później w Waszyngtonie z okazji przewiezienia ciała Ignacego Paderewskiego z narodowego cmentarza w Arlington do Polski, na prośbę ówczesnego prezydenta Lecha Wałęsy. Miałem też monograficzny recital w Lincoln Center z okazji 190 rocznicy urodzin Franciszka Liszta, prowadzony przez autora największego trzytomowego dzieła o kompozytorze dr Alana Walkera.

J.C. Później wielokrotnie występował Pan w Carnegie Hall?

J.S. Na przestrzeni kolejnych lat w czasie mojego pobyytu w Stanach grałem tam wiele razy, między innymi 24 marca 2008 roku na jubileuszowym koncercie z okazji moich 50 urodzin i zarazem 30-lecia pracy artystycznej. Koncert poprowadził wówczas wybitny znawca fortepianu, uczeń Wladimira Horowitza, profesor Juliard School of Music David Dubal.

Z kolei 15 listopada 2013 odbył się mój jubileuszowy, dziesiąty z kolei koncert w Carnegie Hall.

J.C. W swoim *Autoreferacie* wyraźnie rozgranicza Pan trzy płaszczyzny swojej aktywności?

J.S. Bo rzeczywiście tak jest. Koncertując w Stanach Zjednoczonych zacząłem poznawać tamtejsze środowisko muzyczne, co pozwoliło mi w jakiś czas później na założenie Chopinowskiego Towarzystwa Muzycznego (The Chopin Society of New York), którego zostałem prezesem, czyniąc zarazem prezesem honorowym tak wybitną postać świata muzycznego jak Maestro Byron Janis. Koncert inauguracyjny odbył się w 15 grudnia 2006 roku również w Carnegie Hall z udziałem Oksany Yabłonskya – profesor Juillagard School of Music w Nowym Jorku.

J.C. Rozumiem, że poza koncertami i pracą pedagogiczną jest to ulubiona domena Pańskiej działalności, zastanawiam się tylko w jaki sposób jest Pan w stanie wszystko to ze sobą pogodzić?

J.S. Nie ukrywam, że na przestrzeni ostatnich ośmiu lat organizowanie życia muzycznego i koncertów oraz kierowanie Towarzystwem Muzycznym, którego jestem nieprzerwanie prezesem, stało się moją pasją. Za największy sukces uważam zorganizowanie w 2010 w Alice Tully Hall Lincoln Center Międzynarodowego Festiwalu – International Chopin Festival 2010 – kończącego światowe obchody 200 rocznicy urodzin Chopina, na który zaproszonych zostało wielu wybitnych muzyków, a w tym Olga Kern i Kevin Kenner oraz cała orkiestra z Polski. Obecnie przymierzamy się do zorganizowania w 2015 roku drugiego festiwalu, tym razem związanego z dziesiątą rocznicą śmierci papieża Jana Pawła II.

J.C. Czy będąc człowiekiem tak wielkiego sukcesu w Ameryce jest Pan co najmnie w tym samym stopniu ceniony w Polsce?

J.S. Przyjechałem do kraju po raz pierwszy od czasu jego opuszczenia w 1998 roku razem ze światowej sławy dyrygentem Peterem Belino i wystąpiliśmy wspólnie między innymi w Filharmonii Krakowskiej. W 2004 zagrałem recital solowy niemal we wszystkich polskich filharmoniach a w tym również w Krakowie. Podobnie było w 2011, kiedy to *tournee* po Polsce zakończyłem koncertem zorganizowanym przez Towarzystwo Muzyczne im. Haliny Czerny-Stefańskiej i Ludwika Stefańskiego w Mangha z okazji dziesiątej rocznicy śmierci Haliny Czerny-Stefańskiej. Grałem wowczas *Andante spianato* i *Wielkiego Poloneza Es-dur* Chopina oraz *Sonatę h-moll* Liszta, co Anna Woźniakowska skomentowała w *Dzienniku Polskim* pisząc, że w obu utworach połączyłem romantyczne uczucie z wybornym poczuciem ich architektoniki.

J.C. Tytuł artykułu "Powiało wielką pianistyką" mówi sam za siebie.

J.S. Pojawiły się też wtedy inne świetne recenzje, między innymi „Artysta z sercem" w *Gazecie Wyborczej.*

J.C. Czy patrząc z perspektywy czasu decyzja o emigracji wydaje się Panu słuszna?

J.S. Ależ oczywiście! W Ameryce mogłem zrealizować się w pełni jako artysta, a tego nie zdołałbym osiagnąć w Polsce. Oprócz pracy pedagogicznej w konserwatorium, jestem często proszony o prowadzenie kursów mistrzowskich w Ameryce i w Europie. Wychowałem wielu znakomitych pianistów zdobywających teraz laury w wielu międzynarodowych konkursach.

J.C. Proszę jednak nie mówić, że Pan nie tęskni, że nie ogarnia Pana nostalgia.

J.S. Wtedy gram Chopina, a poważnie mówiąc każdego roku przyjeżdżam do Polski z rodziną na wakacje, mamy tu swój dom, a żona oprócz tego zachowała rodzinny dom w Przemyślu.



Lincoln Center for the Performing Arts

J.C. Jakie są Pana plany na najbliższą przyszłość i czy nie myśli Pan o powrocie do kraju?

J.S. Moje ostatnie doświadczenia związane z moją tzw. karierą akademicką w Polsce nie nastrajają mnie zbyt optymistycznie i nie zachęcają do powrotu, a wręcz przeciwnie chwilami wydaje mi się, że pomimo zmiany ustroju niewiele się tu zmieniło. W chwili obecniej zorientowany jestem na Daleki Wschód i myślę teraz raczej o Azji, Filipinach, Manili, Południowej Korei, Singapurze, gdzie zaproponowano mi stanowisko wizytującego profesora w Narodowym Konserwatorium, zajmowane obecnie przez Murray Peraia.

J.C. Czy to będzie Pana pierwsze zetknięcie z Azją?

J.S. Koncertowałem już na całym niemal świecie, także w Japonii, a między innymi w Bunka Kaita w Tokio.

J.C. Dziękując za rozmowę, życzę Panu wielu dalszych sukcesów.

Joanna Cygnus

GALERIA
XVII SALON SZTUKI POLART W KOPALNI SOLI "WIELICZKA"

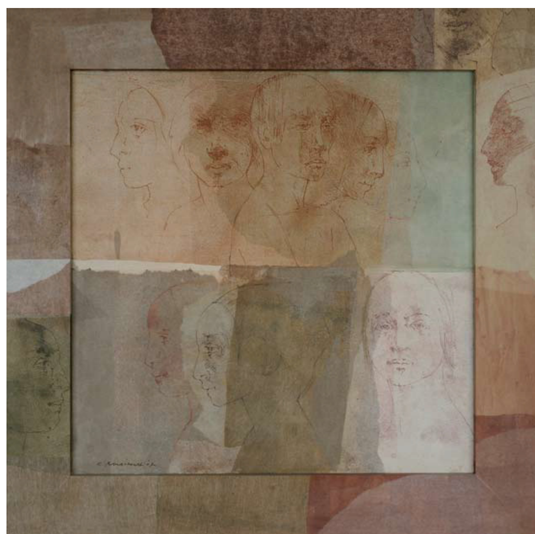


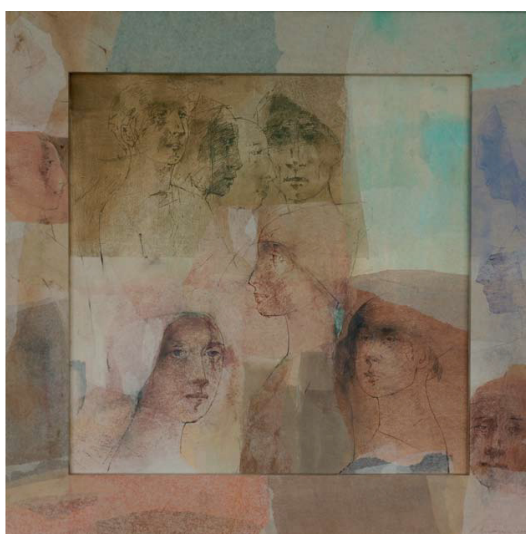
Krystyna Nowakowska i Jej dzieło

XVII Salon Sztuki Stowarzyszenia Twórczego POLART otworzył się tym razem w Kopalni Soli w Wieliczce. W komorze Drozdowice III oglądaliśmy – aż do finisażu w połowie maja – kilkadziesiąt prac renomowanych artystów. Wystarczy wymienić nazwiska Renaty Bonczar Romana Banaszewskiego, Janusza Jutrzenki Trzebiatowskiego, Andrzeja Guttfelda, Józefa Sękowskiego, Stanisława Batrucha, Bronisława Krzysztofa, Jerzego Nowakowskiego, Wincentego Kućmy, Stefana Dousy, żeby nabrać pewności o wysokim poziomie wystawy. Niezawodnego zestawu dopełnia Krystyna Nowakowska, jedna z najwybitniejszych rzeźbiarek naszego czasu (co niedawno udowodniła jej indywidualna wystawa w Pałacu Sztuki). Bystra obserwacja psychologiczna, maestria warsztatowa w trudnej technice odlewów na wosk tracony, przy niemożliwych do podważenia wartościach formalnych, to znak firmowy Krystyny Nowakowskiej, ostatnio odnoszącej sukcesy także w rzeźbie monumentalnej. Oryginalne, swobodne w doborze tematu, pomniki dłuta artystki uszlachetniają miasta.

Odkryciem na tej wystawie wydają się obrazy Kai Soleckiej: akty z intrygującego cyklu „Subimago". Olejne, malowane na płótnie en grisaille, jednakże z wyważonymi akcentami oranżowego ciepła, zwracają uwagę odważnie wprowadzanymi efektami fakturalnymi.

Marek Sołtysik



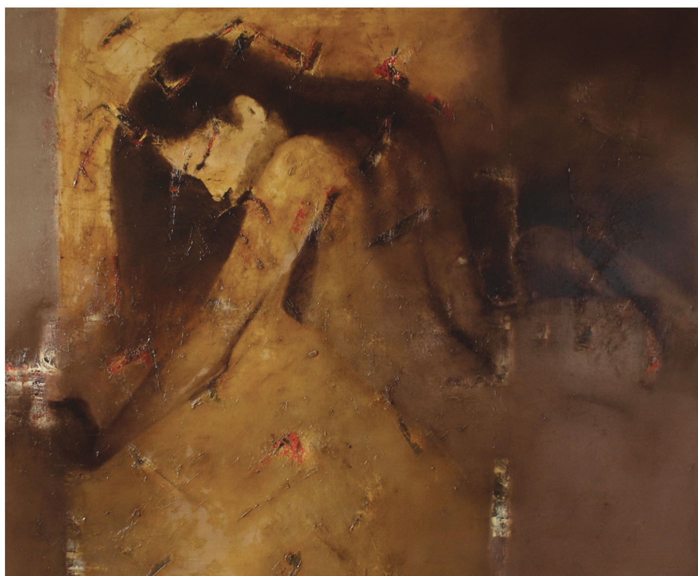


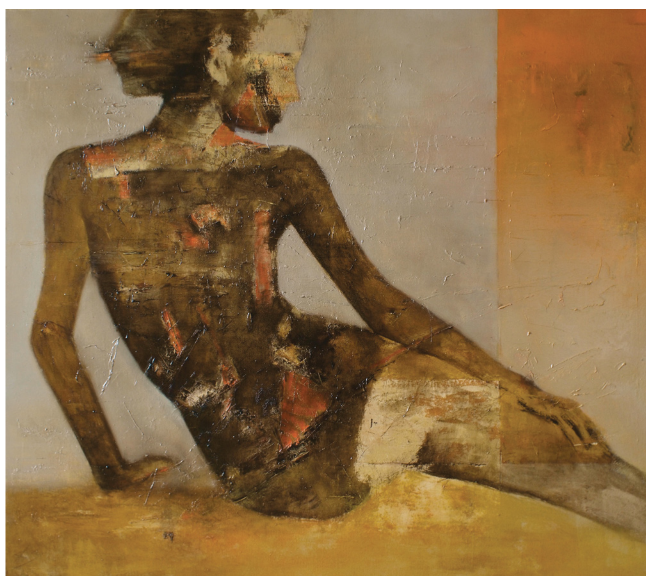
Roman Banaszewski
Grafika



obrazy Krzysztofa Kulisia i Janusza Trzebiatowskiego (poniżej)







Kaja Solecka, Sianokosy
Złoty wiatr



Jerzy Nowakowski

i Jego dzieło



Janusz Trzebiatowski

JUBILEUSZ
60-LECIA PRACY TWÓRCZEJ
JANUSZA TRZEBIATOWSKIEGO
WRĘCZENIE KLUCZY DO BRAM MIASTA KRAKOWA I MEDALU XXV-LECIA POLARTU



Dyrektor Wydziału Kultury M.Krakowa dr Stanisław Dziedzic



Izabela Jutrzenka-Trzebiatowska gratulacje po koncercie w Domu Polonii



Jerzy Nowakowski - Autor Medalu XXV lecia POLART-u





THOMAS BÖHME

Die Stadt der sorgsamen Trennung
Ein Haus, in dem man nur Fragen stellt,
und ein anderes, in dem man die Antworten hört.

Ein Haus, in dem es zum Beispiel nach Zimt duftet,
aber ein anderes, das von unten bis oben
mit Zimt ausgelegt ist.

Ein Haus, in welchem von früh bis spät
nichts als Amselgesang ertönt,
und ein Haus, das den Amseln allein gehört,
doch vor allem ist es ein stummes Haus.

Oder ein Haus für die Hähne
und ein anderes Haus für das Krähen der Hähne.

Das Haus mit den rotblonden Mädchen
und das Haus, wo sich ihre Stimmen befinden,
und ein drittes mit den Düften der rotblonden
Mädchen
und ein enderes Haus mit ihren Schminktischchen
und Parfüms
und endlich das Haus, in dem ihre Träume
treppauf und treppab spazieren.

Ein Haus, nur von dunkeläugigen Knaben bewohnt,
und ein anderes, worin man ihr Lärmen vernimmt,
und eins, das ein unüberschaubares Lager an
Rollschuhen, Rollern, Fahrädern,
Skateboards beherbergt,
und eins, ganz mit Fußbällen vollgestopft,
und eins, das den Inhalt all ihrer Hosentaschen vereint.

Ein Haus, in dem Küsse gesammelt werden,
und eins, wo man Liebesbeweise verwahrt.

Ein Haus, in dem Stunde um Stunde die Gebete
erklingen,
und ein anderes, wo man niederkniet,
und im nächsten erst werden die Segen erteilt,
und im übernächsten versammelt man sich zum Dank.

Ein Haus, wo man immer nur Fische serviert,
und das Haus der diversen Salate,
das Brothaus,
das Haus für Fleischspeisen
und das Haus, wo man nichts als Gemüse bekommt,
das Saucenhaus,
das Deserthaus
und das Haus der Konditoreien.

Dann das Haus des Kaffees,
aber ein anderes für Kaffeebohnen,
ein Haus für den Tee,
das Haus für die Biere,
das Haus für die zwölftausend Weine,
und ein anderes für Weinverkostungen,
das Milchhaus,
das Haus der gebrannten Schnäpse,
das Haus für die Cocktails
und das Haus für die Cocktail-Mixer.

Ein Haus für die Katzen
und eins für Katzenjammer.Dom na całe
życie,
Jednakże inna dla śmiechem.

Ein Haus für die Zeit,
nicht zu verwechseln mit dem Haus,
das mit Uhren bestückt ist,
und nicht zu verwechseln mit dem Haus,
das das Ticken der Wecker erfüllt,
und erst recht nicht mit dem, das die Gong-
schläge aufbewahrt
und schon gar nicht mit dem voller Glocken-
geläut.

Ein Haus für das Lachen,
aber ein anderes für das Schmunzeln.

Ein Haus, voll von Tränen,
und ein anderes Haus für das Weinen.

Ein Haus, das nur aus Spiegeln besteht,
das ein anderes ist, als das, wo die Spiegel-
bilder sich drängen.

Ein Haus für das Licht
und ein Haus für die Quellen des Lichts
und wieder ein anderes für die Schatten.

Das Haus der Buchstaben,
das Haus der Wörter,
das Haus der einfachen Sätze
und das der zusammengesetzten,
das Haus der Gedichte ist ein anderes,
als das Haus der mißlungnen Gedichte,
das Haus der Geschichten,
das Haus der Romane
und das, wo Romane gelesen werden,
das Enzyklopädien-Haus,
das Haus der Inhaltsverzeichnisse
und das der Kreuzworträtsel.

Das Haus der gebräuchlichen Zahlen,
leich zu verwechseln mit dem der römischen
Ziffern,
dann das Haus der Mathematik
und dann erst das Haus der Unendlichkeiten.

(Doch so viele Häuser man auch betritt
in der Stadt der sorgsamen Trennungen -
ganz im Gegensatz zu den Häusern,
die man zwangsläufig ausläßt, sind sie
immer noch zählbar, unendlich dagegen
die Zahl derer, die man niemals betritt.
Dafür gibt es das Haus mit den Auslassungen
und das Haus mit den Fußnoten zu den
Auslassungen.)

Dann das Haus mit den Obertönen
und das Haus mit den Untertönen.

Dann das Haus mit den Violinen
und das Haus mit den Geigenbögen
und noch das Haus mit der Geigenmusik.

Dann noch das Haus, wo man einatmet,
das, wo man ausatmet,
das wo die Atemluft hingebracht wird.

Schließlich das Haus, wo die Namen
der Häuser erfragt werden können,
und zuletzt, fast am anderen Ende der Stadt,
wo schon beinah die Stadt des
schönen
Zusammenspiels anfängt,
das Haus, in dem man die Namen der Häuser
der Stadt der sorgsamen Trennung
erfährt.

Tłumaczenie **KARL GRENZLER**

Miasto starannego podziału

Dom, w którym stawia się tylko pytania
i drugi, w którym można usłyszeć odpowiedzi.

Dom, w którym na przykład pachnie cynamonem,
ale inny, który od dołu do góry
wyłożony jest cynamonem.

Dom, w którym od rana do wieczora
nic nie słychać oprócz śpiewu kosa,
i dom, który należy wyłącznie do kosów,
ale przede wszystkim jest milczącym domem.

Lub dom dla kogutów
i jeszcze jeden dom na pianie kogutów.

Dom z jasnorudymi dziewczynami
i dom, gdzie znajdują się ich głosy,
i trzeci z zapachami jasnorudych
dziewczyn
i inny dom z ich toaletkami
i perfumami
i wreszcie dom, w którym ich marzenia
tam i z powrotem spacerują po schodach.

Dom zamieszkały przez ciemnookich chłopaków
i inny, w którym słychać ich hałasowanie,
i jeden, który jest ogromnym magazynem
wrotek, skuterów,
rowerów, deskorolek
i jeden cały zapełniony piłkami,
i jeden, który łączy całą zawartość ich kieszeni.

Dom, w którym zbierane są pocałunki,
i ten, w którym przechowuje się dowody miłości.

Dom, w którym co godzinę
rozbrzmiewają modlitwy,
i inny, gdzie się klęczy,
dopiero w następnym udziela się błogosławieństw,
a w jeszcze następnym zbierają się do dziękczynienia.

Dom, w którym serwuje się tylko ryby,
i dom różnych sałatek,
dom chleba,
dom mięsnych dań
i dom, w którym nie ma nic oprócz warzyw,
dom sosów,
dom deserów
i dom ciast.

Następnie dom kawy,
jednakże inny dla ziaren kawy,
dom na herbatę,
dom dla piwa,
dom dla dwunastu tysięcy win,
a kolejny do degustacji wina,
dom mleka,
dom destylowanych wódek,
dom na koktajle
i dom dla koktajlowego miksera.

Dom dla kotów
i jeden na kaca.

Dom na czas,
nie należy mylić z domem,
który wyposażony jest w zegary
i nie należy mylić z domem,
który wypełniony jest tykaniem budzików,
a na pewno nie z tym, co przechowuje
uderzenia gongu,
i na pewno nie z tym, pełnym
bicia dzwonów.

Dom dla śmiechu,
ale inny dla uśmiechu.

Dom pełen łez,
i jeszcze jeden dom na płacz.

Dom, który składa się wyłącznie z luster,
nie ten, w którym przepychają się
lustrzane odbicia.

Dom dla światła
i dom dla źródeł światła
a jeszcze inny dla cieni.

Dom liter,
dom słów,
dom zdań prostych
i tych złożonych,
dom wierszy jest inny
niż dom nieudanych wierszy,
dom opowiadań,
dom powieści
oraz ten, w którym czytane są powieści,
dom encyklopedii,
dom spisów treści
i krzyżówek.

Dom zwykłych liczb,
łatwy do pomylenia z domem cyfr rzymskich,
potem dom matematyki
i dopiero potem dom nieskończoności.

(Ale nieważne do ilu domów się wejdzie
w mieście starannego podziału -
w przeciwieństwie do domów,
które nieuchronnie się pomija, są one
nadal policzalne, w przeciwieństwie do tego nieskończona
jest liczba tych, do których nigdy się nie wchodzi.
Za to są domy z pominięciami
i dom z przypisami do pominięć.)

Następnie dom z tonami harmonicznymi
i dom z półtonami.

Potem dom ze skrzypcami
i dom ze smyczkami
i jeszcze dom z muzyką skrzypcową.

I dom, w którym się wdycha,
ten, gdzie się wydycha,
ten, gdzie powietrze jest dostarczane.

Jeszcze, dom, w którym nazwy
domów można uzyskać,
i wreszcie, niemal na drugim końcu miasta,
gdzie już prawie zaczyna się miasto
pięknego współdziałania,
dom, w którym można dowiedzieć się
o nazwy domów
miasta starannego podziału.

Der Junge mit einer Schußwunde im Namen,
der Junge mit dem Fleischerhaken im Stammbaum,
der Junge mit der mathematischen Mausefalle
und der Junge mit dem vergitterten Mund.

Der Junge mit dem langweiligen Film im Gesicht,
der Junge mit den in Steine verwandelten Wünschen,
der Junge mit der Rasierklinge in der Stimme
und der Junge mit dem vorlauten Mädchenfinger.

Der Junge mit den zu Honig zerschmolzenen Augen,
der Junge mit den halbierten Hornisse im Blick,
der Junge mit dem zu tief hängenden Geruch
und der Junge mit den Bügelfalten seiner Gefühle.

Der Junge mit seinen schier ausufernden Füßen,
der Junge mit einem Stahlstöpsel im Geblüt,
der Junge mit einem Fleischerhaken im Namen,
und der Junge mit dem Stammbaum aus Schußwunden.

Chłopiec z raną postrzałową w nazwisku
chłopiec z rzeźniczym hakiem w rodowodzie,
chłopiec z matematyczną pułapką na myszy
i chłopiec z zakratowanymi ustami.

Chłopiec z nudnym filmem na twarzy,
chłopiec z przemienionymi w kamienie życzeniami,
chłopiec z brzytwą w głosie
i chłopiec z przemądrzałym dziewczęcym palcem.

Chłopiec z aż do miodu roztopionymi oczami,
chłopiec z przepołowionym szerszeniem w spojrzeniu,
chłopiec ze zbyt nisko wiszącym zapachem
i chłopiec z kantami swoich uczuć.

Chłopiec ze swoimi niemal rozprzestrzeniającymi się nogami,
chłopiec ze stalową zatyczką we krwi,
chłopiec z rzeźniczym hakiem w nazwisku,
i chłopiec z drzewem genealogicznym z ran postrzałowych.

Ein Gedicht ohne Augen
ist so gut wie gar kein Gedicht,
es sei denn, es ist ein Gedicht
mit Mund aber ohne Augen,
oder es ist ein Gedicht
mit Ohren, wenn schon
ohne Mund oder Augen.

Und ein Gedicht ohne Gesicht
ist nur dann ein Gedicht,
wenn wenigstens Hals oder
Rumpf oder Schultern,
Nabel, Brustwarzen oder das
stolze Geschlecht das Gedicht
zum Gedicht machen.

Und schon gar nicht ist
ein Gedicht ohne Leib und
Gesicht ein Gedicht, wenn nicht
Hand oder Fuß oder Schenkel
es erhöhen. Überhaupt ein Gedicht
ohne Knie, stell dir vor,
ein Gedicht ohne Knie!

Wiersz bez oczu
jest tak dobry, jak zupełny brak wiersza,
chyba że jest to wiersz
z ustami, ale bez oczu,
albo jest to wiersz
z uszami, jeśli już
bez ust lub oczu.

A wiersz bez twarzy
jest tylko wtedy wierszem,
jeżeli co najmniej szyja, lub
tułów, ramiona,
pępek, sutek albo
dumna płeć z wiersza
zrobi wiersz.

A już w ogóle
wiersz bez ciała i twarzy
nie jest wierszem, jeśli
ręka lub noga czy udo
go nie uszlachetni. To żaden wiersz
bez kolana, wyobraź sobie,
wiersz bez kolana!

Kindheit macht müde

Erst haben sie dir den Arm verdreht.
Kindheit macht müde.
Dann wollen sie, dass du sagst:
Meine Mutter ist eine Schlampe.
Kindheit macht müde.

Vorher knöpfen sie dir dein Taschengeld ab,
eh sie deinen Kopf ins Klobecken drücken.
Einzeln wär jeder schwächer als du.
Sie aber kommen immer zu viert
und dich erwischen sie immer allein.

Wenn du jetzt nicht bald heulst,
steigert das ihre Wut noch:
Kindheit macht wütend.
Warum nur kommen die Träne nie,
wenn man sie braucht:
Kindheit macht müde.

Wenn sie wüßten, was du alles aushältst,
nicht aus Tapferkeit, aus Erschöpfung!
Sie würden ganz andere Seiten aufziehen.
Vier sind erfinderischer als einer, ja,
Kindheit macht findig.

Wenn Mutter dich in den Arm nimmt,
möchtest du sie von dir stoßen.
Was hast du nur Junge? Immer dieselben Fragen,
die dich stumm machen, stumm und stumpf.
Hat sie denn keine eigenen Sorgen!
Kindheit macht müde.

Dzieciństwo męczy

Najpierw wykręcili ci rękę.
Dzieciństwo męczy.
Potem chcieli, byś powiedział:
Moja matka jest zdzirą.
Dzieciństwo męczy.

Przedtem naciągnęli cię na kieszonkowe,
wciskając twoją głowę do muszli klozetowej.
Pojedynczo każdy z nich byłby słabszy niż ty.
Ale oni zawsze przychodzą we czwórkę
i dopadną cię zawsze samego.

Jeśli teraz natychmiast nie zapłaczesz,
złości ich to jeszcze bardziej:
Dzieciństwo złości.
Dlaczego nigdy nie ma łez,
kiedy się ich potrzebuje:
Dzieciństwo męczy.

Gdyby wiedzieli, ile potrafisz wytrzymać,
nie z odwagi, z wyczerpania!
Naciągnęliby zupełnie inne struny.
Czterech jest bardziej pomysłowych niż jeden, tak,
dzieciństwo uczy zaradności.

Kiedy matka bierze cię w ramiona,
chcesz ją od siebie odepchnąć .
Co ci jest, chłopcze? Zawsze te same pytania,
które sprawiają, że jesteś milczący, milczący i tępy.
Czyżby nie miała własnych kłopotów!
Dzieciństwo męczy

Die Tonspur seiner Liebe war gelöscht.
Aber er litt nicht darunter.
Eigentlich hatte er Liebe schon immer
als Stummfilm begriffen.

Die Musik lief ja trotzdem weiter,
eine klandestine Musik,
die mit Schriftzeilen unterlegt war,
wenn die Bilder mal Pause hatten.

Er sagte, nur stumm
sei die Liebe
eine tadellose Tragödie,
die sich allein von Gesichtern ablesen läßt.
Wenn der Mund nämlich ansetzen wolle
zu einem Schrei,

verharre er einen Moment lang
in offenem Staunen.

Ścieżka dźwiękowa jego miłości została wymazana.
Ale nie cierpiał z tego powodu.
Właściwie zawsze pojmował miłość
jako niemy film.

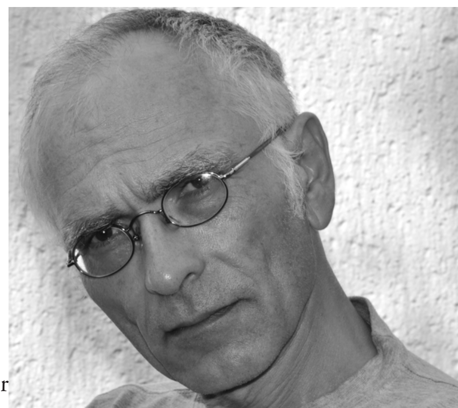
Mimo to muzyka leciała dalej,
podziemna muzyka,
wspierana napisami,
kiedy obrazy miały przerwę.

Powiedział, że jedynie niema
ma być miłość,
doskonała tragedia,
którą można odczytać tylko z twarzy.
Kiedy usta ułożyć się chcą
do krzyku,

zastygając na chwilę
w otwartym zdumieniu.

Oddalasz się ode mnie
aleją kwiatów konopi.
Oddalasz się ode mnie,
ale w niewymierność
rośnie twoja postać.
Twoja głowa jest już w chmurach
(la testa nelle nuvole, capisci!),
twoje ręce plączą się
w koronach drzew.
Przeszkadza ci, że do ciebie zaglądam?
Och, to po prostu mój głupi nawyk.
Nie zawsze musisz chodzić do tyłu.
Nie widzisz przecież niczego poza chmurami.
I że pójdę za tobą?
Ani mi się śni!
Nie powinno się zatrzymywać
uciekającego golema.

Du entfernst dich von mir
auf einer Allee aus Hanfblüten.
Du entfernst dich von mir,
ins Unermessliche aber
wächst deine Gestalt.
Schon ist dein Kopf in den Wolken
(la testa nelle nuvole, capisci!),
deine Hände verfangen sich
in den Wipfeln der Bäume.
Stört es dich etwa, dass ich dir nachschaue?
Ach, nur eine dumme Angewohnheit von mir.
Du brauchtest nicht ständig rückwärts zu gehen.
Siehst ja doch nichts als Wolken.
Und dass ich dir folgen würde?
Den Teufel werd ich!
Einen türmenden Golem
soll man nicht aufhalten.



Thomas Böhme
urodził się 24.11.1955 w Lipsku. Po maturze w Rudolf-Hildebrand-Schule Markkleeberg i służbie wojskowej w latach 1974-1975 studiował pedagogikę w Greifswald. Od 1977 do 1985 pracował w Bibliotece Muzycznej i wydawnictwie Edition Leipzig. 1982-1984 studiował zaocznie w Instytucie Literatury „Johannes R. Becher". Od 1985 pracuje z przerwami jako wolno-zawodowy autor. Między 1992 i 1997 brał udział w projekcie artystycznym „Freie Hand", Magdeburg/Halle. W połowie lat dziewięćdziesiątych zrealizował wiele projektów, katalogów i wystaw fotograficznych między innymi w Lipsku, Chemnitz i Weimarze. Od 1990 jest wdowcem, który samotnie wychowywał dwie (już dorosłe) córki. Członek niemieckiego P.E.N. oraz Związku Literatów Niemieckich. Jest laureatem wielu nagród i wyróżnień: Georg-Mauer-Preis (1988), Ehrengabe der Schillerstiftung (1994), Lipskie Stypendium Literackie (1996), Stipendiat der Stiftung Kulturaustausch w Amsterdamie (1998), Sächsischer Literaturförderpreis (2006), stypendia twórcze Niemieckiego Funduszu Literackiego Darmstadt i Ministerstwa Nauki i Sztuki, jak również Fundacji Kulturalnej Wolnego Państwa Saksonii. W 2011 wziął udział w 40. Warszawskiej Jesieni Poezji. Do tej pory ukazało się ponad 20 indywidualnych publikacji liryki, opowiadań i prozy, jak również wiele wydań i artykułów w czasopismach i antologiach.

Nadal jeszcze bawimy się w chowanego,
to znaczy, odruchy pozostały niezmienione:
Ledwie wypowiedziałem twoje imię,
już przybiegł:
pies Pawłowa, merdając ogonem, ośliniono oswojony,
niewinnie się rozgląda:
Jestem, rozumiesz, i ciągle jeszcze
waruję przed twoim nazwiskiem.

A dzisiaj, kiedy mnie prawie znalazłaś:
Przejechałaś rowerem obok,
mniej niż dwadzieścia metrów ode mnie.
Co się dzieje z twoimi oczami!
Przez noc stałaś się krótkowzroczną
i z próżności nie nosisz okularów?
I wciąż myślę, że beze mnie
nie dasz sobie rady.

Być może matki myślą tak:
Zjadł obiad, nie marznie,
wysypia się, lub
nieuleczalne zapominalstwo wyczerpuje
jego dziecięce siły?
Ale ty się nie przysłuchujesz,
masz swoje zatyczki w uszach,
wymykasz się sezamowym wejściem.

Wir spielen noch immer Verstecken,
das heißt, die Reflexe sind unverändert:
Kaum habe ich deinen Namen genannt,
kommt er schon angerannt:
Pawlows Hund, schwanzwedelnd, speichelzahm,
treuherzig schaut er sich um:
Ich bin, versteht du, und immer noch
kusche ich vor deinem Namen.

Und heute, als du mich beinah entdecktest:
Du radeltest an mir vorbei,
keine zwanzig Meter entfernt.
Was war nur mit deinen Augen passiert!
Bist du gar über Nacht kurzsichtig geworden
und trägst nur aus Eitelkeit keine Brille?
Und immer noch denke ich, ohne mich
kriegst du das nicht geregelt.

Vielleicht denken Mütter so:
Hat er sein Mittagsessen, friert er nicht,
kriegt er genügend Schlaf, oder
zehrt eine unheilbare Vergeßlichkeit
seine noch kindischen Kräfte auf?
Du aber hörst nicht hin,
hast deine Stöpsel im Ohr,
schlüpfst durch den Sesamschlauch.



JÓZEF LIPIEC

ZAZDROŚĆ

ZAZDROŚĆ I ZAWIŚĆ

Obydwa pojęcia dotyczą stanów i uczuć uznawanych za negatywne, nieszlachetne i szkodliwe. Na skali wartości sytuowane bywają nisko, zwyle z odcieniem wzgardy i przestrogi, stanowiąc produkt jakichś psychicznych defektów poznawczych i emocjonalnych, kompleksów i zaburzeń osobowościowych. Zazdrośnik i zawistnik to człowiek wyzwalający w sobie zarówno toksyny samozniszczenia, jak truciznę destrukcji, kierowaną we wszystkie strony, nie tylko przeciw bezpośredniej przyczynie złych uczuć i urojeń, ale przeciw całemu światu zgoła. Bywają zazdrości małe, jak chwilowe, dyskretne ukłucia, ale są też potężne, gwałtowne, nigdy nie gasnące. Przekształcające się w obsesję, szaleństwo i rozpacz.
Zazdrość i zawiść mają wiele cech wspólnych, ale też różnią się wyraźnie, albo pod względem poziomu intensywności, albo dziedziną, której dotyczą. W pierwszym przypadku jest tak, że zazdrościmy komuś czegoś: powodzenia, awansu, zamożności, orderu, zdrowia lub szczęścia, zawiść natomiast stanowi wtedy szczebel wyższy zazdrości, a więc stan permanentnej i bezwzględnej niezgody na niezasłużony sukces bliźniego, wraz z równie potężnym poczuciem krzywdy własnej. Zawiść jawi się wówczas jako zazdrość przemieszana z nienawiścią wobec obiektu zazdrości. Dodać należy, że w typologii zawiści mieszczą się zawiści rywalizacyjne, takie mianowicie, które wynikają z subiektywnej oceny wyników danej, angażującej nas osobiście konkurencji. Jest to zawiść pisarza wobec kolejnych laureatów Nobla, pomijanego przez lata, rzecz jasna niesprawiedliwie. Jest zawiść uczonego, który przegrał konkurs na stanowisko dyrektora instytutu, albo co gorsza, ma skromniejszą wzmiankę w encyklopedii niż koledzy z branży. Jest to, oczywiście, zawiść polityka, niezasłużenie odrzucanego w kolejnych wyborach. Odczuwanie własnego poniżenia i krzywdy tworzy jednak bezpieczne ujście, przybierające często postać skonkretyzowaną personalnie. Jest ona co prawda, bytem realnym, lecz utkanym z cech odzwierciedlających ogół własnych niepowodzeń , przeniesionych na osobę danego obiektu, obarczonego winą, Okazuje się nim z reguły zwycięski konkurent, który przywłaszczył sobie to, co nam należne.

Istnieje jednak inny gatunek zawiści, często nazywanej „bezinteresowną", zapewne z braku jakiegokolwiek merytorycznego związku między sensem negatywnego stosunku do rzeczywistego osobnika a dowolnie dobranym intencjonalnym portretem złych emocji zawistnego podmiotu. Zawiść bezinteresowna polega na tym, że Miłoszowi i Szymborskiej zazdrości literackiego Nobla ktoś, kto nie napisał nigdy ani linijki: mechanik, szewc, biolog lub strażnik miejski. Piłkarza i tenisistkę darzą zawiścią urzędnik, kierowca i kasjerka; motyw zawsze się znajdzie, na przykład prestiżowy lub zarobkowy. Królowej brytyjskiej i prezydentowi USA zazdrościć może polski sołtys, duńska fryzjerka i australijski farmer. Zazdrość zawistna nie zna żadnych granic, albowiem zawsze chodzi o wyrażenie swej podmiotowej urazy i dopasowanie do niej najbardziej poręcznego przedmiotu. Odpowiedzialnością obarczany świat jako taki, zaś najlepiej jego upatrzonego z góry przedstawiciela, wybranego wedle potrzeb zawistnika. Staje się on wtedy kozłem ofiarnym obrzędu zawiści. Zawiść jest uczuciem trudnym do okiełznania. Możliwe są zapewne terapeutyczne zabiegi, polegające na obniżeniu rangi walorów przypisywanych obiektowi złych odczuć, aż do uznania iż to czego zawiścimy jest w istocie niegodne naszych pragnień. Zawiść z powodu sukcesów



KRYSTYNA NOWAKOWSKA

Krzesło XXI, z cyklu Zatraceni brąz, kamień, wys. 195 cm

innych nacji nacji na polu sportowym, powiedzmy, przekształca się w szyderstwo wobec sportu w ogóle, a futbolu w szczególności. Teoretycznie jedyną szansą radykalnego powstrzymania zawiści jest wszakże powrót do biblijnego raju w pierwotnej fazie, Adam jest tam zupełnie sam (nie licząc Stwórcy i Szatana, rzecz jasna) i nie ma komu czegokolwiek zazdrościć, Jeśli nie ma układu odniesienia, nie istnieje powód do uznania swojej gorszej pozycji. Co gorsza, nie ma kogo obarczać pretensją o zabrane nam niesłusznie owoce przewag i zwycięstw. Nie ma kogo nienawidzieć, nie ma komu zawiścić.

W tym właśnie znaczeniu zawiść okazuje się, po pierwsze, w y ż s z y m s t o p n i e m z a z d r o ś c i jako stosunku kogoś do kogoś innego z powodu jakiejś cechy. Zawiść to zazdrość do kogoś o coś. Po drugie, jedna i druga dotyczy wszelkich dziedzin i obejmuje m n o g o ś ć r o z m a i t y c h p o w o d ó w, z których żaden nie wydaje się an i częstszy, ani ważniejszy. Po trzecie, zazdrościmy komuś czegoś z powodu b r a k u własnego (nie posiadamy tego wcale albo w niedostatecznym stopniu) przede wszystkim jednak ze względu na pozbawienie nas odpowiedniej nagrody (uznania, stanowiska, bogactwa, sławy, miłości etc.). Po czwarte zawiść stanowi stan uczuciowy polegający na przemieszaniu dwóch motywów, wspomagających się dialektycznie: o s o b i s t e g o c i e r p i e n i a i z ł y c h ż y c z e ń w o b e c i n n e g o – rzeczywistego lub wyobrażonego sprawcy naszej krzywdy. Po piąte, zawiść występuje zwykle jako stan finalny, ale i swoiście zastępczy. Nie możemy żądać tego, co nasze, nie potrafmy osiągnąć tego, co nam należne, musimy zatem zamknąć się w uczuciu zawodu i żalu, które wypełnia naszą egzystencję. Przeżycie zawiści zazwyczaj jest stłumione i zduszone w sobie, lecz od czasu do czasu wybucha ekspresją uzewnętrznionej, złorzeczącej agresji.

TWARZE ZAZDROŚCI

Bogata jest semantyczna przestrzeń zazdrości. Jako r e l a c j a podmiotu względem przedmiotu występuje ona w postaci skomplikowanej struktury zależności poznawczych i emocjonalnych , w obrębie której podmiot konstatuje z żalem, że nie ma tego, co posiada przedmiot, a jest to na dodatek coś, co warto mieć, o co warto zabiegać, odrzucają sytuację cudzej w tym względzie niesłusznej, nienależnej przewagi, zdobytej kosztem naszego pominięcia i krzywdy. Zazdrość to wynik relacji a s y m e t r i i pomiędzy tym co niesprawiedliwie, bezzasadnie nie dane jednemu, a tym co dane drugiemu, acz równie niesprawiedliwie i bez dania racji. Pojawienie się stosunlu zazdrości dowodzi faktu, iż niesprawiedliwość ta została rozpoznana w swej istocie i skutkach, zazdrość zaś stanowi pierwszy, acz zasadniczy etap aksjologicznej niezgody pokrzywdzonego podmiotu. I on to właśnie stanowi epistemiczny i etyczny układ odniesienia. Będąc sędzią we własnej sprawie, wystepuje jako jedyny, w pełni uprawniony podmiot oceny całej struktury,

Zazdrość pojawia się także w wersji okrojonej, sprowadzonej mianowicie do u c z u c i o w e g o s t a n u p o d m i o t u litylko. Na horyzoncie zjawia się, co prawda, zawsze jakiś przedmiot lub przedmioty, stanowią one jednak zaledwie intencjonalne dopełnienie aktu rozpoznania danego podmiotowego b r a k u, w konsekwencji zaś wyznaczenia wyróżnionej pozycji takiego obiektu, który akurat posiada to, czego nam nie dostaje. Sam przedmiot zazdrości nie jest zatem bezpośrednim powodem podmiotowego napięcia, stanowiąc raczej katalizator, medium albo lustro, w którym zazdrośnik przegląda się z niechęcią i rozżaleniem.

Proces ten powtarza się w większości przypadków. Zazdrościmy komuś powodzenia, majątku albo urody nie tylko ze względu na tego, kto te walory posiada, wywołując w nas – poprzez porównanie – poczucie wyraźnej różnicy między cudzym a naszym wyposażeniem. Bywa przeciwnie, najpierw jesteśmy niezadowoleni z siebie, a potem dopiero następuje e k s t r a p o l a c j a s a m o o c e n y , wtedy mianowicie kiedy znajdziemy kogoś lepiej od nas obdarowanego przez los. Wyłaniając z siebie uczucie zazdrości, dajemy upust negatywnemu wartościowaniu własnej osoby i własnej pozycji w świecie, konstruując wszelkie obiekty przyrównania z odwrotności naszych wad, niedostatków i niedyspozycji. Niezmierzone są zresztą obszary jakościowej różnorodności przesłanek oraz swoistości procesów dojrzewania i urzeczywistniania się zazdrości konkretnych. Zazdrościmy komuś zdolności, błyskotliwości i refleksu, kiedy nasze cechy okazują się niewystarczające, zwłaszcza w ważnych dla naszych ambicji sytuacjach. Schorowani zazdroszczą zdrowia i sprawności. Zazdrość budzą cudze sukcesy zawodowe, polityczne, naukowe, artystyczne oraz wszelkie inne. Zazdrość jest notabene tym bardziej dotkliwa, im mniej osiągnięć kwitujemy na własnym koncie. Zazdrościmy bliźnim prestiżu, pozycji i władzy, z uczucia tego czyniąc niejednokrotnie podstawę do społecznych napięć i walki politycznej. W równym jednak stopniu kierujemy swą zazdrość ku ludziom, obdarowywanym towarzyską akceptacją, szacunkiem i sympatią powszechną. Zazdrościmy udanego życia rodzinnego, powodzenia u płci przeciwnej barwnego, atrakcyjnego stylu wypoczynku. Zazdrościmy koligacji familijnych, wykształcenia i umiejętności praktycznych, inteligencji i dowcipu. Zazdrościmy talentu, wytrwałości i odwagi. Czasem zazdrościmy spokoju ducha, siły charakteru i zaradności, ale co najmniej w tym samym stopniu sławy, nagród i orderów.

Zazdrość sięga nie tylko indywidualnych właściwości ciała i przymiotów ducha, ale także cech, przynależnych położeniu społecznemu. Bywają przypadki, że zazdrości na płaszczyźnie nierówności narodowych i klasowych, a nawet przynależności do danej rasy i kulturowego zaplecza. Zazdrość nie omija także determinacji płciowych. Zazdrościmy innym piękna krajobrazu, klimatu i poziomu gospodarczego. Państwom zwycięskim, silnym militarnie i bogatym zazdrości się miejsca na mapie globu. Przede wszystkim jednak – jak zawsze – nieszczęśliwi zazdroszczą szczęśliwym, biedacy bogaczom, cisi i pokornego serca celebrytom, ubodzy duchem geniuszom, a wszyscy pominięci – beneficjentom Nobli, Oscarów, Cezarów, Wiktorów i Fryderyków. Dzieci zazdroszczą rówieśnikom zabawek, kobiety kobietom toalet, biżuterii i mężczyzn obok, mężczyźni mężczyznom kobiet i samochodów. Wieśniacy uroków miasta, mieszczuchy wiejskiej sielanki. Zdobywcy szczytów – tym co byli tu przed nimi. Żadna dziedzina nie jest wolna od prawa do budowania zazdrości, nikt też nie może liczyć na brak stosownego powodu Wszyscy mają szansę zazdrościć wszystkiego, co jest możliwe: rzeczy, przymiotów ciała i ducha, form partycypacji w doniosłych i banalnych wydarzeniach. Zazdrość spełnia się bowiem w c a ł e j , z r ó ż n i c o w a n e j a k s j o s f e r z e , albowiem – jeśli trzeba – zawsze znajdzie się dla niej odpowiedni sens, przedstawicielstwo i i usprawiedliwienie.

ISTOTA ZAZDROŚCI „CZEGOŚ KOMUŚ"

W każdej relacji i w każdym subiektywnym uczuciu zazdrości powtarzają się niezmiennie dwa motywy: (A) w a r t o ś c i u j ą c e j n e g a c j i s t a n u p o d m i o t o w e g o oraz (b) równoległego uznania dla p o z y t y w n e g o s t a n u p r z e d m i o t o w e g o. Człowiek zadowolony z tego kim jest, co ma i czego może dokonać, nie potrzebuje niczego szukać poza sobą. Jeśli dostrzega kiedykolwiek określoną różnicę między sobą a kimś innym, nie musi interpretować jej ani wartościująco, ani tym bardziej na własna niekorzyść (w najgorszym przypadku jako równowartą odmienność). Osobnik zazdrosny okazuje się więc z istoty tym, kto odwołuje się do własnej niskiej samooceny (niezależnie od faktu, czy obiektywnie uzasadnionej czy też przesadnej lub z gruntu fałszywej).

Drugim warunkiem zazdrości okazuje się wysoka ocena przymiotów świata p o z a p o d m i o t o w e g o, ulokowanego w innym człowieku lub w innych ludziach, względnie w wyznaczonych okolicznościach ich życia. Aby zazdrościć, trzeba mieć czego, a żeby tak się stało należy ów przedmiotowy stan ukonstytuować jako lepszy od podmiotowego i dlatego godny pożądania. Zazdrość szuka z konieczności swego intencjonalnego układu odniesienia, co więcej, nie może on znajdować się w sferze niedostępnych celów idealności, lecz powinien stać się możliwie bliskim efektem przedmiotowej konkretyzacji. Nie chodzi o to tylko, by zazdrościć czegoś, czego nie mamy, albo niezbyt doskonałej jakości, lecz by można zazdrościć k o m u ś , najlepiej wskazanemu w sferze r e a l n o ś c i , tej w której egzystuje sam zazdroszczący. Czyż godzi się aby zwracać zazdrość ku ideom, bogom i herosom literackim? .

Zazdrość to stan, w którym pozbawiony czegoś pożądanego podmiot, odnosi się do kogoś, kto należąc do tego samego, aktualnego porządku rzeczywistości, wlaśnie owo upragnione coś posiada – w ogóle, a napewno posiadł przede mną. Rzecz bowiem nie w pożądaniu niemożliwego i z góry niedostępnego, zajmującego obszar miraży i marzeń. Zazdrość domaga się przyznania tego, co nie tylko prawdopodobne, choć trudno osiągalne, lecz już ziszczone faktycznie, w sprawdzianie realnych, acz niestety nie moich, nie mnie wzbogacających wartościach. Czy za powszechnością i siłą zazdrości kryje się zwykły egoizm, poszczególne jednostkowe ja czyniący ośrodkiem i kryterium właściwego przydziału dóbr i cnót wszelakich? Być może. Niewykluczone jednak , że mamy tu do czynienia z wielce interesującą koncepcją o uniwersalnym zasięgu, mianowicie z a k s j o l o g i c z n y m e g a l i t a r y z m e m ; wedle którego wszystko co jest coś warte, powinno być rozdzielone między wszystkich potrzebujących. Uruchomienie dowolnej zazdrości byłoby zatem równoznaczne z sygnalizacją, że dystrybucja wartości jest wadliwa. Z żalem i sprzeciwem konstatowany elitaryzm lub co gorsza, zwykła przypadkowość przydziałów rodzi zaś nieuchronnie postawę buntu wobec losu, najwcześniej zaś nader nieśmiałe, bolesne akty zazdrości.

Wolno przyjąć, iż podobnie jak ból fizyczny, tak i zazdrość rodzi się i dojrzewa w głębi subiektywności i tylko w przeżyciu danej jednostki da się stwierdzić jej obecność, jakościowy charakter i intensywność. Z zewnątrz podmiotu dostępne są jedynie symptomy zazdrosnych doznań, nie da się jej jednak poznać inaczej, niż poprzez przeżycie bezpośrednie, osobiste, pierwszoosobowe. Samotność zazdrosnego podmiotu zrozumiała jest z tego powodu zwłaszcza, że to on sam dokonuje właściwego poznania swojej i cudzej sytuacji i sam zbiera argumenty za odpowiednią reakcją, czyli wejściem w stan zazdrości. Rzecz jasna, nie zawsze czynimy to sami na własną rękę, albowiem impulsy do zazdrości mogą powstać poza nami, najogólniej mówiąc: w przestrzeni społecznej. Ulegamy wtedy zdolnościom samoprezentacyjmym, a także wyrachowanej prowokacji w wydaniu niektórych albo i wszelkich obiektów pożądania. Najprościej rzecz ujmując, zazdrościmy tego, co się ku nam bezceremonialnie wychyla samo z jednoznaczną intencją wywołania aktów zazdrości, a więc z dobranym zestawem cech wartych pożądania, lecz dla nas niedostępnych lub wprost odmówionych. Czy tak pojęta zazdrość stanowi hamulec w rozwoju dobrych, przyjaznych, kooperacyjnych stosunków między ludźmi, czy też przeciwnie, dostrzec w niej można czynnik pozytywny, aktywizujący zarówno tych, którzy zazdrość budzą, jak i tych, którzy jej ulegają? Trudno jednoznacznie odpowiedzieć na to pytanie. Hipoteza jest wszakże interesująca, uznając, że po pierwsze, wiele ważnych, pożytecznych rzeczy czynimy po to głównie, aby wywyższyć się nad innych, wzbudzając w nich respekt poprzez poczucie niższości, w konsekwencji zaś zazdrość dla cudzych dokonań i posiadanych Wartości. Podobne efekty można zaobserwować po stronie przegranych; zazdrość wzbudza konieczność krytycznego spojrzenia na siebie, a dzięki temu przynajmniej ambitniejsza część zazdrośników zostaje zdopingowana do poszukiwania podobnych albo innych, lecz równoważnych osiągnięć. Wydaje się zresztą, że ten punkt widzenia potwierdzają dzieje kultury. Spore jej tereny rozbudowane zostały właśnie poprzez wykorzystanie negatywnego potencjału emocjonalnego. Według tej zasady aksjologicznej, należy tworzyć wartości nie dla nich samych, realizując jakiś atrakcyjny program obiektywnego porządku, leczy przede wszystkim po to i w taki sposób, aby prócz własnego zadowolenia pobudzać uznanie u innych. Wielkie uznanie jest zaś równoznaczne z poczuciem zazdrości. Staje się ono tym samym najbardziej precyzyjnym probierzem autentyczności aksjologicznej. Jeśli czegoś nie zazdrościmy, widać jasno, że nie warte jest pożądania.

ZAZDROŚĆ „O KOGOŚ"

W użyciu potocznym jest to najpowszechniejszy przejaw zazdrości. Towarzyszy ona ogółowi stosunków miłosnych, zazwyczaj z silną domieszką seksualnej namiętności, choć także nie omija innych relacji uczuciowych, na przykład przyjaźni, stosunków rodzinnych, nauczycielsko-uczniowskich, a także różnych, specyficznych form zażyłości, lojalności i związków zależnościowych na innych polach (polityki, gospodarki i instytucji społecznych nie wyłączając). Wymieniając rozmaite zastosowania pojęcia zazdrości „o kogoś", uznajemy tym samym występowanie jakościowej specyfiki poszczególnych odniesień międzyludzkich. Co innego mamy na myśli, gdy chodzi o sferę aktywności seksualnej, co innego zaś, kiedy jesteśmy zazdrośni o specjalne awanse dyrektora instytutu, krytyka sztuki, albo lokalnego przywódcy partyjnego. Zazdrość o przyjaciela różni się w ogóle i w detalach od niepokoju o równe względy ukochanej babci. Najciekawszy i najbogatszy w skojarzenia jest z pewnością przypadek relacji e r o t y c z n y c h , toteż skupienie się na tym gatunku zazdrości pozwoli dostrzec więcej, niż w innych dziedzinach. Wielu, jeśli nie większość teoretyków i pisarzy uważa nawet, iż z a z d r o ś ć j e s t s t a ł ą k o m p o n e n t ą m i ł o ś c i , a być może nawet należy do jej n a t u r y .

Czym jest tedy zazdrość o kogoś, w jakich okolicznościach jest możliwa, czego w istocie dotyczy, jak się rodzi i w jaki sposób się objawia? Czy zazdrość stanowi dyspozycję wrodzoną, czy też tworzy się w wyniku określonych doświadczeń, mianowicie sytuacjach zagrożenia podmiotowej suwerenności miłosnej? I dalej: czy zazdrość ma charakter trwały, należąc do niezmiennych zasobów osobowości zazdrośnika, czy też stanowi raczej uczucie ulotne, okazjonalne i tymczasowe, budząc się w sytuacjach uzasadnionego bądź urojeniowego niepokoju , zamierając jednak w innych, postrzeganych jako bezpieczne. Czy jesteśmy więc po prostu zazdrośni, w ramach silnych uczuć miłosnych, czy też tylko bywamy? I wreszcie: czy wszyscy ludzie posiadają taką samą wrażliwość na niebezpieczeństwo zdrady lub perspektywę utraty partnera, czy też mamy do czynienia z rozrzutem stanowisk; gdy jedni są chorobliwie, maniakalnie zazdrośni, a inni wyrażają postawy umiarkowane, to jeszcze następnym zazdrość jest doskonale obca?

Na niektóre z tych pytań da się uczciwie odpowiedzieć w oparciu o argumenty empiryczne, na inne wolno budować hipotezy lub w miarę pewne twierdzenia dzięki analizom esencjalnym. Kwestia typologii i rozkładu liczbowego wymaga stosownych badań nie tylko rozległych socjo-psychologicznych, ale również historycznych i porównawczo-kulturowych. Problemy istotowe oraz rozwiązania w zakresie możliwościowych modeli wymagają natomiast uważ-nych analiz filozoficznych. Zazdrość pojawia się na gruncie znormalizowanego – urzeczywistnionego lub tylko wyobrażonego – i głęboko

akceptowanego u k ł a d u m o n o p o l i s t y c z n e g o, obejmującego albo wszystkie sfery struktury partnera miłości, albo co najmniej tę ich część, którą uznajemy za bezdyskusyjnie priorytetową, a może nawet za k r y t e r i a l n ą d l a m i ł o s n e j r e l a c j i, i co za tym idzie - poddaną t o t a l n e j a n e k s j i przez podmiot zazdrości. Co to oznacza? Po pierwsze to, że zazdrość nie dotyczy dowolnego stosunku między ludźmi, lecz afektywnie najmocniej jej postaci, mianowicie m i ł o ś c i, dodajmy: wielkiej i namiętnej.

Po drugie, odwołujemy się tutaj do wzorca idealnego, kiedy to kochający, oddając siebie miłosnemu uczuciu, obejmuje intencjonalne władztwo nad partnerem swego ukochania, przyznając sobie swoiste p r a w o w y ł ą c z n o ś c i wobec partnera. Człowiek kochający automatycznie też ruguje wszelkie zakusy rywali, uznając je za uzurpację. Podobnie też odnosi się do ewentualnych lub faktycznych żądań partnera miłości, odmawiając mu kosztowania takiej wolności, która oznaczałaby przywilej swobodnego dysponowania sobą w stosunkach z intruzami w strukturze monopolu. Tak pojęta miłość stanowi tedy rodzaj z a w ł a s z c z e n i a, przeprowadzonego często tylko w umyśle kochającego, względnie stanowiącego akt ugody między partnerami, zazwyczaj obustronnej, choć nieraz wymuszonej. Pomyślane lub wypowiadane z emfazą oświadczenia woli: „jesteś moja" i „ jesteś mój" – są doskonałą ilustrację dokonującego się spontanicznie realnego zawieszenia swobód i suwerenności podmiotowych (jednostronnie lub wzajemnie). Deklaracje „jesteś moja" i „ jesteś mój" uzupełniane bywają w domyśle przeświadczeniem o równoległym własnym podporządkowaniu (”jestem też twój", „jestem też twoja") i tym samym żądaniu symetrycznego rewanżu. Symetria nie jest wszelako konieczna, toteż wiele podmiotów miłości okazując zazdrość, odmawia prawa do zazdrości drugiej stronie.

Po trzecie, partner miłosny zostaje ujęty w swej t o t a l n o ś c i, zarówno jako substancjalna całość, nade wszystko jednak rozciągnięta w całym czasie swego życia. A skoro tak, kochając kogoś, odnoszę się nie tylko do właśnie przebiegającej teraźniejszości obiektu uczuć, ale także do wszystkiego z jego dokonanej przeszłości i rodzącej się dopiero, lecz już wyobrażonej przyszłości. Miłość zdaje śię panować nad czasem realnym, zezwalając na aneksję stanów spoza podmiotowego doświadczenia. Czujemy się wtedy w możności, w prawie i chyba też w obowiązku objąć podmiotowym panowaniem przedmiotowy całokształt bez wyjątku, Zazdrość może okazać się b e z g r a n i c z n a, wnosząc pretensję o cokolwiek, także z okresu, w którym nie istniały żadne realne związki relacyjne, a tym bardziej uczuciowe między danymi partnerami. Najczęstszym przypadkiem bywa zazdrość o nie akceptowaną przeszłość dzisiejszego obiektu kochania, zwłaszcza faktu, iż mogli istnieć inni, równie uprawnieni jak ja obecnie do korzystania z prawa zawłaszczenia. Potężne wybuchy zazdrości łączą się także niepokojem o możliwe stany w bliskiej i nieco dalszej przyszłości. Jeśli ideałem miłości szczęśliwej jest zawłaszczenie całości bytu ukochanego partnera, to zazdrość lokuje się w stanach i okresach braku, a więc w bilansie przeszłościowej wyrwy w relacjach oraz możliwej utracie monopolu posiadania. Rzecz oczywista, zdecydowaną przewagę osiąga miłość determinowana przez intensywnie przeżywaną a k t u a l n o ś ć. Zazdrość kieruje się tedy albo w obrębie tego co było niedawno za wspólnych czasów danej pary, tego co właśnie jest i tego, co nadchodzi lub może nadejść w najbliższym czasie. Zazdrość ma ambicję odnoszenia się do perspektywy wiecznej (kochania „na zawsze", „po wsze czasy"), naprawdę jednak jest ona obiektywnie nieokreślona, niekiedy sięgając czasu tygodnia, miesiąca czy roku.

Po piąte, zdecydowanie najważniejsze i zapewne najczęstsze jest rozwiązanie kwestii zazdrości wedle kryterium psychobiologicznego, wyróżniającego obszary specjalne przedmiotu miłości. Chodzi o wyróżnioną, a nawet absolutyzowaną pozycję s t r e f e r o g e n n y c h, osobliwie g e n i t a l n y c h oraz całokształt d o z n a ń s e k s u a l n y c h jako takich, we wszelkich ich jakościowych odmianach i stopniach nasycenia, od delikatnych pieszczot i pocałunków, aż po szczytowe rozkosze orgastyczne. Przedmiot miłości, choć in astracto wzięty w całości swej konstrukcji substancjalnej, to jednak in concreto zostaje ograniczony poznawczo zabiegiem pars pro toto i skumulowany w postać symbolizowaną przez zestaw szczególnych wartości cielesnych i naadbudowanych nad nimi przeżyć hedonicznych (rzeczywistych lub tylko możliwych w wyobrażeniach podmiotu zazdrości). Nierozstrzygnięty jest, jak wolno sądzić, odwieczny spór o siłę sprawczą czynników w r o d z o n y c h, uwarunkowanych p o t ę g ą l i b i d o i szerzej: prawem zachowania gatunku, a zasadami n a b y w a n y c h r e g u ł s p o ł e c z n y c h, zwłaszcza zmiennością mnogich, detalicznych doświadczeń i zrodzonych z nich konkretnych nastawień wartościujących. Czy niszcząca moc negatywnych emocji miłosnych jest zawsze taka sama, czy też relatywizujemy zazdrość, zgodnie z historycznymi przeobrażeniami cywilizacyjnymi i kulturowymi (światopoglądowymi i obyczajowymi w szczególności)?

Na ostatnie pytanie przychodzi odpowiedzieć w oparciu o zgromadzone dane empiryczne, pochodzące z różnych epok, kręgów kulturowych oraz rozmaitych stylów życia, charakterystycznych dla wyróżnionych grup społecznych. W niektórych, skrajnie rygorystycznych formach kontaktów między płciami, zazdrość wywoływana może być przez wszystko: rozmowę ukochanej z przystojnym kuzynem, zainteresowaniem kazaniem kapłana, albo grą na cztery ręce z nauczycielem muzyki. Czasem do wzbudzenia gwałtownej zazdrości wystarczy zbyt uważne spojrzenie naszej ukochanej, dotyk obcej ręki przy powitaniu, albo odsłonięcie zakazanej części ciała (nogi, ramion, dekoltu). Impuls do zazdrości rodzi się w aktach uznane określonych stanów i zachowań za nieprzyzwoite i wyzywające, z odwołaniem się do panujących norm i podpowiedzi życzliwych bliźnich, ale także własnej wrażliwości oraz zdolności imaginacyjnych wybujałej wyobraźni. Na przeciwnym biegunie notujemy z kolei postawy całkiem per-misywne w zakresie zachowań erotycznych. Pomijając daleko posunięty lesseferyzm męski w kulturach patriarchalnych, a przede wszystkim praktyki poligami-czne (z hipotetycznym rewanżem poliandrycznym), wystarczy sięgnąć do przykładu tak zwanych związków czysto partnerskich, w których kochający się partnerzy dopuszczają wzajemne seksualne zaangażowanie z innymi osobami, a nawet – jak to się dzieje w ruchach orgiastycznych grup swingerskich – organizuje się sobie wzajemnie odpowiednie przyjemności, z założeniem całkowitego wykluczenia zazdrości, lub też , co bardziej prawdopodobne s u b l i m a c j i m i ł o s ne go u c z u c i a w jakiś rodzaj podniecającego, masochistycznego altruizmu. Zazdrość mogłyby wzbudzić raczej zachwyty nad sukcesami intelektualnymi, artystycznymi, sportowymi, lub finansowymi innego mężczyzny, albo uznanie, że druga kobieta piękniej śpiewa, biega przez płotki, pisze zgrabnejsze felietony ora sprawniej rozwija swą praktykę adwokacką – wszystko w porównaniu do osiągnięć naszej stałej partnerki. Zazdrość zdaje się wtedy omijać główne trakty, przede wszystkim sferę naturalnych emocji erotycznych, przenosi się na rozległe tereny właściwości kulturowych.

NARCYZ M, KOMPLEKSY, OBSESJE

Powodów zazdrości może być wiele, ale równie ciekawe są jej związki z rodzajem o s o b o w o ś c i z a z d r o ś n i k a. Jedni podobni są sielankowej krainie ładności, w której króluje spokój i poczucie niezachwianej ufności do drugiego człowieka. Inni,

przeciwnie, wstępują w każdą relację międzyludzką, a zwłaszcza międzypłciową z ogromną wstrzemięźliwością emocjonalną, lękiem, tudzież strategiczną ostrożnością w praktyce. Sięga ona granic pełnej niewiary w szczęśliwy przebieg każdego, nawet najmniej ryzykownego przedsięwzięcia. Stosunek do zaufania bywa zapewne wypadkową wcześniejszych doświadczeń. Ludzie zazdrośni to ci zazwyczaj, którzy zostali zranieni wcześniej przez zdradę, poniżenie i porzucenie (niekoniecznie na tle miłosnym). Niewykluczone jednak, iż skłonność do zazdrości stanowi wyposażenie wrodzone, choć o różnym stopniu nasilenia u poszczególnych osób, odpowiednio uwrażliwionych i podlegającym zasadom kulturowej powściągliwości, tudzież indywidualnym zdolnościom tłumienia pierwotnych uczuć.

Osobom o wysokim współczynniku e g z y s t e n c j a l n e j n i e p e w n o ś c i oraz n i s k i e j s a m o o c e n i e s p o ł e c z n e j, przemieszanej z powracającymi wciąż stanami lękowymi, stosunkowo łatwo przychodzi prze-nosić się na teren zazdrości o upatrzonego i upragnionego partnera, a także o inne zdarzenia i wartości z nim związane. Zazdrość stanowi wtedy, być fenomen przeniesienia na drugą osobę własnej, niejasnej lub jednoznacznie wzgardzonej pozycji. Zazdrość staje się wówczas wygodnym medium i kamuflażu kompleksu niższości: wyrażam więc w aktach zazdrości po prostu naruszenie swojej zdeptanej godności czyli narcystycznej miłości własnej.

W sytuacji biegunowo przeciwnej znajdują się natomiast osobnicy wyposażeni w poczucie stabilności, ładu i przewidywalności ogółurelacjizeświatem. Pewnisiebieiwłasnejwartościodpornisązzasady na podszepty Jagona, reagujący racjonalnie i z niezbędnym dystansem emocjonalnym, prawdopodobnie niezdolni nawet do wyhodowania w sobie autodestrukcyjnego demona Otella. Zazdrość musiałaby wtedy stanowić stan niezgodny z przeżywanym porządkiem rzeczy tak w obrębie skłonności podmiotowych, jak i faktów przedmiotowych,. Zjawiska związane z niepokojami i dramatami zazdrości, jeśli są w ogóle możliwe do pogodzenia ze zdrową normalnością, to z pewnością są niezmiernie rzadkie i uznawane za nadzwyczajne.

Nietrudno dostrzec, iż z pośród rozmaitych charakterów i typów osobowości, zdecydowanie wyróżnia się właśnie postać N a r c y z a , jako szczególnie bliskiego genetycznie i funkcjonalnie postawie zazdrości, Narcyzm jest równoznaczny z monopolem bezkrytycznego zakochania w sobie, przekonaniem, że to poczucie wyjątkowej pozycji własnej osoby powinno być podzielane przez wszystkich, a co za tym idzie, radykalne niedopuszczenie możliwości, że ktoś mógłby się z tej zasady wyłamać. Adoracja mojego Ja to bezwyjątkowe prawo powszechne, toteż miłość do mnie, Narcyza. musi obowiązywać każdego, na kogo padnie akt łaskawości narcystycznego obstalunku. Narcyz jest zazdrosny o najmniejsze nawet uchybienie swej absolutnej pozycji, zwłaszcza o brak oczekiwanej gorliwości miłosnej. Trzęsieniem kosmosu zaś jest zaś dlań niezrozumiały z gruntu fakt zwrócenia się tej oto, tamtej, ale i dowolnej osoby w inną stronę, z góry niegodną należnego tylko Narcyzowi uczucia. Każdy konkurent jest też z pewnością nieporównywalny z wartościami i uprawnieniami Narcyza. Wypływa stąd wniosek, iż egoistycznie rozumiana krzywda zaniechania lub odrzucenia, może być traktowana jako obrona zasad ogólnych, a tylko przy okazji potrzeb zazdrośnika. Kochać wolno jedynie Narcyza, a kto czyni inaczej, lub przynajmniej sprawia takie wrażenie, ten nie tylko przysparza cierpień jemu, jednostkowemu wcieleniu doskonałości, lecz zdaje się łamać uniwersalne prawa bytu. Narcystycznie usposobieni osobnicy nie potrafią zrozumieć, po pierwsze ograniczeń własnych, a w konsekwencji zróżnicowanych form akceptacji posiadanych przymiotów. Nie pojmują, po wtóre, że istnieją inni, rywalizujący z nimi pretendenci do uczuć wybranego partnera, być może posiadacze cnót porównywalnych, a nawet przewyższających nasze własne. Po trzecie, skłonni do radykalnego monopolizmu, wyzwalają zazdrość na wszystkich polach, często neutralnych w kwestii zasadniczej. Narcyz bywa bowiem zazdrosny o wszystko, także o cechy i zdarzenia całkowicie obojętne dla miłości. Narcyz wykazuje iście boskie poczucie swej totalnej najwyższości, toteż nie pojmuje, jak można w ogóle dostrzec kogoś innego, spojrzeć na niego z sympatią, rozmawiać, czy też dostąpić współuczestnictwa w jakimś wydarzeniu. Podejrzane okazuje się nie tylko b y c i e z k i m ś w dowolnej wersji, lecz również b y c i e o b o k. Zazdrość okazuje się tedy pochodną owej założonej totalności. Ważne jest to jedynie, co jest złączone z jego osobą, wszystko pozostałe nie warte jest uwagi. Tym samym jednoznacznie określona jest własność drugiej osoby, mnie, Narcyza kochającej. Każdy kogo Narcyz desygnował do partycypacji w liturgii samouwielbienia jego wysokości, zostaje pozbawiony prawa nawet chwilowego oddalenia, (nie wspominając nawet o przekazaniu lub wynajmie siebie poza Narcyzową sferą). Narcyz jest jedynowładcą miłości. Po przeciwnej stronie sytuuje się człowiek obciążony k o m p l e k s e m n i ż s z o ś c i, o niskiej samoocenie, zagubiony w świecie i niepewny własnych sił. Mniej jest istotna jest kwestia genezy i formuła uzasadnienia takiej pozycji, niezależna zapewne wyłącznie od obiektywnych powodów, bardziej zaś od subiektywnych urojeń nieszczęśnika. Czy mamy do czynienia z samo degradacją jako punktem wyjścia, czy degradacja zostaje przeprowadzona poza zdegradowanym? Oto jest kolejne pytanie.

Spór o źródło poniżenia ma dramaturgię podobną debacie nad pochodzeniem wszelkiego wywyższenia. Jeśli Narcyz jest w głębi swej istoty autentycznie sobą zachwycony, to osobnik z kompleksem niedowartościowania z równie fundamentalnym przekonaniem kwestionuje moc i urodę swej pożałowania godnej podmiotowości, pogardza więc sobą, nie wierzy we własne talenty, wdzięki i siły, obniżając we własnych oczach poziom swych możliwości i szans aprobaty. Niska samoocena, a także niezdolność dostrzegania skąd inąd niewątpliwych zalet (przysługujących wszak każdemu żywemu człowiekowi), zdają się przekreślać prawo do posiadania normalnych, ludzkie potrzeb i dążeń do uczestnictwa w dobrodziejstwach gatunkowych i społecznych, a zatem odwołania się co najmniej do części aksjosfery. Jeśli uznajesz siebie za wykluczonego i niegodnego kochania, to czy możesz domagać się nadzwyczajnego przywileju miłości inaczej, niż poprzez przełamywanie barier zazdrości o wszystkich i o wszystko? Wielce to wątpliwe, zwłaszcza, że twórcą stawianych przeszkód jest zwykle sam zainteresowany.

Kwestionując z założenia prawomocność racji dla swych pragnień, osobnik zdegradowany sam przez siebie jednocześnie przecież jest wyposażony w zdolność kierowania się ku właściwie rozpoznanym celom. Ujawnienie przed sobą i światem natury człowieka „niższego", nie zmienia jednak niczego w samej jego istocie. Opanowany przez kompleks niższości osobnik wciąż pozostaje człowiekiem, a więc przede wszystkim p r a g n i e k o c h a ć i b y ć k o c h a n y m . Dążenie to jest niezależne od świadomości, iż cel to trudno osiągalny, a być może niezasłużony, w każdym zaś razie niezależny od podmiotowej ochoty na szczęście. W konsekwencji zaś coraz boleśniejsze okazują się uczucia towarzyszące ujawnianym brakom szans, przykrzejsze zaś są skutki blokady lub całkowitej utraty okazji. Zazdrość jawi się tedy jako stan naturalny, oczywisty, zrozumiały sam przez się.

Podmiot zdegradowany (samozdegradowany) wyznacza właściwe dla swej sytuacji, wielokierunkowo rozpostarte

i n t e n c j o n a l n e p o l e z a z d r o ś c i . Uczucie to wskazuje w pierwszym rzędzie ogół potencjalnych i rzeczywistych rywali , uznanych a priori za lepszych od siebie. Równolegle zazdrość obejmuje krąg możliwych wybranek, z których każda wydaje się niedostępna, niemożliwa do zdobycia i niezdolna do afektu do nas skierowanego. Wreszcie z największą mocą objawia się zazdrość skonkretyzowana, skierowana wprost na przedmiot zrodzony we mnie, a zbudowany z moich emocji, namiętności i czułości, stworzony na obraz na tego, kto został wybrany na żywy substytut uczuć właściwych. Funkcje zastępcze przejmuje tedy ten, kto pojawia się na mojej, podmiotowej drodze do wymarzonego szczęścia wzajemnego.

CIERPIENIE OSTRZEGAWCZE I OCHRONNE.

Z wyjątkiem przypadków radykalnego masochizmu, kiedy człowiek czerpie z zazdrości przyjemność poniżenia i samoudręczenia, to w planie ogólnym sensu i zakresu tego pojęcia jest tak, iż zazdrość niewątpliwie należy do niez-mierzonego przestworu uczuć i wartości negatywnych, zwanych c i e r p i e n i a m i . Przykre są małe i krótkotrwałe ukłucia niepokoju o kogoś lub o coś, co powinno i mogłoby być moje (nadal lub dopiero kiedyś). Nieprzyjemne bywają stany średnie, zwykle nieprzerwanie falujące, kiedy to trudne do zniesienia lęk i poczucie krzywdy mieszają się z fazami pozornego gaśnięcia, by za chwilę na nowo ścisnąć nas za gardło. Najtrudniej sprostać cierpieniom wielkim, strasznym i nieprzerwanym, które niosą rozpacz i brak nadziei, nie pozwalając człowiekowi nigdy i nigdzie ukryć się przed powalającym ciosem zazdrości, niszczącym nasze jestestwo, gaszącymi przytomność i spalającymi na popiół moce życiową nieszczęsnego zazdrośnika. Cierpienia zazdrosnej duszy zdaja się wykazywać podobny charakter jak b ó l w sferze cielesności. Sam w sobie jest on złem po prostu, zaś ból wielki i straszny, wprost niemożliwy do zniesienia, zabijający człowieka, jest złem totalnym i bezwzględnym, niegodnym jakiegokolwiek usprawiedliwienia. Ból fizyczny pełni jednak nierzadko trzy inne, ważne, względnie pozytywne funkcje, z zasady z sobą sprzężone. Po pierwsze, chodzi o funkcjeę p o z n a w c z ą , a więc o ujawnienie tajonego dotąd – względem wiedzy podmiotu – obiektywnego faktu schorzenia i jakichś jego nieznanych wcześniej źródeł. Po drugie, ból o s t r z e g a zarówno przed niebezpieczeństwem już działających przyczyn strukturralnej dysharmonii i prawdopodobnych, jeszcze gorszych następstw. Po trzecie, ból pełni dyskretnie lub w sposób jawny, często zaś nawet alarmujący funkcję o c h r o n n ą . Apeluje mianowicie do podmiotu, by podjął on stosowne przeciwdziałania, sam stanowiąc kryterium ich skuteczności (mijanie boleści staje się znakiem zdrowienia). Ochrona polega też niekiedy na przygotowaniu organizmu do dalszej, być może coraz groźniejszej w skutkach walki z chorobą. Istnieją zatem wcale poważne powody, by dostrzec pragmatyczne zalety fenomenu bólu jako z ł a m n i e j s z e g o , dokonując w ten sposób próby jego swoistego usprawiedliwienia. Bez spontanicznej obecności i zdolności sygnalizacyjnych przeżyć bolesnych, procesy destrukcji dokonywałyby się tak czy inaczej, acz kolwiek w złowróżbnej, obojętnej ciszy, poza wiedzą i kontrolą zainteresowanej świadomości.

Analogia z miłosną zazdrością zdaje się nie przypadkowa. Czy cierpienie nieszczęśliwych kochanków, skumulowane w uczuciach zazdrości właśnie, nie pełni aby podobnej roli, pozwalając na wyostrzenie narzędzi poznających , penetrujących z podejrzliwą skrupulatnością całą strukturę erotycznego związku i wszelkie jej detale? Czy nie dochodzi dzięki podwyższonej temperaturze zazdrosnych przeczuć do wskazania potencjalnych niebezpieczeństw: ulehaniu fikcji, kłamstwu i zdradzie, a w konsekwencji do zdopingowania zazdrośnika do po-czynienia odpowiednich kroków zaradczych, służących albo obronie trwałości związku (jeśli jest to możliwe), albo pogodzenia się z nieprzyjemną prawdą w imię zachowania godności przegranych uczestników miłosnej pary? Odpowiedzi nasuwają się same.

Zazdrość występuje przede wszystkim jako stan wzmożonej czujności, koncentracji uwagi i wyższych poziomów przenikliwości w rozpatrywani u lepszych i gorszych scenariuszy przyszłych wydarzeń (bliższych i dalszych). Człowiek zazdrosny bierze pod uwagę zarówno wiedzę ogólną, dotyczącą całej dosteopnej wiedzy o miłości jej rozpadzie, jak i szczególne właściwości danej sytuacji i cechy jej uczestników. W perspektywie ogólnej chodzi o skorzystanie z arsenału dobrych rad i zaleceń wynikających ze zgromadzonego materiału porównawczego i dostosowania go do konkretnej sytuacji. Mieszczą się tutaj prze-de wszystkim trywialne mądrości, głoszące, że skoro mężczyźni skorzy są do grzechu słabości względem atrakcyjnych, młodych kobiet, to należy pobudzić zazdrosna aktywność, gdy potencjalna uwodzicielka znajdzie się w pobliżu na-szego ożywionego ukochanego. W polu zawężonej ostrożności powinna pojawić się też zazdrość partnerkę, o której wiemy, iż specjalnie jest czuła na przykład na muzyczne popisy lub intelektualną sprawność, a właśnie znajduje się w towa-rzystwie potencjalnego rywala o podobnych, wzorcowych walorach.

Pojawienie się zazdrości zapewne znacznie częściej jednak jest rezultatem zjawisk zachodzących w obrębie uwarunkowań specyficznych, określonych przez dobór konkretnych osób, w ściśle określonych okolicznościach i czaso-wym rytmie procesów erozyjnych, zagrażających danej miłości, a przynajmniej siejących spustoszenie pośród podmiotów zaangażowanych uczuć. Zazdrość stanowi wtedy konieczny odzew na hasło swoiste i niepowtarzalne, lub na sytuację, która stanowi jakąś formę stałego nastawienia na pewien typ niebezpie-czeństwa.

Ostrzegawczą rolę pełni zazdrość r e p e t y c y j n a , kiedy na horyzoncie pojawia się były partner mojej partnerki, skory do powrotu i powtórki dawnych przeżyć , albo ktoś, kto reprezentuje sprawdzony typ jej dawnych lub odnowio-nych upodobań. Specjalną wrażliwość wykazujemy w sytuacji intensywnej, a permanentnej b l i s k o ś c i p o z a e r o t y c z n e j , zrazu przestrzenno-czasowej tylko i neutralnej emocjonalnie, ale zawsze z szansami, by ilość przeszła w jakość, czyli częstotliwość spotkań (w pracy, w sąsiedztwie, w imprezach towa-rzyskich, wycieczkach. wczasach itp.,) zdołała przekształcić się niepos-trzeżenie w nowy rodzaj autentycznych kontaktów uczuciowych. Zróżnicowaniu sytuacyjnemu towarzyszy nierzadko skłonność do hołdowania spetryfikowanym wzorcom i zakresom zazdrości. Zazdrość s e l e k t y w n a skupiona jest na wybranych osobnikach i okolicznościach, a także sposo-bach zachowania ukochanego partnera. Obdarzony wybiórczą wrażliwością człowiek poddaje się zazdrości tylko niekiedy, nie wobec każdego rywala i nie w dowolnej sytuacji. Zazdrość budzą wyłącznie określone impulsy, wyposażone w odpowiednia intensywność i jakościowe zabarwienie. W wielu wypadkach wolno mówić nawet o konieczności przekroczenia indywidualnego p r o g u w r a ż l i w o ś c i , kiedy to osoba, do pewnego momentu spokojna i pełna ufności, przeistacza się w jednej chwili w wulkan podejrzeń i niszczącej zazdrośnika niepewności Jeśli istnieją rzeczywiste powody, wstąpienie na minowe pole zazdrośni może jednakże wywołać reakcję ozdrowieńczą, na przykład poprzez usunięcie bezpośrednich przyczyn ewentualnej destrukcji danego związku miłosnego.

Zazdrość selektywna przypomina sytuację o b i e k t u w z g l ę d n i e i z o l o w a n e g o , sprawdzalnego w swej istocie w świecie bytów żywych. Każdy organizm jest odporny na bodźce kierowane doń od jednych przedmiotów otoczenia, bezradny bywa jednak, gdy zaatakują go inne obiekty. Pierwszy warunek określa szanse życia danego przedmiotu, warunek drugi wskazuje dla-czego mogą istnieć inne przedmioty, żywiące się

cudzym kosztem. Zazdrośnik o wybiórczym nastawieniu, wykazuje niepokój o niektórych możliwych konku-rentów i niektórych sytuacji, wobec pozostałych zachowuje natomiast dostojną pewność i prawdziwie olimpijski spokój.

Zupełnie odmiennie postępuje podmiot z a z d r o ś c i t o t a l n e j. Jest on zazdrosny o wszystkich, wszystko, zawsze i wszędzie, uznając za naturalną pozycję bytu zagrożonego w wymiarze absolutnym, a więc poddanego presji sił wszelkich bez wyjątku, szkodzących mu z każdej strony i bezustannie. Zazdrośnik totalny uznaje zatem siebie za przypadek obiektu b e z w z g l ę d n i e o d o s o b n i o n e g o , pozbawionego możliwości izolacyjnych wobec wszystkich rodzajów bodźców zewnętrznych. Chociaż najprawdopodobniej nie istnieją w ogóle realne obiekty bezwzględnie nieizolowane, zazdrośnik totalny nie przyjmuje tego do wiadomości, uznając, iż bezpieczniej jest przyjąć koncepcję wszechstronnej podejrzliwości i wokół nie zorganizować własne i cudze życie. Swiat zazdrości totalnej wspiera się na przeświadczeniu, iż wokół mojego szczęścia posiadania tworzy się kokon intryg, wszyscy zaś sprzysięgają się potajemnie, by mi zabrać i zniszczyć moją miłość, godność i sens życia. Zazdrośnik totalny musi zatem uruchomić wszystkie dostępne mu środki i moce, aby chronić teren swego posiadania, buduje więc mury obronne (dosłownie i w przenośni), w każdym innym człowieku upatrując wroga, gotowego do ataku na jego pozycje. Zazdrość totalna zrodziła najpewniej określone wzorce k u l t u r y z a m k n i ę t e j , być może przenosząc jej wartości i mechanizmy na obszary odległe od pierwowzoru zazdrości miłosnej. Nie należy jednak pominąć aspektu szczególnej n a d w r a ż l i w o ś c i s u b i e k t y w n e j , przejmującej kreacyjną rolę w niby-realnym świecie osobniczej imaginacji. W sytuacjach cielesnego bólu dyspozycje te ujawniającej się generalnie w różnych odmianach hipochondrii oraz w specyficznych przypadkach bólu fantomowego. W obrębie zjawisk zazdrości, nadwrażliwość prowadzi do zakłócenia relacji odpowiedniości między obiektywnymi przyczynami uczuć a ich faktyczna, subiektywną treścią, a więc do pojawienia się z a z d r o ś c i c h o r o b l i w e j . Zazdrość rodzi się wtedy wyłącznie ze składników fałszywych wyobrażeń i przeczuleń patologicznie zazdrosnego podmiotu, bez żadnych powodów pozapodmiotowych. Wypada wszelako zauważyć, iż nader płynna jest granica między zazdrością naturalną i poniekąd uzasadnioną a jej chorobliwą odmianą. Przebiega ona poprzez tereny, wyznaczone z jednej strony przez obyczajowość i normy kulturowe, z drugiej zaś przez zróżnicowane cechy osowościowe indywidualnych partnerów i ich otoczenia. Kulturowy per misywizm spotyka się tutaj zatem z emocjonalną, immunologiczną odpornością danych jednostek. Podkreślmy raz jeszcze, że to co nie wywołuje żadnych negatywnych skutków w epokach normatywnego liberalizmu i zdrowym podejściu partnerów, to w innym czasie, w innych warunkach i pośród osobników obdarzonych kompleksami i przerostem miłości własnej, powoduje niejednokrotnie wybuchy zazdrości gwałtownej i ślepej.

Z POWODU I BEZ POWODU

U podstaw fenomenu zazdrości znajdujemy wielce pogmatwaną kwestię własnościową, a więc zawłaszczenia i posiadania, ale też i walki o odsunięcie od danego dobra konkurujących a niebezpiecznych dla siebie rywali. Problem własnościowy stanowi tedy zarówno sens zazdrości, jak i źródło pragnień określonych wartości aktualnych (na ogół przyjemnych) oraz projektowanych i oczekiwanych w a r t o ś c i p r z y s z ł y c h . Są one zazwyczaj nieokreślone w swych jakościach, dysponując wszelako, niczym swoistą przyczyną celową, samodzielną siłą sprawczą , tworzącą się w biegu dziejów wszechświata jako takiego, nade wszystko zaś w procesie permanentnej r e p r o d u k o n k c j i g a t u n k o w e j . „Samolubny gen" (wedle znanego terminu Dawkinsa) zdaje się zmuszać nas do uruchamiania – kiedy trzeba – poczucia zazdrości i zazdrosnego zachowania jako remedium na zagrożenie genowych uprawnień. W ten sposób ujawnia się u n i w e r s a l n a r a c j a z a z d r o ś c i jako stanu indywidualnej mobilizacji w nieuchronnym, ontologicznym konflikcie w gatunkowej grze o sukces genetyczny. Walka o pozycję m o i c h genów, stronniczo przeze mnie wyróżnionych, jest i musi być bezkompromisowa, dotyczy bowiem rozstrzygnięć jednoznacznych, na pewno zaś pozbawionych szans na uzyskanie poziomu „złotego środka". Zwycięzca może być tylko jeden (jak na olimpijskim stadionie), a dokładniej: finał jest ostatecznie tryumfem wyłącznie j e d n e g o e r o t y c z n e g o z w i ą z k u j e d n e j p a r y l u d z i , owocującego bowiem ich właśnie potomstwem. Spełniając rolę regulatora ruchu interesów osobniczych i rodzinnych w znaczeniu biologicznym, zazdrość uczestniczy także w tworzeniu ochrony ich barier w zakresie walorów społeczno-kulturowych, a nawet w formowaniu spe-cjalnych układów symbiotycznych obydwu dziedzin wartości (biologicznych i społecznych). Chodzi najzwyczajniej o s u k c e s j ę najszerzej pojętą, a więc o taki porządek zdarzeń, aby dany podmiot możliwej zazdrości uzyskał pewność co do bezpieczeństwa swej pozycji biologicznej, społecznej i ekonomicznej za-razem oraz podobnych, niekwestionowanych perspektyw dla progenitury. Zazdrość zdaje się mieć tedy wyraźne zakreślone p o d ł o ż e e w o l u c y j n e , występując nie tylko w charakterze p r z y c z y n y s p r a w c z e j względem ludzkich zachowań, lecz również p r z y c z y n y c e l o w e j , wysstępując już nie tyle z jakiegoś powody czasowo wcześniejszego, ile p o c o ś. Jak należy rozumieć tę determinację, rozciągniętą w czasie ku przyszłości?

Po pierwsze, zazdrość wyrasta w akcie przekroczenia granicy indywidualnej teraźniejszości, a więc takiego pojmowania siebie, jakie wynika z momentalnego przebłysku „ja" w wewnętrznym doświadczeniu rers cogitans. Po drugie, dokonuje się przełamanie stanu zdarzeniowej jednostkowości, w doniosłym kulturowo odkryciu obecności innych osobników, tworzących wspólną groma-dę. Po trze-cie, pojawia się wreszcie akt zróżnicowania społecznego otoczenia i ukonstytuowania dwóch podzbiorów: m o ż l i w y c h i r z e c z y w i s t y c h p a r t n e r ó w e r o t y c z n y c h oraz n o ż l i w c h i r z e c z y w i s t y c h r y w a l i . Po czwarte, mamy też do czynienia z niezwykle istotną poprawką w schemacie dyferencjacji, mianowicie z pojawieniem się i utrwaleniem s e l e k- t y w n e g o a l t r u i z m u . Polega on, z jednej strony, na bezwzględnym i względnym zmniejszeniu podzbioru potencjalnych partnerów (zostawiając ich do dyspozycji innych osób), ale z drugiej – na minimalizacji liczby potencjal-nych rywali (stają się oni współudziałowcami związków z niedoszłymi partne-rami). Przestajemy zatem być zazdrośni totalnie: o wszystkich i wszystkich ich partnerów. Po piąte, utrwala się szczególny stosunek do otoczenia r o d z i n n e g o . Relacja ta charakteryzuje się na ogół zdecydowaną prze-wagą naturalnych opiekuńczych, neutralnych erotycznie uczuć altruistycznych, obejmujących całą g r u p ę k r e w n i a c z ą . Ustępuje wówczas pierwotny egoizm indywidualnego monopolu, generujący uczucia namiętności i zazdrości zarazem, oraz żywiołowe formy ich przejawów, aż do nienawiści wobec autentycznych bądź uroonych uzurpatorów i krzywdzicieli, sięgając do granic szaleństwa rozpaczy lub agresywnej, mściwej zajadłości włącznie.

Wszystkie przemiany historyczne przynoszą wiele ciekawych, nieraz zaskakujących rezultatów, zarówno na poziomie psychologicznie głębokiej charakterystyki osobniczej, jak i społecznych reguł współżycia na rozległym terenie konfliktów między ludźmi. Jesteśmy jako gatunek zapewne podobni do siebie pod względem

ogólnych, powierzchniowych standardów, równocześnie jednak bywamy niezwykle zróżnicowani w szczegółowych właściwościach i niepowta-rzalnej kompozycji składników. Indywidualność oznacza wtedy – zgodnie z etymologią – byt atomowo prosty, egzemplarycznie jeden jedyny, słowem: monadyczny. Przekraczając bariery biologicznych impulsów, tolerujemy w konsekwencji – po ojcowsku i macierzyńsku – obcych partnerów dla synów i córek. Stłumienie pierwotnej, niekontrolowanej, chaotycznej, czy, jak kto woli, „zwierzęcej" zazdrości stanowi krok w istocie rewolucyjny w antropo- i socjogenezie; przejście Rubikonu monopolistycznych zasad wewnątrzrodzinnych staje się znakiem rozpoznawczym narodzin świata ludzkiego. Różni się on wtedy zdecydowanie – wedle znanej sugestii Freudowskiej – od przedludzkiej prehistorii, broniącej bezwyjątkowego monopolu samca Alfa. Ludzka, swobodniejsza w uczuciach i czynach rzeczywistość. okazuje się także odmienna od natury panteonu bogów, którzy tworzą swe potomstwo z samych siebie lub wiążąc się faktycznie i formalnie zarazem – wedle kanonu świętości „łoża prawego" - wyłącznie z boginiami, czyli matkami, siostrami i córkami. Zarówno powody podsycania, jak i powściągania zazdrości mają swe korzenie w dziejach gatunku i historii poszczególnych społeczności. Podobne przyczyny mogą objawiać się, rzecz oczywista, także w przypadkach dojrzewania indywidualnego, występując z rozmaitym nasileniem w życiu poszczególnych ludzi, poddanych presji swoistych, czasem osobliwy prowokacji losu. Jedni wyzwalają zazdrość jako rodzaj aktywności o b r o n n e j , ratując swą zag-rożoną pozycję przed odsunięciem i deprecjacją personalną. Inni traktują zazdrość natomiast jako sposób przedłużenia specjalnego – samczego lub samiczego – przywileju stałej reprodukcji a g r e s y w n e g o m o n o p o l u . Jednym i drugim towarzyszą zarówno nieuświadomione podniety do określonych zachowań, ale i dojrzałe zestawy przekonań, co do słuszności, a nawet konieczności zachowań według praw niezmiennej natury. Zazdrość jawi się wtedy jako uczucie nie tylko potrzebne człowiekowi samo z siebie do utrzymania swego miejsca na ziemi, ale i narzędzie do wyładowania osobniczej e k s p r e s j i e g z y s t e n c j a l n e j , dążącej do z a w ł a s z c z e n i a w s z e l k i e g o , p o ż ą d a n e g o " n i e – j a ",

Jeżeli uznać, iż zazdrość erotyczna stanowi afekt źródłowy i archetypiczny, to warto też dostrzec i docenić jego zdolność t r a n s p o z y c y j n ą . Niejednokrotnie mamy wszak do czynienia ze zjawiskiem przeniesienia doświadczeń zazdrości pozaerotycznej (wyniesionej zwykle z okresu dzieciństwa) na teren specyficznego współzawodnictwa miłosnego. W większości rzeczywistych aktów zazdrości, głębokie i najgłębsze powody emocjonalnych napięć i aberracji uczuć dotyczą jednak szczególnych cech sytuacyjnych, związanych z doborem konkretnych aktorów (przedmiotu zazdrości i rywali, zwłaszcza), jak również danym miejscem, czasem, okolicznościami i całym tłem społeczno-kulturowo-obyczajowym. Odmienne są tedy przeżycia neurastenicznego Otella, skierowane ku niewinnej Desdemonie (ale z podżegającym alterego Jagona), inne zaś szlachetnego Tristana, aprobującego małżeństwo Izoldy z umiłowanym królem Markiem. Jeszcze inne natomiast bywają emocje milionów współczesnych kochanków, którzy zdolni są nie tylko do zamazywania dawnej i bliskiej przeszłości partnerów, lecz i do panowania nad uczuciami teraźniejszego, aktualnego monopolu zarówno w sferze uczuć „czystych" (na przykład miłosnych relacjach internetowych), jak i w obrębie najbardziej oczywistej, praktykowanej realności samej w sobie. Nie chodzi przy tym, rzecz jasna, o nadzwyczajną rolę zachowań seksualnych w uzewnętrznianiu miłości i zazdrości, lecz o całokształt zachowań i generujących te zachowania przeżyć. Pytanie o zazdrość dotyczyć może kwestii e w o l u c y j n y c h r u d y m e n t ó w , przede wszystkim zaś bezwzględności i niezmienności twardych praw biologicznych, które - żądając podporządkowania - usprawiedliwiają, po pierwsze, p r y m a t s i ł y i a t r a k c y j n o ś c i nad rozumnym kompromisem współżycia zróżnicowanego ogółu ludzi, tym samym też akceptują zasadność wszelkich, w tym wyraźnie nieprzyjemnych konsekwencji, wynikających z prób zaburzenia owego naturalnego porządku. Jeśliby każdy znał i akceptował swe miejsce w szyku, nie dochodziłoby nigdy do anomalii w myślach i czynach; zazdrość nie byłaby wtedy we ogóle możliwa, albowiem nie miałby kto zazdrościć i nie byłoby o co.

Po drugie, chodzi o problem p r y m a t u e g o i z m u o s o b n i c z e g o , opartego o nader jasną intuicyjnie z a s a d ę j e d n o ś c i a f e k t ó w i a k t ó w p r o k r e a c j i . Głosi ona, że relacja zbliżenia i pragnienia określonych osobników stanowi sprawczą przyczynę, a na pewno warunek sprzyjający zapłodnieniu, a potem wychowaniu własnego potomstwa , natomiast ingerencja obcych rywali jest zagrożeniem dla genetycznej pewności i zaburzeniem uczuć opiekuńczych. Oczywiste się staje, że to. co nazywamy miłością (zapewne przesadnie w wielu przypadkach) musiało wzbudzać ongiś zazdrosną gotowość osobniczą. Ewolucja biokulturowa poszła jednak dalej, osłabiając rangę pierwotnych zasad i podważając potrzebę zachowania osobniczego egoizmu.

Z jednej strony, związek miłości z prokreacja uległ znacznemu osłabieniu, a nawet w wielu przypadkach wyraźnemu rozerwaniu. Więzi uczuciowe nie muszą wcale wspierać się o podstawę biologiczną, zaś potomstwo niekoniecznie jest efektem miłosnych wzlotów akurat. Z drugiej strony, nastąpiło faktyczne – choć z pewnością nie powszechne w skali światowej – r o z e r w a n i e z w i ą z k u s e k s u a l n e j a k t y w n o ś c i z p r o k r e a c j ą . Zazdrość o ukochanego partnera przestaje mieć charakter ochronny wobec gemów, przenosząc się na teren czysto przeżyciowy, co więcej: głównie w stronę przeżyć hedonicznych. Mówić najprościej, w dobie skutecznej antykoncepcji anachroniczne staje się objaśnienie genezy konkretnych, dzisiejszych zazdrości argumentem lęku przed nie swoją progeniturą. Nie oznacza to jednak, iż wygasły wszystkie powody do utrzymywania w społecznej i indywidualnej podświadomości treści petryfikujących onegdajsze racje. Przekraczając progi ewolucyjnych doświadczeń, współczesna i przyszła zazdrość może i musi się skupić na możliwości utraty wyróżnionej pozycji w dziedzinie wspólnoty wzniosłości, ale w szczególności w kręgu miłosnych igraszek.

Trudne do rozstrzygnięcia jest wszakże pytanie, czy aby na pewno kurczy się – stale i konsekwentnie – obszar powodów do zazdrości (sprawczych i celowych)? A jeśli tak, czy oznacza to szansę lub konieczność zmniejszania się też względnej ilości zazdrosnych przeżyć ludzkich, zwłaszcza miłosnych dramatów zazdrością wywołanych? Niewykluczone. Z pewnością jednak cierpienia miłosne podlegają przeobrażeniom jakościowym. Powstają nowe formy, aspekty i przejawy zazdrości, skierowane bardziej na wielobarwny świat wartości pozacielesnych, zmniejszając zaś tym samym i modyfikując walory biologicznej strony życia.



ANNA WYWIOŁ

ERSATZ – WYSTAWA SŁAWY HARASYMOWICZ – W MEK

ERZATZ PAMIĘCI. MIĘDZY STRYJEM A KRAKOWEM.

Ostateczna mądrość obrazu fotograficznego kryje się w stwierdzeniu:
„Oto powierzchnia. A teraz myślcie, a raczej czujcie to, co się pod nią kryje. (…) Fotografie, które same nie są w stanie niczego wyjaśnić, stanowią niewyczerpane źródło zachęty do dedukowania, spekulacji i fantazjowania."

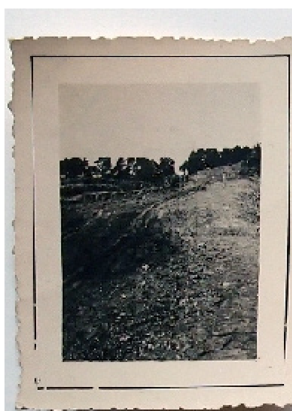
Susan Sontag, *O fotografii*

Sława Harasymowicz przenosi widza w subiektywny krajobraz – świat wspomnień i zapożyczeń, fragmentów rzeczywistości dawnej, w przestrzeń własnej pamięci oraz pamięci stwarzanej. Instalacja - za sprawą zdjęć, map, prac graficznych i ich połączenia z „przedmiotami gotowymi", tworzy subiektywną historię, paradoksalnie - opartą na fotograficznej wspólnocie doświadczeń. Historię zakorzenioną w faktach, ale kreacyjnie zrekonstruowaną za sprawą albumu jednej z krakowskich rodzin, repatriantów z Kresów.

Punktem wyjścia zdają się być wspomnienia artystki i jej bliskich, pamiątki oraz prywatne dokumenty archiwalne, dotyczące jej rodziny – babci i dziadka. Ich losy charakteryzowane są przez podróż – wyznaczają ją szpilki na mapie, punkty na trasie wojennej tułaczki ze Stryja do Krakowa. Dziadek był oficerem wojska polskiego o ukraińsko – niemieckim pochodzeniu. Całą wojnę spędził w obozie jenieckim w Woldenbergu. Jako chłopiec brał udział w zawodach strzeleckich organizowanych przez Towarzystwo Gimnastyczne Sokół, był dobrym narciarzem. Babcia miała korzenie tatarskie. Cudem uniknęła wywózki na Syberię. Była poszukiwana przez NKWD, Gestapo i ukraińską policję – przez pięć lat krążyła (wraz z dziećmi) od jednej miejscowości do drugiej, przez tereny Galicji, Podola i południowo-wschodniej Polski. Lubiła czytać i zawsze malowała usta, mówiła, że usta robią twarz.

Artystka, za sprawą tekstu będącego komentarzem do wystawy, świadomie pozwala nam zanurzyć się jedynie we fragmentach rodzinnej kroniki. Synteza tego, co prywatne i osobiste z tym, co powszechne i anonimowe staje się katalizatorem przestrzeni nowych znaczeń.





Instalacja Harasymowicz jest projektem wielopłaszczyznowym, z wielu względów tylko częściowo poddającym się analizie. W obiegowych opiniach krąży przekonanie, że fotografie przywracają cielesność zdarzeń z dawnych lat. Artystka wskazuje na dokumentujący charakter tegoż medium, dodatkowo zakotwiczając go we wspomnieniowym opisie, by za chwilę poddać to twierdzenie w wątpliwość. Zredefiniować wiarę w obraz i kreowaną przez niego rzeczywistość. Prezentuje na zdjęciach losy rodzinne i bliskie jej otoczenie, by następnie oznajmić, że obrazy te nie pochodzą z jej rodzinnego archiwum - są „kopią, odbitką niegdyś osobistych wspomnień innych ludzi". Ta swoista gra z odbiorcą, zabawa konwencją i świadome przemieszczenie znaczeń otwiera kolejne drzwi, pojawiają się kolejne ścieżki interpretacyjne. Opierając się na odautorskim komentarzu analizujemy prace, zaczynamy je rozumieć – wchodzić zarówno w przestrzeń prywatną, jaki i w sam obraz. Tyle że już z lekkim powątpiewaniem, czy aby na pewno to, co widzimy jest prawdziwe? Czy nie jest to kolejna artystyczna kreacja? A jeśli jest to kreacja, to czy nie jest przypadkiem tak, że nasza przeszłość i wspomnienia z nią związane są pewnego rodzaju „aktem artystycznym", którego dokonuje nasz umysł? Czy nie na tym właśnie polega praca pamięci? Nasze wspomnienia nie

są przecież mimetycznym odbiciem dawnej rzeczywistości. Uczestnik wystawy jest zarówno obserwatorem, jaki i kreatorem znaczeń – deszyfrantem znaków i symboli. To on, aktywnie uczestnicząc w dziele, dokonuje aktu dedukowania, spekulacji oraz ponownego stwarzania. Ciekawym zabiegiem na tym poziomie jest zestawienie „przedmiotów gotowych" – klatki, skrzyń oraz stołu – pochodzących ze zbiorów Muzeum Etnograficznego. W połączeniu z opisem autorki, zdają się być one artefaktami magicznymi, zaklinającymi rzeczywistość i czas. Klatka zostaje skonfrontowana z wizerunkiem sokoła – herbem Towarzystwa Gimnastycznego, a cień przez nią rzucany, jak sama artystka pisze, jest symbolem metra sześciennego „przestrzeni osobistej", która przypadała na każdego więźnia w Woldenbergu. Skróty myślowe (będące odzwierciedleniem achronologiczności wspomnień), jakich dokonuje Sława Harasymowicz są zatem widoczne zarówno w warstwie opisowej, jaki i wizualnej. Przejście od lat chłopięcych dziadka do rzeczywistości więziennej zdaje się być płynne, rozpatrywane na jednej płaszczyźnie. W takim rozumieniu życie ludzkie jest wyznaczane za sprawą decydujących momentów (czasem punktów na mapie) – zdarzeń przełomowych lub silnie nacechowanych emocjonalnie.
Prace wchodzące w skład Erzatz nie zostały opatrzone tytułami – nie zostały zakotwiczone, co znacznie odbiega od naszych codziennych przyzwyczajeń odbiorczych. Widz zostaje skonfrontowany z fragmentem rzeczywistości, z jakimś wycinkiem zdarzeń, wyabstrahowanym w czasie i przestrzeni. Anonimowe postaci przeplatają się z niewyraźnymi mapami, bliżej nieokreślonymi krajobrazami, meblami, które nie posiadają właścicieli. To doświadczenie przypomina przeglądanie czyjegoś albumu – „kroniki rodzinnych wypadków", wejście do czyjegoś domu, podczas nieobecności gospodarza. Z pewnością wszystko jest na swoim miejscu, ale – bez przewodnika – nie dane jest nam zgłębić tej tajemnicy. W takim rozumieniu Ersatz - tak jak fotografia w ogóle, zdaniem Sontag - więcej ukrywa niż odsłania. Zjawiska, postaci, wydarzenia zostały przez artystkę świadomie „zasłonięte, by przeżyć".
Ersatz oznacza tyle, co zamiennik, surogat, substytut. Jest namiastką oryginału – wspomnieniem, które pozostało po człowieku, zdjęciem w rodzinnym albumie, listem, kartą historii uzupełnioną o wątek biograficzny. Każda próba rekonstrukcji powoduje zniekształcenie historii bądź jej nadbudowanie. Uzupełniając luki w pamięci, stwarzamy nowy sens dla historii. Granice między prawdą a fikcją zacierają się. Zbieramy ślady, szukamy tropów, kolekcjonujemy artefakty, które mogą pomóc nam zachować przeszłość żywą. Znaczenie naddane jest nieuchronnym skutkiem tego procesu. W przypadku tej wystawy kolekcjonowanie wspomnień, wrażeń, faktów historycznych i ich wzajemne zestawianie zostało przełożone na język artystyczny. Instalacja może stanowić zarówno metaforyczne przywrócenie ciągłości życia rodzinnego, jak i grę z odbiorcą - zachętę do próby zdekodowania zaprezentowanej historii, zamkniętej w trzech pomieszczeniach. Należy jednak pamiętać, że każda rekonstrukcja zdarzeń jest ich reinterpretacją, opowiadaniem historii na nowo. Obrazy – wspomnienia zdarzeń i postaci, nawet te widoczne na fotografiach są reminiscencją tych, widzianych zza szyby pędzącego pociągu – nieuchwytnych, rozedrganych, niepełnych, wręcz rozproszonych.

ELŻBIETA MUSIAŁ

Tatuaż z obłoków

To były czasy
kochany

to niezmordowane zrywanie nieba na bukiety
sypanie nimi pod nogi
stąpanie bez strachu brodzenie
z namaszczeniem jak nagłe zrozumienie pacierza
przyjdź królestwo Twoje

a piruety
pamiętasz kochany
na linie kręcone tak od niechcenia
i aksamitne podskoki jakby koniki polne łaskotały w stopy
primadonno anielic – mówiły twoje oczy
i żadne z nas nie znało lęku wysokości

a podążanie za sobą ufne
bądź wola Twoja
czuwanie w sobie od zmroku do zmroku
byle nie zmrużyć oka
byle walkowerem nie oddać mgnienia
czasowi

który nieczuły niezmienny
wszystko na opak przemienia

więc co nam pozostało
jedyny
z obłoków tatuaż w oku

co ani powieka zastygła
przez wieki go nie przysłoni

Nic nowego – jesień

Spadła tkliwa z drzewa
– posypią się słowa
w majestacie marzeń
pod rygorem wiersza

(lecz te najprawdziwsze
będą do odstrzału)

coś w nas zaboli
szczodrze

odejście spieszne?

zrobimy skarpetę dwa razy dłuższą
ale za to jedną

kasztany udomowią kieszeń

zagapi się w nas miłość
bez wyjścia



IGNACY S. FIUT

POEZJA ZRODZONA Z PRZEŻYCIA UTRATY BLISKICH

Odejście bliskich osób owocuje niewątpliwie przeżyciem traumatycznym, bo uświadamia, że już nigdy nie będziemy mogli z nimi bezpośrednio obcować i cieszyć się bogactwem wspólnego życia i przeżywania świata z nimi. Nadto uświadamia znikomość naszą i skłania do zadawania pytań fundamentalnych o sens własnej egzystencji. Jedni po tego typu doświadczeniach wycofują się ze świata, a nawet z własnego życia; inni tracą kontrole nad swą osobowością, popadając w różne psychozy, a jeszcze inni zyskują nowe siły egzystencjalne i próbują odrodzić się na nowo, odbudowując sukcesywnie sens istnienia. Omawiana poezja typowo kobieca dostarcza materiału dla tego typu namysłu nad sensem podejmowania twórczości artystycznej, w tym wypadku poetyckiej, po silnych przeżyciach traumatycznych, kiedy człowiekowi w jednym momencie świat „wali się na głowę". W tej perspektywie przedstawimy dwie poetki, które fakt utraty kochanej i drogiej osoby zdyskontowały właśnie ciekawymi ujęciami poetyckimi w postaci opublikowanych tomów wierszy, tj. Krystynę Kulej oraz Elżbietę Musiał.



KRYSTYNA NOWAKOWSKA

"Anioł Ziemi VII" , brąz , granit , wys. 50 cm.

Wartość przeżyć z dzieciństwa bardzie wyrazista staje się z perspektywy oddalenia emigracyjnego i czasowego. Dusza poety coraz częściej wraca do swych korzeni aksjologicznych, które uformowały ją w okresie dzieciństwa i młodości w horyzoncie jej ojcowizny. Cała historia własnej egzystencji, inspiracje twórcze coraz częściej ujmowane przez artystów z tej właśnie perspektywy. Tę prawidłowość świetnie ilustruje osoba Krystyny Kulej-Dulak, która urodziła się w Piwnicznej przed 60. laty, a prawie od 40. przebywa na emigracji w Wielkiej Brytanii. Jej ojcowizna – to pogranicze trzech kultur: polskiej, słowackiej i łemkowskiej, co miało i ma niewątpliwie wpływ na rozwój jej talentu pisarskiego, gdyż pisze zarówno w języku literackim, ale często posługuje się również lokalna gwarą piwniczańską – gwarą Czarnych Górali. Jest członkiem Grupy literackiej „Sądecczyzna", „Amnesty International" i sekretarzem Stowarzyszenia Pisarzy Polskich za Granicą. Na stałe mieszka w Londynie i pracuje na londyńskim lotnisku Heathrow (LOT, PANAM), obecnie w informacji, co daje jej ogromne możliwości kontaktów z ludźmi z różnych stron świata, ale również z liczną grupą Polaków, którzy gremialnie pojawiają się w tym ważnym porcie lotniczym. Wydała w języku polskim 4 tomiki wierszy, a już w roku 1985 została odznaczona nagrodą Literacką Młodych im. Stanisława Piętaka.

W roku 2011 ukazał się jej bilingwiczny tomik w języku polskim i esperanto pt. „Jarzębinowe lato/Flamanta somero", co niewątpliwie jest jej próbą urzeczywistnienia marzeń o tym, by te autentyczne wartości tam na ziemi ojców odkryte i ciągle odkrywane z perspektywy oddalenia również ukazać w wymiarze globalnym współczesnej kultury. To, co stanowi wiodący motyw tego tomiku – to przede wszystkim niekłamana miłość do przyrody, ucieleśnionej w „raju przyrody", jakim jest dla niej Piwniczna oraz jej okolice, ale i cały Beskid wyspowy, który widzi „sercem i oczami duszy" głównie z oddalenia. Ta miłość do przyrody i ojcowizny stanowiła i stanowi dla niej moc dla miłości do swojego syna, rodziny, ale i przyjaźni, nawet tych zadzierzgniętych już na emigracji. Dobrze ten stan duch poetki ilustruje jej wiersz pt. „Papierowy księżyc: „Kochała go płomiennie jarzębinowym latem/Płonęła krzykiem maków i sośnią Milówki/Woźnica – czas podcinał spłoszone konie batem/I wiózł ją w labirynt życiowej łamigłówki://Dlaczego mnie opuścił w płonących jarzębinach/

Dlaczego już nie wraca i nie bierze w objęcia/Czy to jest wyrok niebios czy może moja wina/Żem kochała zbyt mocno papierowego księcia". Rzecz jasna, że poetka studiuje tu głównie emocje miłosne połączone z miłością do przyrody i do człowieka: bada je i zastanawia się nad tym, że przyroda jest raczej wierna swojemu adoratorowi, zaś człowiek i jego kultura – nie koniecznie. Próbuje ten węzeł gordyjski wyjaśnić, widząc właśnie w kłamstwie, braku szczerości człowieka: owo źródło rozczarowania, jakie daję głęboka miłość między ludźmi. W wierszu pt. „Nie okłamuj" poetka pisze więc: „(…)//A jeśli już okłamiesz to kłam do szczerego końca/I nie bój się ognia – wyrównania grzechu/Tylko mnie nie gaś, nie gaś tego słońca/Bez którego nie złapię następnego oddechu". Warto dodać, że tomik ten zadedykowany jest przyjaciółkom z Europy – Eli Urbanowej i Marjorie Boulton, które podobnie jak autorka dzielą z nią los emigracyjny.

Krystyna Kulej wydała niedawno również książkę, a raczej zbiór wierszy pt. „Serce na… medal". Jest ona niewątpliwe poświecona osobie naszego wybitnego boksera – dwukrotnego mistrza olimpijskiego – Jerzego Kuleje. Poetka była jego drugą żoną, a poznała go, kiedy po skończeniu kariery sportowej próbował się odnaleźć w londyńskim środowisku bokserskim, ubiegając się o stanowisko trenera. Tam się pobrali, ale z powodu bariery językowej praca trenerska na Uniwersytecie Oxfordzkim okazała się trudna, mało opłacalna, w związku z czym Kulej wrócił do kraju, a małżeństwo przez 11 lata było oparte na wzajemnych spotkaniach w Wielkiej Brytanii i Polsce. Tomik ten ma charakter właściwie wspomnieniowy i powstał po śmierci tego wybitnego sportowca, trenera i promotora boksu zawodowego w Polsce. Poetka w duchu lirycznym i nostalgicznym, momentami przypominającym dyskurs trenów, ukazuje znakomite strony jego osobowości: ów romantyzm życiowy i ciepły stosunek do ludzi, który towarzyszył Kulejowi przez całe jego życie, choć miał niewątpliwie „duszę rogatą", ale zawsze los drugiego człowieka był mu bliski. W jednym z wierszy otwierających ten tomik autorka pisze: „W Saskim Ogrodzie koło fontanny…/Na twoich śladach i twoich /Podbiega do smutnej panny/Zmyślna wiewiórka z resztą orzeszka//Majestat w drzewach, niebios organy/Zda się, że nawet lot zniżył orzeł/W takim poranku słońcem oblanym/Ogrodem Saskim szłam na twój pogrzeb". Obydwoje wiele czasu po miesiącach rozłąki wspólnie spędzili na Mazurach, w Górach, bo losy ich związku był złożone, gdyż ciągle byli między sobą oddaleni odległością między Londynem a Polska, gdzie przebywał Mistrz Jerzy, tworząc boks zawodowy i marząc o wychowaniu polskiego mistrza świata zawodowców. Toteż najczęściej spotkali się w chwilach wolnych od obowiązków , choć i tak ich pożycia i emocje miłosne było trudne, bo Kulej wzmagał się z wieloma „węzłami gordyjskimi", które ciążyły nad jego losem, jak choćby pierwsza żona, matka, którą bardzo kochał, życie jego syna Waldemara, wzmagająca się choroba serca, ale i z trudnościami odnalezienia swego miejsca po skończeniu znakomitej kariery sportowej, której cień ciągle ciążył nad jego egzystencjalnymi wyborami. Tę złożoność ich związku, ale i życia dobrze oddaje inny wiersz bez tytułu, w którym czytam: „Tak dawno cie nie widziałam/Ile ci zmarszczek przybyło/Ale co najważniejsze/Że serce w tobie ożyło//Wyjęty łaską z rąk śmierci/Czy nowonarodzony/Czy wciąż u boskich perci/Podsypiasz niewybudzony// (…) Ponoć się nie pamięta/Gdy świat się tak nagle wywróci/Wiedz jednak, że jedna święta/Dawała znaki że wrócisz//Na dawne ścieżki alej/Spacer po biało-czarnej taśmie/Spójrz, pszczoła od miodu mdleje/A nasza jesień gaśnie…".

W tomiku tym można znaleźć wiele ciekawych wierszy nie tylko dotyczących więzi emocjonalnych obojga małżonków, ale oryginalnych związków uczuciowych Kuleja zarówno z pierwszą, jak i drugą żoną, matką, synem, wnukami, ale i innymi bokserami i sportowcami, z którymi przez lata był zaprzyjaźniony. Uwagę przyciągają jednak utwory związane z jego dyscypliną sportową – boksem, który opiera się przecież na bezpardonowej wymianie ciosów i umiejętności ich unikania. Daje się zauważyć, że w przypadku tego człowieka – jak widzi to poetka - życie codzienne i walka bokserska jakby na swój sposób się przeplatały: ciągle walczył i ciągle dążył do zwycięstwa, ale zawsze robił to z honorem i ogromną wrażliwością nawet na losy tych pokonanych. Jednak logika boksu, jego zasady, które znał znakomicie, a które wpoił mu Papa Sztam, w życiu codziennym niejednokrotnie się niesprawdzały, a w połączeniu z życzliwym stosunkiem do ludzi, stwarzały mu karkołomne problemy. Chyba najlepiej oryginalność jego osobowości oddaje wiersz poetki pt. „Serce na podium", w którym pisze: „Twoje serce w krzyżowym ogniu/ Walczą o niego wiatrów podmuchy/A ty byś chętnie stanął na podium/I rozdał go jak okruchy//Czy ci go starczy dla tej miłości/Co zazdrość chorą kryje/Trzymaj, Jureczku, serce w całości/Niech jak źródło (nadstawcie dzbany) bije".

W tomikach tym Kulej opisała również ciekawie wiele faktów z biografii własnej, ale i swego męża widzianych nie tylko swoimi, ale i jego oczami, co niewątpliwie pozwala zrozumieć zarówno złożoność i wyjątkowość jego życie sportowego, ale i prywatnego. Całość publikacji drugiego tomiku uzupełniają znakomite zdjęcia z albumów rodzinnych obojga małżonków, których trudno by się doszukać nawet w pracach poświęconych sylwetce tego sportowca. Po śmierci, kiedy choroba serca okazała się śmiertelna, autorka jakby podsumowuje sposób nader intymny związek z tym wybitnym sportowcem w utworze – „Byłeś snem", w którym czytamy: „Byłeś snem, nie przeznaczeniem/Wieczną burzą a nie ciszą/Ja brzeziną nad jeziorem/Wichry mną do dziś kołyszą//(…)Nie religią nie modlitwą/Byłeś wiecznym niepokojem/Żaglem w cwał przez fale marzeń/Wiatrem którym jesień koję".

Po dwóch kolejnych poematach: „na śmierć zegarka przejechanego zimą przez samochód" i „Na zdjęciu wciąż żyjemy" – Elżbieta Musiał wydała kolejny – „Ars moriendi, czyli poradnik czynności nieużytecznych". Spróbujemy się więc nad nim pochylić, bo ten gatunek literacki jest obecnie rzadki i wymaga specyficznych, silnych inspiracji twórczych, ale i pewnej wiedzy egzystencjalnej o naturze człowieka. Pewnie Marek Wawrzkiewicz ma rację pisząc w posłowiu do tego tomu, „(…) że „Ziemia jałowa" Eliota to fundament współczesnej poezji", nawet udzielającym się autorom nieświadomie. Przypuszczam również, że nasz „szybki świat" również inspiruje poetów do takiej właśnie stylistyki poezjowania, bo właśnie dzięki dłuższemu dyskursowi słownemu ewokującemu w odbiorze „serial światów przedstawionych", poeta i jego dzieło pełnią specyficzną dzisiaj rolę w oswajaniu się z tym wariabilizmem otaczającej nas rzeczywistości kulturowej, ale i przyrodniczej, w których fenomen śmierci człowieka ulega odesłaniu w zapomnienie i coraz większemu zeświecczeniu. Niewątpliwie przyczyną zewnętrzną tego stanu rzeczy jest medializacja stosunków społecznych między ludźmi oraz związane z tym zjawisko tzw. „uprzemysłowienia kultury i sztuki", bo media tracą już funkcję publiczną, ale stają się przemysłem kulturowym, który „uprzemysławia" całą naszą egzystencję i sprowadza Życie do sfery konsumpcji, czyniąc z niej formę „rynku istnienia", gdzie „wszystko jest na sprzedaż". Dotyczy to również i ars moriendi (sztuki umierania). Wydaje się więc, że poemat Musiał jest niejako utworem próbującym przeciwstawić się tej ponowoczesnej kulturze „urynkowionego umierania", ukazując i przypominając jego głęboki sens egzystencjalny.

Pretekstem powstanie tego poematu była niewątpliwie śmierć babci autorki – Stefanii. Wiadomo bowiem, że wnuczki są bardzo mocno emocjonalnie związane ze swoimi babciami, a ich śmierć ma dla nich

niejednokrotnie charakter traumatyczny, szczególnie wtedy, gdy obserwują u nich szybko postępujące zmiany starcze, sygnalizujące „uchodzenie życia" i szybkie kurczenie się ich bytowych przestrzeni egzystowania, którym najczęściej staje się kilka metrów kwadratowych własnego łóżka, gdzie oczekują na śmierć! Ów pretekst jest dla artystki – poetki i malarki – próbą poszukiwania mądrości celebrowania śmierci zarówno w twórczości poetyckiej, ale i malarskiej. Musiał nawiązuje tu do plastycznych rozwiązań Marka Chagalla ukazujących owo odchodzenie, przebieranie się na śmierć w wyczyszczone buty, szukanie poduszki na wieczny spoczynek, bo jak pisze poetka: „jak do Boga iść boso"! Dramat śmierci ukazuje się już w pewnej podręczności świata osoby umierającej, kiedy przeżywa ją własny czajnik, miska, kubek,; kiedy jej świat się zapada w nicość i zarasta zbędnymi już rzeczami, jak chwastami. Wtedy kończą się też osobiste przyjaźnie, miłości, a zaczyna się „miłość do grobowej deski" i związanymi z nią akcesoriami. Takie doświadczenie dla Musiał jest źródłem świadomościowego wstrząsu - zrozumienia, że właściwie przez całe nasze życie „ ziarno śmierci kiełkuje w nas". Kiedy już ona się zbliża domaga się celebracji na zakończenie korowodu życia – określonego porządku zdarzeń. W części 10. poematu poetka tak przejmująco opisuje tę sytuację: „Porządek. Do niego musisz się przyłożyć/przed odejściem. Przejrzeć wszystkie szuflady./Wyjąć listy, porzucone wiersze, zapisane plany./Starannie je posegregować, by w stosownej/kolejności ujrzały ogień. On jest niezwykle/pomocny w nauce powściągliwości.//Śmierć potrzebuje celebracji./Jeśli już zostawić coś, to tylko prochy słów/po sobie, po sobie prochy". Dzisiaj, co poniekąd pociesza autorkę, śmierć ma problemy z tymi, którzy uciekli przed nią już do Second Life-u, bo trudno jej ich tam dopaść.

Musiał, odwołując się do własnego doświadczenia malarskiego oraz wiedzy z historii sztuki zauważa, że obraz jest ważny w życiu człowieka, choćby przykład „biblii dla ubogich", bo zawsze budzi refleksję, a bez niej człowiek gubi się w swej codzienność, stając się łatwym łupem dla śmierci, przychodzącej znienacka. Ona wtedy jak przysłowiowy żniwiarz kosi kwiecista łąkę naszej codzienności, a świat zaczyna przypominać krajobraz pokryty „białą zimą". Wtedy pojawia się pytanie o to TAM, które najczęściej przeraża śmiertelników, którzy żyją nadzieje, że będą TAM w innym porządku żyć wiecznie. Poetka pyta o to samego Czesława Miłosza, który „ucieleśniony w słowach swych wierszy" jakoś żyje między nami. Pyta go więc" „Czy TAM przeniosła się miłość, na która na ziemi/nie starczało czasu?". Jej osobiste doświadczenie podpowiada, że „życie wciąż plącze się ze śmiercią", bo przecież nie ma już babci Stefani, ale jakoś widać ją w jej pamiątkach, glinianych rzeźba, i na kliszach starych fotografii, które przewija na palcu, ale równolegle i w pamięci. Zestawia więc negatyw tego filmu z pozytywem w pamięci i odnosi wrażenie, choć przecież wie o jej śmierci, że ona jeszcze jakoś tu żyję pomiędzy nami. W 24. części poematu poetka pisze tak: „Podobno umarli,/choć nie wiadomo, co to właściwie znaczy, wciąż są/obok nas; uczestniczą, obcują (tak, drugie orzeczenie zdaje się celniejsze)./I są święcie przekonani, że wciąż żyją./Czy życie ich śni, czy oni śnią życie?".

Poetka konsekwentnie próbuje po swojemu odpowiedzieć na pytanie: jak żyją ludzie po śmierci? Zapytuje Alberta Einsteina jak w kontekście jego teorii względności i wariabilizmu doświadczanego w codzienności może wyglądać ta wieczność. Czy tak przyspieszona materia , która przemienia się w energię ulega transformacji w ducha? Może ta wizja względności wyjaśnia śmierć i duchowe życie po niej, kiedy dusza „oparta jest o niebo"? Dopuszcza taką możliwość, że niewątpliwie forma doczesnego istnienia jest śmiertelna, ale przypuszcza, że treści, które stworzyła w formie duchowej istnieją w innym porządku – wiecznym, i udzielają energii życiowej ludziom tu żyjącym, na czym właśnie polega z nimi oraz samych „świętych obcowanie.

Na koniec poematu, mając na uwadze różne wizualizacje artystyczne śmierci, głównie jej obrazy stworzone przez artystów, nazywa Musiał śmierć kobietą „różnopośladkową", „żniwiarką z biżuterią ostrą w ręku"", zaś w Polsce przyobleczoną najczęściej w spódnicę made in „Polski Len". Pyta dalej Einsteina: czy duch śmiertelnika ma płeć? Pytanie to jednak nie zostaje do końca rozjaśnione w teorii względność i dalej pozostaje nierozstrzygnięte, bo kwestia gender nie wydaje się dla poetki ważna w kontekście wieczności. Nie udaje się jej zatem w tej perspektywie najnowszej wiedzy o wieczność, tej mikro i tej makro, wyjaśnić w pełni sensu, którym pocieszają się artyści, ale i zwykli śmiertelnicy, owej słynnej sentencji egzystencjalnej – *non omnis moria*. Jednak sądzi, że bez względu na przekonania religijne o zbawieniu, wiedzę naukową w tej kwestii, istnieje w niej pewna prawda, że nigdy całym się nie umiera. Najważniejsze w tym wszystkim jest hołdowanie zasadzie: by sztuka umierania była zawsze bene, czyli dobra, pod warunkiem, że wszystko to nie jest kolejnym powtórzeniem, ale dalej poemat nie podejmuje tej kwestii kończąc eksplikacje autorki na brzegach pucharu, jakim jest tu otwarcie przysłowiowej „Puszki Pandory", której zawartość każdy z osobna spija całe swe życie doczesne!

Nie trudno zauważyć, że dla obydwóch poetek utrata bliskości osób, drogich i kochanych mobilizuje ch wyobraźnię, dodaje energii, rozwija nie tylko głęboko skrywane inspiracje, ale unosi ku horyzontom podstaw naszego ludzkiego istnienia, a nawet prowokuje do tworzenia własnej metafizyki istnienia – takiej, by tę bliskość z kochanymi utrzymywać i doświadczać nawet w wieczności.

____

K. Kulej, „Jarzębinowe lato/Flamanta somero", Wydawcy: Towarzystwo Miłośników Piwnicznej i Stowarzyszenie Pisarzy Polskich za Granicą, Piwniczna-Zdrój 2011, s. 40, K. Kulej, „Serce na… medal", Wydawnictwo OKSYMORON, Stary Sącz 2013, s. 70

E. Musiał, „Ars moriendi, czyli poradnik czynności nieużytecznych", posłowie: „Powrót do poematu" – Marek Wawrzkiewicz, redakcja – Magdalena Węgrzynowicz-Plichta, Wydawnictwo SIGNO, Kraków 2013, s. 52.

DANUTA HANNA JAKUBOWSKA

STRAŻNIK SZLACHETNEJ PAMIĘCI



Nazwisko Mariana Koniecznego nieodparcie kojarzy się z pomnikiem Nike na Placu Teatralnym w Warszawie. O pomniku, który oficjalnie nazywał się „Bohaterom Warszawy 1939-1945 nie mówiono inaczej, jak o warszawskiej Nike. Stał ten pomnik, piękny i monumentalny, aż przeniesiono go w związku z rekonstrukcją Pałacu Jabłonowskich, na skwer przy Nowym Przejeździe, koło Trasy W-Z. Teraz, na wysokim cokole, Nike góruje nad otoczeniem. W bezchmurne dni pięknie wygląda na niebieskim niebie, a gdy chmury się przesuwają, to mamy wrażenie jakby szybowała w przestworzach , zwłaszcza gdy obserwujemy ją z perspektywy ulicy Miodowej.

W Krakowie, gdzie mieszka i tworzy artysta, nazwisko Koniecznego kojarzy się niewątpliwie z pomnikiem Stanisława Wyspiańskiego znajdującym się na niewielkim skwerze przed Gmachem Głównym Muzeum Narodowego oraz Akademią Sztuk Pięknych, w której profesor wykładał i pełnił zaszczytną funkcję JM Rektora. Nie sposób pominąć pomnika Jana Matejki ze znakomitym studium siedzącego Stańczyka u stóp malarza.

A ileż pomników porozsiewanych po świecie: Tadeusza Kościuszki w Filadelfii (USA), Chwały i Męczeństwa w Algierze (Algieria), Fryderyka Chopina Hamamatsu (Japonia). W Polsce poza wcześniej wymienionymi możemy cieszyć się obecnością: Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie, Jana Pawła II w Licheniu i w Leżajsku, Jana Zamoyskiego w Zamościu, króla Władysława Jagiełły na placu Matejki w Krakowie, Grzegorza z Sanoka w Sanoku czy Wincentego Witosa w Warszawie.



od lewej Maria Sarnik - Konieczna, Jan Tutaj, prorektor ASP w Krakowie, Tomasz Pękalski, członek zarządu województwa Lubelskiego, Andrzej Urbański, dyrektor Muzeum Zamoyskiego, mistrz Marian Konieczny.

Ale to właśnie w Zamościu, perle Renesansu, mieście tradycji i wspaniale zachowanego Starego Miasta znalazło się miejsce na autorską galerię Artysty. Profesor Marian Konieczny uhonorowany został pamiątkową tablicą w zamojskiej Alei Sław. Na ulicy Grodzkiej zostawił odcisk swoich butów, w których pracuje. Warto podkreślić, iż Alei Sław upamiętniono przedstawicieli różnych środowisk artystycznych, związanych z ważnymi dla miasta przedsięwzięciami kulturalnymi i naukowymi, zasłużonych dla promocji Zamościa. Oprócz profesora Mariana Koniecznego pamiątkową tablicą w Alei Sław uhonorowani zostali już Jan Machulski, Jan "Ptaszyn" Wróblewski, Krzysztof Zanussi, Stefan Szmidt, prof. Jerzy Kowalczyk oraz prof. Janusz Stanny. „ W przypadku prof. Mariana Koniecznego otrzymaliśmy dodatkowo namacalne wytwory jego twórczości. Te dzieła pozostają w Zamościu i mają konkretną, wymierną wartość artystyczną i finansową – powiedział m.in. Marcin Zamoyski, Prezydent Miasta.



Od lewej: Czesław Dźwigaj, Stella Twardowska, Karol Badyna, Marian Konieczny, Piotr Twardowski, Marek Ciastoch, Zygmunt Jarmuł, Stanisław Brach.

"Galeria Rzeźby profesora Mariana Koniecznego" przy Muzeum Zamojskim w Zamościu ma bardzo osobisty charakter. Na zewnątrz ustawiono trzy rzeźby "Macierzyństwo I", "Macierzyństwo II" oraz "Wisła". Natomiast wewnątrz dawnych carskich koszar wyeksponowane są fragmenty jego większych realizacji oraz portrety całej rodziny , w sumie ponad 20 rzeźb.

Barbara Wachowicz w liście skierowanym do mistrza napisała m.in. „ Przekazano mi wieść radosną, że w Zamościu odbędzie się uroczystość odsłonięcia przypisanej panu tablicy w Alei Sław. Jakże zasłużenie! Przecież swym mistrzowskim dłutem stworzył Pan Profesor prawdziwą Aleję naszych Sław Ojczystych. Dzięki Panu Warszawa może gościć kreatora tylu niezwykłych wizerunków naszych Bohaterów - Jana Matejki. To on natchnął Pana Profesora by stworzyć najpiękniejszy pomnik, jaki stanął w Polsce po wojnie –Bartosa Głowackiego w Racławicach."



Mistrz Marian Konieczny przed Galerią



rzeźba plenerowa „Macierzyństwo" przed Galerią

Tej rangi twórca, jakim jest Marian Konieczny nie potrzebuje ani rekomendacji , ani splendoru, wydaje się, że to mu się po prostu należy, że na to zasłużył swoją twórczością i pracą. Jest przecież ceniony tu w kraju i za granica. To że Zamość otworzył podwoje i zorganizował wspaniałe uroczystości na cześć Mariana Koniecznego nie było dla nikogo z licznie przybyłych gości zaskoczeniem. Maria Sarnik-Konieczna, była wiele lat miejskim i wojewódzkim konserwatorem zabytków Zamościa, zwana przez przyjaciół Marylą, żona twórcy, kocha Zamość z wzajemnością! Tu, jak wszystkich zawsze zapewnia, spędziła najpiękniejsze lata i stąd, ma niezapomniane wspomnienia i niezawodnych przyjaciół.

Uroczystemu otwarciu Galerii towarzyszyła prawdziwa feta. Były przemówienia najwyższych władz z Prezydentem Marcinem Zamoyskim na czelne. A życie i twórczość rzeźbiarza dokumentowała wspaniała przygotowana specjalnie na to wydarzenie wystawa na zamojskim Rynku Solnym.

W strugach nieustannie padającego deszczu odsłonięto odcisk buta artysty w Alei Sław przy ul. Grodzkiej. To tu specjalnie dla twórcy Zespół Pieśni i Tańca "Zamojszczyzna" śpiewał i tańczył tańce rzeszowskie – a co ciekawe także Marian Konieczny i jego małżonka zatańczyli pięknie mazura. Z oddali obserwował zdarzenie spiżowy pomnik hetmana Jana Zamoyskiego. Też autorstwa Mariana Koniecznego. Ci, którzy byli wówczas obecni na odsłonięciu pomnika wspominali, że także padało…

Jednak deszcz nie przeszkodził w dalszych uroczystościach. Do wczesnych godzin rannych toczyły się rozmowy z mistrzem Koniecznym o życiu, twórczości, przemijaniu, o nowych planach i ważnych terminach. Najbliższy to odsłonięcie we wrześniu br.w Suwałkach pomnika Marszałka Piłsudskiego . Tam trzeba być.

Danuta Hanna Jakubowska

Foto: Piotr Wojnarowski



Pomnik Jana Matejki, model gipsowy skala 1:5, głowa Jana Matejki skala 1:1, portret Filipa, popiersie, portret Igora, popiersie.

1

JUBILEUSZ 45-LECIA PRACY TWÓRCZEJ HANNY WIETRZNY

DZIECIOM XXI WIEKU

I.

Wy którzy urodzicie się jutro
i ci co chwilę wcześniej i co chwilę później
przyjdziecie na świat w kraju bez łez i poniżania
pamiętajcie o nas o tych którzy przyszli
wojennymi laty którzy dziś odchodzą
i o tych co chwilę wcześniej i co chwilę później
dzielili los dorosłych
w obozach zagłady
w wagonach z lodu wiezieni na Sybir
o tych co w Gettach
w komorach gazowych
stali się prochem
Wy pamiętajcie bawiąc się lalkami
jedząc do syta radośnie śpiewając
pamiętajcie o tych którym zabrano
dzieciństwo życie i wiarę w człowieka

II.

Wy którzy urodzicie się jutro
i ci co chwilę wcześniej i co chwilę później
i wy dziś się rodzący w złączonej Europie
zapamiętajcie Golgotę Wschodu
Katyń Miednoje Charków
naszych Braci obrońców Ojczyzny
którym z rękami zdrutowanymi
strzałem w tył głowy odebrano życie
pamiętajcie naszych Braci co zamarzli
w pociągach na Sybir
o Tych co pozostali po tamtej stronie
bez grobów bez domu
i pamiętajcie że bracia Lech i Rus to mit
pomiędzy Germanem a Rusem
strzeżcie Wasze dzieci
i starców Waszych
i mężczyzn i matki strzeżcie
bo nigdy Niemiec
nie był nam bratem
ani Rus nigdy
zawsze tylko katem

1 września 2009

ANDRZEJ BOGUNIA-PACZYŃSKI

LUCIENNE BOYER W KRAKOWIE



Lucienne Boyer w Teatrze Rozmaitości, 14 II 1961, fot. Andrzej Piotrowski

Autor serdecznie dziękuje Pani Józefie Strigl-Piotrowskiej za udostępnienie zdjęcia L. Boyer wykonanego przez fotoreportera „Gazety Krakowskiej" Andrzeja Piotrowskiego.

Gościem specjalnym czerwcowego V Międzynarodowego Festiwalu Piosenki Francuskiej Grand Prix Edith Piaf (14-16 VI 2013*) była piosenkarka francuska Jacqueline Boyer, córka pieśniarzy – Jacques'a Pilsa i Lucienne Boyer (i pasierbica E. Piaf), tryumfatorka II Konkursu Eurowizji w 1960 r. Jak zawsze czarująca i niezmiennie piękna Jacqueline śpiewała piosenki swoje, rodziców i Edith Piaf.

Z zamieszczonej na łamach „Dziennika Polskiego" („Tato chciał, bym była aktorką", 15-16 VI 2013) krótkiej rozmowy z artystką dowiadujemy się, że jej, zmarła przed 30 laty, matka występowała w Polsce: W 1957 roku Pani mama śpiewała w Warszawie… – powiada prowadzący rozmowę Wacław Krupiński i przechodzi do pytania o jej rodzinne związki z Polską (Jacqueline wyszła za mąż za urodzonego we Francji Polaka). Rozmowa toczy się dalej – Boyer tego wątku nie podejmuje, można powiedzieć, nie potwierdza ani nie zaprzecza, że matka w Polsce kiedyś śpiewała. Widocznie nie pamiętała, może nawet o tym nie wiedziała (zapamiętała jej tournée po Węgrzech w lecie 1956 r., bo wtedy pojechała razem z nią, a nawet w koncercie śpiewała trzy piosenki). I ponieważ red. Krupiński nie wykazał się tu szczególną dociekliwością – rzecz pozostała niedopowiedziana.

Jak było naprawdę? – spróbujmy uzupełnić.

Lucienne Boyer (1903-1983) – najpopularniejsza przed wojną piosenkarka francuska w Polsce, znana przede wszystkim z wykonania piosenki J. Lenoira „Parlez-moi d'amour" (1930), które przyniosło jej światową sławę – trzykrotnie odwiedziła nasz kraj (1937, 1957, 1961). Śpiewała nie tylko w Warszawie – śpiewała także w Krakowie! I to dwukrotnie: we wspomnianym roku 1957 (Filharmonia Krakowska,16-18 I 1957) i cztery lata później (Teatr Rozmaitości,14-15 II 1961). Akompaniował jej polski kwartet instrumentalny pod kierunkiem francuskiego pianisty i kompozytora większości piosenek śpiewanych przez L. Boyer, Georges'a Lifermanna. Wszystkie recitale w Polsce zapowiadał Lucjan Kydryński.

*

Do Krakowa przyjechała w poniedziałek, 13 lutego 1961 r., mieszkała, tak jak i cztery lata wcześniej, w Hotelu Francuskim. Przyjechała z lekką grypą, bo w Warszawie trochę się podziębiła. I chociaż nie była w najlepszej formie zaśpiewała – na trzech 2-godzinnych koncertach w sali Teatru Rozmaitości – cały swój program: 20 najbardziej znanych piosenek i pieśni (zaplanowane były tylko dwa koncerty – wobec ogromnego zainteresowania urządzono jeszcze dodatkowy trzeci koncert). Przypomnijmy jak „Gazeta Krakowska" relacjonowała, piórem Jadwigi Andrzejewskiej, występ francuskiej gwiazdy piosenki:

Wczorajszy występ Lucienne Boyer spotkał się z gorącą owacją publiczności. Lucienne jest nie tylko doskonałą śpiewaczką, ale również znakomitą aktorką. Francuska piosenka o miłości, francuska piosenka o Paryżu, o urokach tego jedynego w świecie miasta, znajduje ciągle w Lucienne znakomitą odtwórczynię. Dodać należy, że artystka dokonuje po prostu cudów w nawiązywaniu kontaktu z widownią. W drugiej części koncertu arcyzabawne „zaczepki" widzów dopełniły miary znakomitości wczorajszych występów śpiewaczki. Lucjan Kydryński – wdzięczny konferansjer oraz pan Lifermann, kierownik zespołu muzycznego – byli doskonałą oprawą tej wiecznie jaśniejącej gwiazdy pieśniarstwa francuskiego. Dziękujemy Lucienne!

Równie entuzjastyczne głosy pojawiły się w „Dzienniku Polskim": – *A więc już trzydzieści lat śpiewa z estrady kabaretów świata sławna Lucienne Boyer, łącząc dziś w sobie tradycję paryskiej piosenki ze współczesnością… Lucienne liczy teraz lat 57 – pozazdrościć przy tym wyglądu, werwy, niesłabnącej żywotności! Jak niezawodnym eliksirem odmładzającym jest sztuka!* – pisał Władysław Cybulski, a Krystyna Zbijewska dodawała: – *Lucienne*

Boyer od wczoraj króluje na estradzie krakowskiego Teatru Rozmaitości. Pełna uroku, zgrabna, szykowna w swych pięknych szafirowych toaletach, o twarzy pełnej ekspresji i ruchliwych, wymownych rękach. Znakomita aktorka. Repertuar pieśniarski Lucienne Boyer skupia się wokół miłości… Lucjan Kydryński swej mało wdzięcznej w tym wypadku roli – polegającej na przekładzie francuskich słów piosenek – przydaje dowcipu i lekkości, doskonale włączając się w atmosferę koncertu. A atmosfera to przemiła, ciepła. Gdy pani Lucienne na zakończenie swego recitalu rozmawia z salą, rzuca docinki pod adresem zakochanych par, do swych krakowskich słuchaczy adresuje słowa piosenki „Nasza miłość jest jak żadna inna", śląc im serdeczne całusy – rośnie huragan braw. Żegnamy nimi Lucienne Boyer – nie tylko jako wielką pieśniarkę, ale też jako uroczą, pełną wdzięku kobietę...

*

Wszystkie recitale Lucienne Boyer w Polsce zapowiadał oczywiście Lucjan Kydryński. Tak się akurat złożyło, że dosłownie kilkanaście dni przed przyjazdem Boyer do Polski ukazała się wydana przez PWM jego książka „Znajomi z płyt". W tym katalogu najpopularniejszych ówcześnie piosenkarek i piosenkarzy – od Paula Anki po Caterinę Valente – nie zabrakło rzecz jasna Lucienne Boyer. Autor tak ją rekomendował:

Przyjechała do Polski w roku 1957 z recitalem o obiecującym tytule „25 lat piosenki miłosnej". Śpiewała wszystkie urocze, sentymentalne przeboje z lat dwudziestych i trzydziestych, i śpiewała je w stylu tych lat. (…) Znakomicie wykonywała piosenki stanowiące maleńkie obrazki rodzajowe; sugestywnie, lecz oszczędnie korzystała z najprostszych, a tak wymownych rekwizytów, jak papieros czy chusteczka, rozgrywała każdą melodię w sposób, który sprawiał, iż zbędna okazywała się znajomość francuskiego. (…) A przy tym żadnej pretensjonalności, żadnej nachalności; mogliśmy poznać styl dawnych paryskich café-concertów. (…) Lucienne ma ogromne poczucie humoru… Miłość to sprawa delikatna, i Lucienne ze szczęśliwych zakochanych żartuje subtelnie i życzliwie. Miłość to sprawa trudna, i Lucienne miała prawdziwe szczere łzy w oczach, śpiewając o rozstaniu, o bólu… Lucienne nie potrafi tragizować – może być tylko smutna, nie potrafi krzyczeć z radości – może się tylko cieszyć. Jest delikatna, choć pełna temperamentu, dyskretna, choć operująca szerokim gestem starej szkoły…

Dodać trzeba, że artystka, jak wspominała J. Andrzejewska, nie tylko nawiązywała łatwo kontakt z publicznością, ale także z… konferansjerem, którym była po prostu zachwycona – jego kulturą, wiedzą i elegancją: Lucjana Kydryńskiego Lucienne Boyer nazwała – „le beau speaker", i tak go przedstawiała.

*

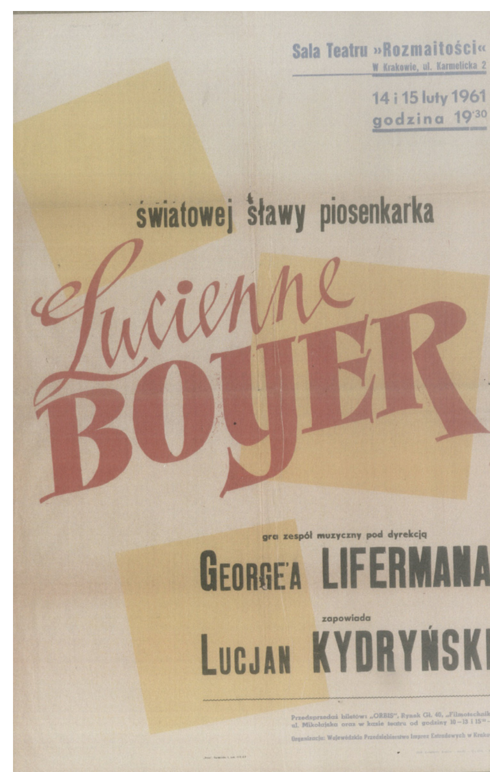
W jej recitalu w Polsce znalazły się najpiękniejsze melodie jej kariery – pisał w zakończeniu L. Kydryński. – Entuzjazm na sali zawsze osiągał jednak największe nasilenie, gdy zapowiadała swą słynną, związaną od ćwierć wieku z jej głosem, pełną uroku piosenkę Lenoira „Parlez-moi d'amour"…

Nie inaczej było też w Krakowie. Na ostatnim koncercie w Teatrze Rozmaitości „Parlez-moi d'amour" Lucienne bisowała trzykrotnie. Żegnając się z publicznością krakowską, zapowiedziała przyjazd do Krakowa – w roku następnym, może za dwa lata – swojej córki, Jacqueline Boyer…

Stało się to dopiero w czerwcu 2013 roku, ponad pół wieku później.



Rys. Andrzej Stopka, 1957)



. Afisz koncertów Lucienne Boyer, 1961; ze zbiorów Oddziału Wydawnictw Rzadkich i Dokumentów Życia Społecznego Biblioteki Jagiellońskiej



Amalia z von Hardtów v1.Zacharewiczowa v.2 Toegelowa 1880-1976 | Józefina von Hardt 1882-1976 | Adela z von Hardtów Dunin Wąsowiczowa 1890-1975

JOANNA KRUPIŃSKA-TRZEBIATOWSKA

ZDRADA

/ FRAGMENT NIEPUBLIKOWANEJ POWIEŚCI /

Lwów na przełomie wieków upodabniał się do Wiednia. Obok starego, historycznego śródmieścia z trzema katedrami – rzymskokatolicką, grekokatolicką i ormiańską – wyrastały imponujących rozmiarów budynki publiczne, a nowoczesną neogotycką architekturę reprezentowały gmachy Uniwersytetu Jana Kazimierza, Politechniki oraz Sejmu Krajowego. W 1870 roku, po przekształceniu się Austrii w dualistyczną monarchię Austro-Węgierską, przyznano miastu autonomię, dzięki czemu stało się wnet oazą polskości. Na placu Mariackim pojawił się pomnik Adama Mickiewicza a w eleganckich kawiarniach mówiono i śpiewano po polsku. Rozprawiano też o przyczynach upadku Rzeczypospolitej. To był temat wiodący, a najwięcej rzecz jasna mieli do powiedzenia historycy skupieni wokół hrabiego profesora Stanisława Tarnowskiego, z którym w serdecznych stosunkach pozostawała Katarzyna Glińska.

Katarzyna Glińska wydawała wystawne przyjęcia we Lwowie, na które ściągała rodzina z całej Galicji, a także bale w nie tak dawno ukończonym pałacu w Truskawcu z cudowną salą balową pełną kryształowych luster i kandelabrów. Ten pałac stojący w tętniącym życiem, niezbyt odległym od Lwowa uzdrowisku z zakładem kąpielowym i leczniczymi wodami, stał się rajem dla dzieci mojej prababki z hr. Zborowskich Heleny Hardtowej zajmującej z konieczności nie dość obszerne mieszkanie we Lwowie. Miało wszelako jedną zaletę. Było położone w samym sercu miasta nieopodal Politechniki. Blisko stąd było i do katedry i do opery. Nie było przyjęcia, na które Katarzyna Glińska nie zaprosiłaby i to ze stosownym wyprzedzeniem swej siostry z Dubiecka, ale starsza od niej o blisko dwadzieścia lat Maria Zborowska każdorazowo znajdowała jakąś mniej lub bardziej prawdopodobną wymówkę. Wszyscy wiedzieli, że nie przyjedzie, bo nie chce spotkać się z Heleną zanim ta nie wróci do rodzinnego domu niczym Henryk do Canossy i nie ukorzy się przed matką.

Stanisław Hardt po przeprowadzce do Lwowa podjął studia na wydziale prawa Uniwersytetu Jana Kazimierza i wkrótce zaczął uważać się za najmądrzejszego człowieka z całej rodziny.

– Ależ z ciebie besserwisser – żartowała Helena aczkolwiek niezadowolona, że syn wyraźnie odcina się od reszty rodzeństwa.

– Jak możesz? – zwróciła mu uwagę widząc, że szczególnie ostentacyjnie lekceważąco odnosi się do Adeli, która jego zdaniem nie odebrała odpowiedniego wykształcenia, co po części było prawdą. Ada miała natomiast to, czego inni nie mieli, cudny głos i ogromne zacięcie artystyczne, ale tymi zaletami nie potrafiła niestety bratu zaimponować, a co więcej drażniło go jej nieokiełza ne poczucie humoru i perlisty śmiech, który od rana do nocy słychać było w całym domu. Pomimo że natura obdarzyła ją pięknym koloraturowym sopranem i wielką wrażliwością muzyczną śpiewać w operze jej nie pozwolono, mówiąc krótko, lecz stanowczo:

– Ada! To nie wypada!

Dała za wygraną i poszła do modystki projektować wielkie kapelusze strojne w kwiaty i strusie pióra, z których każdy mógł uchodzić za swoistego rodzaju dzieło sztuki. Była ulubienicą matki, czego również brat nie mógł jej darować. Dziwił się, że za tą, na pierwszy rzut oka, niepozorną blondynką podąża stale sznur adoratorów.

Na jednym z karnawałowych bali w 1905 roku najstarsza córka Heleny, Amalia Hardtówna poznała swojego przyszłego męża Adama Zacharewicza, o ćwierć wieku starszego od niej owdowiałego ziemianina, i choć długo się wzbraniała, w końcu pod presją matki zdecydowała się go poślubić. Ślub odbył się w Katedrze Lwowskiej.

– To tutaj 1 kwietnia 1656 roku Król Jan Kazimierz oddał cały kraj pod opiekę Matki Bożej obwołując Ją Królową Polski – pomyślała Helena w chwili, gdy jej najstarsza córka zmierzała w kierunku ołtarza. Powinna być dumna i zadowolona, zwłaszcza, że ślubu młodej parze udzielał sam metropolita lwowski arcybiskup Józef Bilczewski od lat zaprzyjaźniony z rodziną pana młodego, a jednak z nagla ogarnęła ją fala wątpliwości i wyrzutów sumienia. Kilka tygodni później odbył się ślub najstarszej córki Teresy i Michała Stankiewiczów, Stanisławy, z Sylwestrem Oczkowskim, na którym Amalia się nie pojawiła. Helena zaniepokojona nieobecnością córki postanowiła ją odwiedzić i wtenczas po raz pierwszy zobaczyła w jej oczach piekło.

– Jak mama mogła zgotować mi taki los?

Widać było, że młoda kobieta nigdy nie zdoła pokochać swojego męża i że każde dotknięcie jego ręki, każde zbliżenie ją mierzi.

– Czuję do niego wstręt! – rzuciła matce prosto w twarz.– Nigdy nie będę miała dzieci.

– Ależ to przystojny mężczyzna – chciała powiedzieć Helena, ale nie odezwała się ani słowem. Była przerażona wybuchem córki, gdyż takiego obrotu sprawy nie zdołała przewidzieć. Kiedy więc na weselu drugiej z kolei córki Stankiewiczów pojawił się biedny jak mysz kościelna Michał Dunin-Wąsowicz, widząc na co się zanosi, Helena nie śmiała oponować.

– Będą biedni, ale szczęśliwi!

Majątek Wąsowiczów został skonfiskowany przez władze carskie po powstaniu styczniowym, więc Michał mógł liczyć wyłącznie na siebie, jednakże przed synem Franciszka Dunin-Wąsowicza, cieszącego się niegdyś sławą i uznaniem, otwierały się wszystkie drzwi. Bywał więc w najznamienitszych towarzystwach, zamiast jednak rozejrzeć się za posażną panną i wieść u jej boku dostatnie życie, Michał wybrał Adelę.

– Rzuciła na ciebie urok – złościła się matka Michała, Katarzyna Dunin-Wąsowiczowa zarzucając synowi kompletny brak rozwagi.

– Niech mama da spokój – irytował się Michał – nie ożenię się dla pieniędzy. Są potrzebne, ale same w sobie szczęścia nie dają.Katarzyna Dunin-Wąsowiczowa nie zdołała zaakceptować swojej przyszłej synowej. Nawet argument, że matka Adeli wywodzi się ze znakomitego rodu Zborowskich nie trafiał jej do przekonania. Rozżalona powróciła do swojego Sambora i nie przyjechała do Lwowa na ślub syna. Później tłumaczyła, że nie została w porę zawiadomiona, a innym razem, że nie mogła wyjechać, bo zaniemógł jej mąż.

Michał, choć był nieprzytomnie zakochany w Adzie zarzucał jej brak głębszych uczuć patriotycznych.

– Ależ ja jestem w połowie Francuzką – droczyła się z nim dziewczyna, a on cierpliwie tłumaczył, jakie mechanizmy zachodziły w historii Polski, by na koniec doprowadzić do jej upadku. Chciał, aby zrozumiała sytuację w jakiej znalazł się kraj po rozbiorach, jednakże uwarunkowania geopolityczne, a w tym związki z Francją interesowały Adelę w niewielkim stopniu, nie ośmieliła się jednak okazać zniecierpliwienia, a nawet zachęcała narzeczonego do snucia dalszych wywodów, pytając, jakie są widoki na odzyskanie niepodległości.

– Niewielkie!

Był to temat numer jeden we wszystkich liczących się salonach, mówiło się o tym w kawiarniach, na balach i na ślizgawce. Rzadko kiedy bywał Michał z Adelą sam na sam. Zazwyczaj towarzyszyła im w salonie jedna z jej sióstr, bądź Staszek Hardt. To on pewnego dnia po zajęciach na Uniwersytecie Jana Kazimierza zaprosił Michała do domu na kolację chcąc przedstawić go swoim siostrom. Zazwyczaj zachodzili całą akademicką bandą do kawiarni położonej w centrum miasta w pobliżu gmachu Uniwersytetu, ale tamtego dnia dość rychło zostali sami na Placu Akademickim. Staszek oniemiał widząc, jak wielkie wrażenie wywarła Adela na jego koledze.

– Spodobała mu się Adela, a nie piękna Amalia albo jeszcze piękniejsza od niej Józefina, której królewska wręcz aparycja przyciągała wzrok przechodniów na ulicy – zachodził w głowę, nie pojmując, jak to się mogło stać, a co więcej, on urodzony racjonalista, gotów był na koniec uznać, że Ada zahipnotyzowała Michała swoimi ogromnymi szarozielonymi oczami. I dopiero gdy pewnej nocy Michał zaczął nucić jakiś szlagier Stanisław Hardt doznał nagłego olśnienia, że siostra jest jak mieszanka wybuchowa, a jej wulkaniczny temperament działa, jak magnes.



FranciszekDunin-Wąsowicz, ur.ok.1840,zm 1919, ożeniony z Katarzyną zd.Maźniak, zesłany na Syberię powstaniec styczniowy, syn Franciszka Dunin Wąsowicza powstańca listopadowego, wnuk Mikołaja Dunin Wąsowicza szwoleżera walczącego w wąwozie Sammosiery pod dowództwem gen.Kozietulskiego. Ojciec Michała Dunin Wąsowicza majora dyplm. WP. Brat Bolesława Dunin Wąsowicza majordomusa cesarza Franciszka Józefa, ożenionego z baronówną von Muller.

– To wariatka – orzekł widząc, jak wielkie nadzieje Ada wiąże z Michałem i czym prędzej wszelkimi siłami starał się jej uświadomić smutną prawdę, że panna bez posagu nie jest odpowiednią partią dla zubożałego szlachcica. Wtedy też po raz pierwszy zobaczył do czego jest zdolna siostra w przypływie furii. Gdy zaczęła krzyczeć, że to nieprawda, rzucając przy tym w niego czym popadło, Stanisław Hardt salwował się ucieczką i dał za wygraną, z nieco większym dystansem wszelako zaczął odnosić się do kolegi. Ten jednak niebawem wprawił go w osłupienie deklarując poważne zamiary wobec Ady. Odtąd też Michał został stałym bywalcem salonu Heleny Hardtowej i od samego początku zaskarbił sobie jej sympatię.

Michał opowiadał o tułaczce swoich rodziców po Syberii i o Samborze, nieopodal którego osiedli po powrocie, Helena zaś nie omieszkała wspomnieć, że jej ojciec hr. Jan Zborowski również brał udział w powstaniu styczniowym, a dziadek Wincenty w listopadowym.

– Też stracili majątki, ale na szczęście udało im się uciec, bo gdyby nie, to pewnie urodziłabym się gdzieś za Uralem – żartowała Helena mająca mgliste wyobrażenie o Syberii – w Tomsku albo Irkucku. Była zaskoczona zachowaniem matki Michała, dla której wielokrotnie przekazywała zaproszenie, a która nigdy nie złożyła jej kurtuazyjnej wizyty, choć jej zdaniem powinna była oficjalnie prosić razem z synem o rękę Adeli.

– Daj im spokój – występował w obronie Michała brat Heleny, Bronisław Zborowski. – Ojciec Michała ma co najmniej siedemdziesiąt lat i nie ruszy się z tego swojego Sambora.

– Ależ to niedaleko – protestowała Helena ogromnie ciekawa kim są rodzice narzeczonego jej córki.

– To dobre małżeństwo – uspokajał ją Bronisław – ta kobieta spędziła razem z mężem dwadzieściapięć lat na zesłaniu, a przecież nie musiała.

– Dobry Boże – westchnęła ciężko Helena. – No, ale skoro go kochała! Choć prawdę powiedziawszy trudno to sobie dzisiaj wyobrazić.

– Rzeczywiście trudno wyobrazić sobie, że po powstaniu styczniowym udało się Rosji wysłać na Syberię grubo ponad sto tysięcy ludzi – przyznał jej rację Bronisław.

– Ponad sto tysięcy? – powtórzyła Adela patrząc przy tym na wuja z niedowierzaniem. – Jakim sposobem?

– Ano skazywano ich na katorgę i pędzono pieszo w kajdanach przez Kazań, Orenburg, Tobolsk etapami po 50 kilometrów każdy. Kto nie miał siły iść dalej zostawał.

– To straszne ! – w oczach Ady pojawiły się łzy.

– Straty w powstaniu styczniowym były niewyobrażalne – dodała po chwili Helena. – Nasz ojciec widział powieszonych na Cytadeli.

– Powiesili wszystkich – potwierdził Bronisław, a jego głos zdradzał wzburzenie – 19 lipca Audytoriat Polowy wydał wyrok na Traugutta. Romuald został zdegradowany i skazany na karę śmierci. Wraz z nim stracił życie Rafał Krajewski, Józef Toczyski, Roman Żuliński.

– Zapomniałeś o Janie Jeziorańskim – dopowiedziała Helena – a przecież przyjaźnił się z naszym ojcem.

– To prawda – przyznał Bronisław Zborowski. – Wyrok wykonano 5 sierpnia 1884 roku o 10 rano. Tyle krwi przelanej poszło na marne.

– Nie na marne, mój drogi, nie na marne – zaprotestowała Helena – gdyby nie zrywy powstańcze już dawno zapomnielibyśmy o tym, że jesteśmy Polakami.

– Na szczęście część powstańców skazano na osiedlenie bez katorgi, ale z pozbawieniem wszelkich praw i ci mieli o wiele korzystniejszą sytuację – kontynuował Bronisław Zborowski. – Ponad połowę zesłańców stanowiły osoby pochodzenia szlacheckiego, choć trzeba powiedzieć, że chłopi też brali udział w powstaniu styczniowym.

– Żeromski pisze, że byli pazerni i bezwzględni, okradali poległych – wtrąciła Józefina.

– Jedni kradli zabitym powstańcom buty, a inni walczyli – powiedział Bronisław patrząc na siostrzenicę surowym wzrokiem – nie wolno generalizować, ale czego się nie robi dla sensacji?
W salonie rozległ się gromki śmiech a na twarzy Józefiny pojawił się rumieniec. Uwielbiała wuja Bronisława, ale były chwile, gdy miała ochotę go zabić. Nerwowym ruchem sięgnęła po dzbanek z herbatą tak niefortunnie, że pokrywka odskoczyła i wylądowała na spodniach Bronka. Teraz śmiał się jeszcze bardziej.

– Ostrożnie, moja panno!

Józefina była aż nadto ostrożna z natury i powściągliwa w okazywaniu uczuć więc rzadko kiedy było wiadomo, co naprawdę myśli, teraz jednak wyglądała na osobę zbulwersowaną zasłyszaną historią.

– Myślę, że to mama powinna złożyć państwu Wąsowiczom wizytę, skoro to tak niedaleko od Lwowa, przez wzgląd na należny im szacunek. Helena nie była zaskoczona postawą córki, i jeśli w ogóle liczyła się ze zdaniem swoich dzieci, to właśnie z jej.

– Pomyślimy o tym, tymczasem jednak musimy omówić wiele spraw związanych ze ślubem.

– I *menu* – wystrzeliła Ada – koniecznie trzeba ułożyć menu. Chciałabym, aby na przystawkę podano pstrągi i auszpik z kaczek, a potem *consmme royal* i *consomme aux tomates*, a po nich paszteciki w muszelkach z raków, pulardy a la Bordellaise i indyki nadziewane truflami, karczochy faszerowane, bombe plombiere, no i oczywiście ogromny tort weselny.

– Ale jak my pomieścimy tylu gości? – na drobnej twarzyczce Ady pojawił się niepokój.

– Ach, o to się nie martw – roześmiała się Helena – w organizacji przyjęć niezawodna jest ciotka Katarzyna Glińska.

– Wszelki duch pana Boga chwali, toż to ona – wydała okrzyk radości Ada na widok osoby wchodzącej właśnie do salonu.

– Przyszłam wam powiedzieć, że będzie wojna!

To mówiąc starsza pani opadła na fotel nie mogąc złapać tchu, a Helena pospieszyła do niej z flakonikiem soli trzeźwiących.

– Zabieraj to paskudztwo spod mojego nosa, bo pomaga tyle co umarłemu kadzidło.

– Filiżankę herbaty? – zapytała Helena.

– A naleweczki, to u ciebie niet?

– Jest nalewka – pospieszył nalewać Bronisław Zborowski – a jak że by mogło nie być?

– No to dawaj kochanieńki, dawaj!

– A co ty tam masz moja duszko? – zwróciła się kniazini do chowającej się za plecami matki Adeli.

– Ślubne *menu*? – powtórzyła w ślad za Adą z zachwytem tonem pełnym egzalatacji.

– Oby tylko wojna wam nie przeszkodziła – to mówiąc przeżegnała się – módlmy się, żeby te szalone ludzi nie wywołali znowu wojny.

– A jak tam cioci pałac jeszcze stoi? – zagadnął Stanisław Hardt.

– Jeszcze stoi, ale odkąd pojawił się tam ten Rajmund Jarosz i wykupił wszystko co tylko się dało, to nawet nie w smak mi tam jechać. Okropny człowiek, a co gorsza gdzie się obrócisz wszędzie pełno bogatych Żydów, zupełnie tak jakby Polacy nie mieli już żadnych pieniędzy, choć ostatnio w kąpielisku widziany był nawet sam generał Haller. Czy ktoś z państwa zna tego Jarosza? – w oczach starszej pani pojawiły się teraz groźne błyski. – Ponoć ukończył prawo na Uniwersytecie Jagiellońskim?

– Biedna ciotka – szepnął Staszek Hardt do siedzącego obok niego Edmunda – jak tak dalej pójdzie będzie musiała odsprzedać tej nowopowstałej żarłocznej spółce swoją posiadłość.

Bywało, że salon pękał w szwach, jako że Helena prowadziła niemal dom otwarty dla rodziny i przyjaciół swoich synów i córek. Miała nie lada kłopot z wydaniem ich za mąż, tym większy, że choć wszystkie były nad wyraz urodziwe, żadna z nich nie mogła liczyć
z jej strony na najskromniejszy choćby posag.

– Musi wystarczyć nazwisko – żartowała.

Adela, w przeciwieństwie do swoich starszych sióstr, nie wdawała się w dyskusje na tematy polityczne. Niepokoiła ją natomiast perspektywa wojny, choć i ta jakoś szczególnie jej nie przerażała, bo nie miała o niej najmniejszego pojęcia. A na wojnę zanosiło się od dawna, na długo zanim padły strzały w Sarajewie.

I choć wojna była tematem numer jeden, nie mniej ekscytujące były plotki na temat awantur pomiędzy znanym i cieszącym się powszechną sympatią Włodzimierzem Zagórskim, a uchodzącym za wojskowego zawadiakę Józefem Piłsudskim, który pojawiał się we Lwowie i był zagorzałym Zagórskiego adwersarzem. Czym ten mu się naraził trudno było powiedzieć.

Zagórski był mężczyzną dobrze urodzonym i wszechstronnie wykształconym, szarmanckim i o nienagannych manierach a przy tym niebywale przystojnym. Owianym lekką mgiełką tajemniczości sprawiał wrażenie niedostępnego, a to wystarczyło by wszystkie panie i panny potajemnie się w nim kochały. Brylował w towarzystwie, które chętnie słuchało jego opowieści. Wszyscy wiedzieli, że jego ojciec, Jan Zagórski, wywieziony na Syberię po powstaniu styczniowym, zdołał stamtąd zbiec do Francji.

– Jak to możliwe, jakim sposobem mu się to udało – szeptano z podziwem i dopytywano o szczegóły.

Włodzimierz Zagórski nie ukrywał, że urodził się w Saint–Martin–Lautosgue we Francji i tam studiował prawo, a później ukończył Akademię Sztabu Generalnego w Wiedniu.

– Ach, ten jego czarująco zniewalający uśmiech – westchnęła Ada, widząc go po raz pierwszy. Od tamtej pory pozostawała pod urokiem


gen.Włodzimierz Zagórski


rotm. Zbigniew Duni Wąsowicz


marszałek Józef Piłsudski


gen.Józef Haller


gen.Władyslaw Sikorski

Włodzimierza Zagórskiego i wpadła w zachwyt, gdy ten zjawił się popołudniowej herbatce w towarzystwie Michała, do czego zapewne by nie doszło, gdyby Michał zdawał sobie sprawę, że prowadzi potencjalnego rywala do świeżo upieczonej narzeczonej. Dziwnym zbiegiem okoliczności, lub jak kto woli przypadkiem, który w wypadkach takich jak ten słuszniej określać mianem koincydencji znaczącej, po przeniesieniu się rodziny z Rumunii do Lwowa, Edmund Hardt trafił do klasy prowadzonej przez Władysława Zagórskiego, stryja późniejszego generała. To on, doceniając niezwykłe cechy osobowości Edmunda, poznał ze sobą młodych ludzi, licząc na to, że się ze sobą zaprzyjaźnią. Miał też pewien cel ukryty, motywację z którą za nic w świecie by się nie zdradził, a mówiąc wprost podkochiwał się potajemnie w matce swojego wychowanka, Helenie Hardtowej, pięknej wciąż wdowie po przedwcześnie zmarłym Edmuncie Karolu, o którym wiedział tyle tylko, że pochodził z rodziny francuskich hugenotów i pochowany został w Rumunii.

Studiując w Wiedniu Zagórski zetknął się i zaprzyjaźnił ze Zbigniewem Dunin-Wąsowiczem, synem baronówny von Muller i Bolesława Dunin-Wąsowicza, który był niegdyś majordomusem dworu Franciszka Józefa. Początkowo odnosił się do młodego kadeta z wyraźną rezerwą, zarzucając jego ojcu, służącemu w austriackich ułanach, brak patriotyzmu. Gdy z kolei w jakiś czas później poznał we Lwowie Michała Wąsowicza, uchodzącego za stryjecznego brata Zbigniewa, zaczął zastanawiał się jak to się mogło stać, że dwaj bracia Franciszek i Bolesław Wąsowiczowie zajęli tak diametralnie różne stanowiska w sprawie polskiej. Zapewne też na tym by się te jego rozmyślania skończyły, gdyby nie to, że akurat wtedy musiał pilnie udać się do domu w związku z poważną chorobą matki, Anny Kozłow.

Matka Włodzimierza, była niegdyś damą dworu Romanowów, zaś jej ojciec generał Kozłow, za nic nie chciał przystać na jej małżeństwo z Zagórskim. Siedząc przy łóżku matki Włodzimierz nagle odkrył, jak dziwnie potrafią układać się losy ludzkie i jak dziwnie bywają poplątane ludzkie ścieżki. Ostatecznie doszedł do wniosku, że to baronówna von Muller odciągnęła Bolesława Dunin-Wąsowicza od sprawy polskiej. Nie wziął udziału powstaniu styczniowym i zajął się pracą u podstaw. Równocześnie w sercu Włodzimierza pojawiła się dziwna nuta czułości dla matki, która poświęciła w imię miłości do jego ojca wszystko: pozycję, majątek i rodzinę. Wtedy też okazało się, że jego własny ojciec Jan walczył w czasie powstania styczniowego niemal ramię w ramię z ojcem Michała, Franciszkiem Wąsowiczem a na Syberii połączyła ich szczególnego rodzaju zażyłość.

– Ależ doskonale pamiętam Franciszka – uśmiechnął się staruszek na samo wspomnienie wojennej przygody – namawiałem go, aby uciekał razem ze mną, ale on czekał wtenczas na żonę, która o ile dobrze pamiętam przedzierała się przez Syberię pod fałszywym nazwiskiem. Ten to miał wąsy sumiaste, jak na Wąsowicza przystało! Razem z młodym Franciszkiem pod bronią stanęli w 1863 roku jego dwaj młodsi bracia, Paweł i ten, którego imienia nie pomnę, jako że pierwszy zginął.

Tym oto sposobem koło powiązań pomiędzy Włodzimierzem Zagórskim a Michałem Wąsowiczem i jego przyszłą żoną Adelą Hardtówną zamknęło się, zanim doszło do jakichkolwiek dramatycznych wydarzeń. Później Zagórski, już, jako oficer Sztabu Generalnego w Wiedniu, któremu podlegali pracownicy i agenci wywiadu na terenie Przemyśla, Krakowa i Lwowa, pojawiał się co jakiś czas we Lwowie i bawił w salonie Heleny Hardtowej, i owa aura, że jest kimś ważnym i wpływowym zagęszczała się wokół jego osoby sprawiając, że podkochiwały się w nim wszystkie jej córki, nie wyłączając najmłodszej Antoniny. Równocześnie cieszył się przyjaźnią Mundka i jego brata Stanisława i owa przyjaźń nie osłabła nawet wówczas, gdy wprowadził pod ich dach świeżo upieczonego oficera armii austriackiej, lecz wielkiego bałamutę Franza, nie podejrzewając rzecz jasna, że ten może zawrócić w głowie czternastoletniej panience, której nikt inny nie brałby poważnie pod uwagę.

Zagórski był dla Ady postacią intrygującą, zaś kobieca intuicja podpowiadała jej, że nie jest mu obojętna, wiedziała jednak, że jest to człowiek honoru i nie wejdzie w drogę przyjacielowi. Wiedziała też, że z Michałem związany był w sposób szczególny. Obaj należeli do wielkiej rodziny Sybiraków, a to były związki na śmierć i życie. Zagórski z dumą podkreślał, że jego ojciec, Jan, walczył w powstaniu ramię w ramię z Franciszkiem Dunin-Wąsowiczem. Rozmawiali o tym często. Michał upierał się, że los powstania styczniowego był z góry przesądzony i że zupełnie niepotrzebnie zginęło ponad trzydzieści tysięcy ludzi. Zagórski natomiast uważał, że winna była zła strategia i organizacja, która doprowadziła do rozproszenia sił, a w końcowym etapie do wojny partyzanckiej. Obaj byli zgodni, że gdyby uzyskano pomoc z zagranicy, z Francji, na którą liczono, były szanse na zwycięstwo.

Michał ukończył studia prawnicze we Lwowie, Zagórski odbywał je we Francji i Austrii. W przeciwieństwie jednak do Zagórskiego, który już w 1900 rozpoczął służbę wojskową w Cesarskiej i Królewskiej Armii, Mchałowi nie śpieszno było do wojaczki. Zwykł mawiać, że jego rodzina zbyt wielką już złożyła ofiarę, której skutki w postaci konfiskaty całego majątku odczuwa do dziś.

– Dobrze, że przynajmniej dzieci katorżników uznawano za ludzi wolnych – podkreślał, pomny, że starsza cześć jego rodzeństwa przyszła na świat w tamtych nieludzkich warunkach. – moja matka musiała być chyba szalona, skoro dobrowolnie skazała się na tułaczkę. Posługując się nazwiskiem Bubłyk, przemierzała gubernię Archangielską, była w Wiatce, Wołogdzie, Tobolsku, Tomsku, Krasnojarsku, Irkucku i Jakucku starając się wraz z grupą zaprzyjaźnionych osób nieść pomoc zarówno materialną jak i duchową zesłańcom. Kursowała wożąc paczki, listy i pieniądze, nierzadko wykorzystując na trasie liczne więzienia etapowe służące

do transportu zesłańców. Powstały w efektcie reformy Spierańskiego, dzięki której utworzono w Tobolsku centralną administrację więzienną, prowadzącą rejestr zesłanych. Miała przestrzegać terminów zwolnień, gdyż wcześniej z reguły wszystkich zesłańców traktowano, jako dożywotnich oraz dbać o umieszczanie ich w osadach i o zapewnienie im środków do życia.

***

– Mogłabym dla niego głowę stracić – wyznała pewnego dnia Adeli w sekrecie jej starsza siostra Amalia Zacharewicz. Adela wstrząśnięta tym wyznaniem w pierwszej chwili nie zrozumiała i zapytała, czy chodzi o Michała.

– Zwariowałaś? – odskoczyła jak oparzona Amalia. – Oczywiście, że nie. Była totalnie zmieszana, gdy w tym momencie do salonu wkroczył zabójczo przystojny mężczyzna, o którym była właśnie mowa.

– Witamy panie Włodzimierzu – wyszeptała niskim głosem o niezwykle ciemnej barwie, patrząc mężczyźnie głęboko w oczy swoimi ciemnymi, a przy tym głęboko osadzonymi oczami, co zgorszyło Adelę, bo w pewnym momencie zauważyła, że pomiędzy jej siostrą, a przybyłym wytworzyła się dziwna siła przyciągania i widać było, że on nie może oderwać od niej wzroku. Amalia osunęła się na fotel z silnym rumieńcem na twarzy, a jej piersi falowały pod białą batystową bluzką wyraźnie się uwidaczniając.

– Zachowujesz się, jak jakaś uliczna lafirynda – oburzyła się Adela – myślisz, że on nie zauważy, że na niego lecisz?

– Celowo go prowokujesz? – ciągnęła dalej nie usłyszawszy żadnej odpowiedzi. – Chcesz wywołać skandal? Co na to powie mama?

– Ależ ty jesteś naiwna Adusiu – machnęła ręką Amalia pozostawiając siostrę sam na sam z jej myślami, nie domyślając się jednak, że Ada jest zazdrosna o uczucia, jakimi Zagórski ją obdarzył. I choć nie mówił o tym wprost, wiedziała, że się w niej zakochał. Nie uszło też uwadze Heleny Hardtowej, że tych dwoje wpada na siebie nazbyt często. Początkowo wydawało się jej, że urodzony w Saint-Martin-Lautosque we Francji młody oficer darzy jej córki szczególnym rodzajem sympatii z racji ich pochodzenia i długo to trwało zanim zorientowała się, że zanosi się na burzliwy romans. W 1910 roku po ukończeniu Akademii Sztabu Generalnego w Wiedniu Zagórski został szefem sztabu VIII Brygady Piechoty w Krakowie i odtąd nie często bywał we Lwowie. Amalia natomiast wyszukiwała coraz to nowe powody, aby pojechać do Krakowa, gdzie zatrzymywała się u wuja Ignacego Zborowskiego przy ulicy Karmelickiej i praktycznie była poza wszelkim nadzorem. Helena z własnego doświadczenia wiedziała, że miłość jest jak wezbrana rzeka zrywająca tamy i mosty.

– To żywioł nie do opanowania – utyskiwała w głębi ducha, ale rzecz jasna nie mogła tego oficjalnie przyznać. Spodziewała się, że Amalia zdoła się w porę opamiętać przez wzgląd jeśli nie na męża, to na rodzinę, lecz nie wiadomo, jak by się ta znajomość skończyła, gdyby nie przeniesienie Zagórskiego do K.u.k. Evidenzbureau w Wiedniu, prowadzącego wywiad wojskowy.

Odkąd Zagórski został funkcjonariuszem II Oddziału Sztabu Generalnego podlegały mu wszystkie ekspozytury wywiadowcze (Hauptkundschaftstellen) w Krakowie, Przemyślu oraz Lwowie i wtedy też wielokrotnie kontaktował się z J. Piłsudskim, który składał mu systematycznie meldunki o sytuacji w Przywiślańskim Kraju, w zamian za środki finansowe, które przeznaczał na rozwój polskich organizacji strzeleckich. Było wiadomo w pewnych kręgach, a Hardtowie do nich należeli, że Piłsudski był inicjatorem i przywódcą założonej w czerwcu 1908 we Lwowie tajnej organizacji wojskowej, której celem było przygotowanie i organizowanie przyszłego powstania zbrojnego w zaborze rosyjskim. Związek Walki Czynnej, bo o nim mowa, w 1914 liczył 7239 członków, stanowiąc trzon kadry tworzonych Legionów Polskich. Wcześniej zorganizował kilka tajnych szkół podoficerskich i oficerskich, do których rekrutowano słuchaczy głównie spośród młodzieży akademickiej. W 1910 powstał we Lwowie Związek Strzelecki, będący faktycznie paramilitarną organizacją przysposobienia wojskowego podległą ZWCz, której został komendantem, zaś szefem sztabu ustanowił Kazimierza Sosnkowskiego. Pod ich komendą był nie tylko Związek Strzelecki, ale również Polskie Drużyny Strzeleckie.

Od sierpnia 1914 do czerwca 1916 roku Zagórski, w randze kapitana Sztabu Generalnego, został przydzielony do formowanych z udziałem Evidenzbureau Legionów Polskich, co napotkało sprzeciw Piłsudskiego. Powodem rodzącego się pomiędzy nimi antagonizmu był lojalizm Zagórskiego wobec jego austriackich mocodawców i Cesarza.

***

Michał Wąsowicz, będąc we wrześniu 1913 roku już po słowie z dwudziestotrzyletnią wówczas Adelą nie podzielał entuzjazmu, z jakim jej brat, Mundek, odnosił się do poczynań Józefa Piłsudskiego i na tym też tle dochodziło pomiędzy nim a przyszłym szwagrem do pewnych animozji. Wiedział, że młody Hardt został zwerbowany przez kuzyna matki Wiktora Kostrakiewicza-Zborowskiego, który był jednym z organizatorów wspólnych ćwiczeń Związku Strzeleckiego i Polskich Drużyn Strzeleckich w maju 1913 roku i przestrzegał Adę przed angażowaniem się w pracę żeńskiego oddziału Związku Strzeleckiego. Był zdecydowanie negatywnie nastawiony do Polskiej Partii Socjalistycznej.

Generalnie też z żadną partią było mu nie po drodze. W jednym tylko zgadzał się z Piłsudskim, że należy wszelkimi możliwymi sposobami zwalczać Rosję, jako największego, a przy tym naturalnego wroga Polski, ale nie podzielał już jego tezy, że „niepodległość Polski jest tylko i jedynie kwestią wygranej rewolucji". Nie podobał mu się też sposób zdobywania pieniędzy na walkę zbrojną polegający na rabowaniu austriackich kas.

– Takie postępowanie jest nie do zaakceptowania – mawiał, opowiadając się przeciwko machiavellistycznej teorii, zgodnie z którą cel uświęca środki. W konsekwencji atawistycznej nienawiści do Rosji, wyssanej, jak twierdził z mlekiem matki, Michał skłonny był też uważać twórcę ruchu konkurencyjnego dla PPS, nacjonalistę Romana Dmowskiego, za wariata.

– Tylko wariat i to wychowany w Galicji mógł wymyślać, że Rosja będzie chronić Polskę przed Ukraińcami i Litwinami – perorował w salonie Heleny Hardtowej doprowadzając tym samym jej syna, Stanisława, do białej gorączki.

– Narażasz naszą przyjaźń na szwank – ripostował młody prawnik wpatrzony w postać przywódcy narodowej Demokracji, jak w święty obrazek.

Adela starała się łagodzić spory pomiędzy bratem a przyszłym mężem, nie bardzo wiedząc, któremu z nich należałoby przyznać rację. Jej matka z zasady nie wdawała się w spory do jakich dochodziło na tym tle także pomiędzy jej własnymi dziećmi, opowiadającą się po stronie socjalistów Józefiną i prawicowo nastawionym Staszkiem. Przyjmowała postawę neutralną, a jeśli już komuś miałaby przyznać rację to tym, którzy ratunku dla Polski szukali daleko poza granicami kraju, we Francji albo w Stanach Zjednoczonych. Była świadkiem odsłonięcia ufundowanego przez


Adela z von Hardtów Dunin Wąsowiczowa

Paderewskiego w 1910 roku w Krakowie pomnika mającego uczcić pięćsetną rocznicę zwycięstwa Pod Grunwaldem.

– Podczas odsłonięcia głos zabrali marszałek Sejmu Krajowego Stanisław Badeni, prezydent Krakowa Juliusz Leo i fundator pomnika Ignacy Jan Paderewski – relacjonowała Józefina, którą matka zabrała wówczas ze sobą, pomimo protestów pozostałego rodzeństwa. Wszyscy chcieli jechać, ale Helena okazała się nieustępliwa, gdyż chciała z Józefiną pobyć sam na sam.

– Za udział w bitwie pod Grunwaldem Wąsowiczowie otrzymali nadanie szlacheckie – oświadczył Michał, gdy wspomniała o swojej bytności w Krakowie. Tym sposobem pomiędzy Heleną a jej przyszłym zięciem zawiązało się milczące porozumienie. Chroniła go przed atakami swoich własnych dzieci, przyznając mu w głębi ducha rację, że ani Austria, ani tym bardziej Rosja nie staną się gwarantem i fundamentem odrodzenia Polski.

Będąc sceptykiem z urodzenia Michał nie podzielał wiary zwolenników skonsolidowania wszystkich ruchów niepodległościowych pod egidą Austrii i nie dał się przekonać Mundkowi, że dzięki temu Polska odzyska wreszcie po stu latach zaborów niepodległość. Pomysł Piłsudskiego, aby walkę o niepodległość oprzeć o Austrię wydawał mu się równie utopijny jak niegdyś pomysł Dąbrowskiego, aby połączyć siły z Napoleonem. Napoleon, zdaniem Michała, zainteresował się wprawdzie sprawą polską, ale nigdy nie był zainteresowany odbudową Rzeczpospolitej, po pierwsze, dlatego że nienawidził wielkich narodów, a po wtóre, dlatego że nienawidził ducha niepodległości. Michał wątpił w skuteczność działania Legionów, które kojarzyły mu się z Legionami walczącymi niegdyś u boku Napoleona w nie swojej sprawie.

– Będzie tak jak z Napoleonem, któremu Polacy zawierzyli ślepo, lecz po prawdzie niczego nie zyskali ani zyskać nie mieli, gdyż Bonaparte był ostatnią osobą, której mogłoby zależeć na przywróceniu Polsce statusu państwa przedrozbiorowego – stwierdził autorytatywnie, po czym śmiejąc się dodał:

– Jeśli w Polsce na czymś mu zależało, to tylko na uwiedzeniu pani Walewskiej.

– Ależ co też ty mówisz? – oburzyła się Adela. – Napoleon był Francuzem, a Francuzi byli zawsze naturalnymi sprzymierzeńcami Polski.

– Bonaparte gotów był do rokowań z Prusakami i carem nie bacząc na Polskę – upierał się przy swoim zdaniu Michał. – Piersi polscy legioniści walczący pod flagą francuską w polskich mundurach ślepo ufali Bonapartemu, a w efekcie końcowym I Legion został rozbity przez Suworowa w bitwie, pod Trebbia, drugi pod Marengo, a trzeci, który stanowiła Legia Naddunajska padł pod Hohenlinden, z resztek zaś powstała ekspedycja do stłumienia powstania niewolników na San Domingo.

– Ale później – odezwał się Stanisław Hardt – po utworzeniu Legii Północnej, którą dowodził książę Józef Poniatowski, Polacy dzielnie odpierali Austriaków między innymi w bitwie pod Raszynem.

– Nasza mama wyszła za mąż za Francuza – dodała żartobliwym tonem Adela spoglądając przy tym na matkę. – Prawda mamo?

Pani Helena roześmiała się tylko w odpowiedzi i wyszła z salonu, odprowadzana życzliwymi spojrzeniami obecnych. Wiele słyszała od swojego męża na temat Napoleona, ale nie chciała zabierać na ten temat głosu, zwłaszcza że Edmund Karol Hardt, podobnie jak cała jego rodzina z całą pewnością do obozu bonapartystów nie należał.

Niektórych zdumiewała owa niechęć Wąsowicza do Napoleona. Michałowi od dziecka opowiadano, że jego pradziad, Mikołaj Wąsowicz, zawędrował wraz z Napoleonem do Hiszpanii i okrył się sławą szarżując wąwóz pod dowództwem Kozietulskiego w wielkiej bitwie pod Samosierrą. Początkowo był z tego powodu bardzo dumny, ale w miarę zdobywania wiedzy stawał się coraz większym sceptykiem. Miał wyrobiony pogląd na temat przyczyn utraty przez Polskę niepodległości.

– To nie tylko kwestia splotu nieszczęśliwych okoliczności dziejowych, rosnących w siłę ościennych monarchii absolutnych, w czasie gdy u nas szerzyło się bezhołowie i warcholstwo – powtarzał ilekroć dochodziło do dyskusji na ten temat. – Oczywiście, że jesteśmy sobie sami w jakiejś mierze winni – dowodził – ale tak naprawdę moim zdaniem tego nieszczęścia nie sposób było uniknąć. Polska, wielka, mocarna, rozciągająca się od morza do morza, skoligacona ze wszystkimi domami panującymi w Europie, nie w smak była sąsiadom.

– Upraszczasz nadmiernie sprawę – oburzał się w takich wypadkach Stanisław Hardt.

– Ach, ten twój nacjonalizm – irytował się Michał, gdy przyjaciel zgodził się zagrać w wystawianym przez teatr amatorski *Nocy listopadowej,* a teraz zadręczał wszystkich interpretacją swojej roli.

–Rodzina naszego pradziadka, Mateusza Hardta uciekała z Francji przed rewolucją – odezwała się nieśmiała zazwyczaj Józefina Hardt chcąc przerwać spór pomiędzy bratem a przyszłym szwagrem.

Michał roześmiał się, a Stanisław machnął ręką lekceważąco.

– Za chwilę usłyszymy, że Hardtowie wybrali Polskę, bo sprawa niepodległości Polski poruszyła wielu Francuzów.

– W Paryżu o Polsce było głośno – poparła córkę Helena – mąż opowiadał mi, że jego ojciec na własne uszy słyszał jak skandowano „Vive La Pologne".

– Coś podobnego? – odezwał się Michał co nieco zaskoczony.

Patrząc z perspektywy czasu Michał, nie podzielał entuzjazmu swojego pradziadka Mikołaja, ani też dziadka Franciszka, który brał czynny udział w powstaniu listopadowym, ani nawet własnego ojca również Franciszka powstańca styczniowego i mawiał, że nie tędy droga. Nie mógł darować strat, jakie ponieśli Polacy

zdobywając wąwóz Somossierry pod wodzą Kozietulskiego, gdzie wśród trzystu jeźdźców posłanych przez Napoleona na pewną śmierć znalazł się jego własny pradziadek. Ubolewał, gdy 13 czerwca 1915 roku dowodząc szarżą ułańską pod Rokitną porównywaną przez wszystkich do tej, która rozegrała się niegdyś pod Somosierrą, poległ jego stryjeczny brat, rotmistrz Zbigniew Dunin Wąsowicz. Zbigniew był kawalerzystą od pokoleń, albowiem jego ojciec, Bolesław, służył w austriackich ułanach. Jednostkę, którą dowodził, stworzył i wyćwiczył w Przegorzałach.

Bracia Adeli, podobnie jak niegdyś ich ojciec, wysocy i postawni, byli skłonni nawet przyznać Michałowi rację, ale ich przyjaciel, młody Chalawa, którego siostra zaręczyła się właśnie z Edmundem, od razu by go na pojedynek wyzywał za obrazę świętości narodowej.

***

– To nie będzie wojna partyzancka – przekonywał stryjeczny brat Michała, rotmistrz Zbigniew Dunin-Wąsowicz, który złożył wizytę w mieszkaniu Heleny Hardtowej zanim Michał i Adela pobrali się. Była zaskoczona, gdyż Michał wcześniej wspominał o antagonizmie istniejącym od lat pomiędzy ojcem Michała, Franciszkiem a ojcem Zbigniewa, Bolesławem Dunin-Wąsowiczem oficerem Cesarskiej i Królewskiej Armii i szambelanem dworu cesarskiego.

– Prosimy do salonu – powiedziała, uśmiechając się przyjaźnie do tego niezapowiedzianego gościa.

– Przepraszam za to najście – zaczął nieśmiało – ale mam nadzieję, że w tych niecodziennych okolicznościach zostanie mi to wybaczone.

– Pan zapewne chciałby widzieć Michała? – zapytała, choć to było niemal oczywiste.

– Do pani przede wszystkim, panno Adelu – odparł zbijając ją tym samym z kontenansu.

– Do mnie? – zapytała. – A czemuż to?

– Bo widzi pani – zawahał się, przez co zapadła chwila kłopotliwego milczenia – mój ojciec jest już starym i schorowanym człowiekiem, a wciąż ciąży mu sytuacja panująca w naszej rodzinie.

– Tak? – podchwyciła Adela.

– Pomyślał, że może pani potrafiłaby wpłynąć na Michała, by położyć temu kres.

Adela nie od razu zorientowała się, ku czemu zmierza ta rozmowa i dopiero gdy podawała gościowi filiżankę z herbatą ogarnęła ją nagła fala niepokoju, co powie jej narzeczony, gdy dowie się o tej wizycie. Tymczasem Zbigniew Dunin-Wąsowicz zaczął opowiadać o sobie i tym też sposobem dowiedziała się, że po ukończeniu korpusu kadetów w Łobzowie pod Krakowem poświęcił się zawodowej służbie wojskowej.

– Mianowany zostałem podporucznikiem kawalerii austriackiej w 1910 roku i do 1912 roku służyłem w 13 Pułku Ułanów.

– Dlaczego zatem wystąpił pan z wojska? – zapytała nieśmiało.

– Ależ, Adusiu – wtrąciła się do rozmowy Józefina – nie zadaje się takich pytań.

– Ależ bardzo proszę, nie mam nic przeciwko temu – zaprotestował Zbigniew Dunin-Wąsowicz – bardzo proszę pytać, o co tylko pani ma ochotę, chętnie odpowiem na każde pytanie.

Adela wiedziała, o co zapytałby Michał i drżała na samą myśl, że narzeczony wpadnie lada chwila i obaj panowie staną oko w oko z przeszłością.

– Przeszłość nie powinna nas dzielić – powiedział ściszonym głosem – a gdy spojrzała na niego swoimi pięknymi szaroniebieskimi jednego dnia, a drugiego szarozielonymi oczami ze zdziwieniem, szybko dodał:

– Mnie i Michała naturalnie.

– To zrozumiałe – powiedziała uśmiechając się znowu przyjaźnie – w końcu jesteście panowie rodziną.

– Bliską rodziną, panno Adelu – podkreślił żegnając się – bardzo bliską.

***

Czekała na Michała niecierpliwie nie bardzo wiedząc jak powiedzieć mu o tym, że podjęła się roli mediatora w pewnej bardzo delikatnej sprawie.

– Ty chyba oszalałaś, moja droga – zganiła ją matka, gdy tylko wyszło na jaw, jaki był rzeczywisty cel wizyty rotmistrza Wąsowicza – nie powinnaś mieszać się w nieswoje sprawy.

– Ależ, to także moja sprawa – zaprotestowała. – jakby nie było niebawem stanę się częścią tej rodziny.

– Ada ma rację – stanęli w obronie siostry obaj bracia – skoro rotmistrz zdecydował się na ten krok i złożył nam wizytę należy porozmawiać z Michałem.

– Jestem pewna, że Michał potrafi docenić ten jego gest – orzekła Ada z wrodzoną sobie naiwnością.

– To bardziej bolesna sprawa aniżeli wszystkim wam się wydaje – podsumował dyskusję Bronisław Zborowski, który zjawił się akurat na kolacji, jak zwykle niezapowiedziany. – Drogi Franciszka i Bolesława Dunin-Wąsowiczów rozeszły się dawno temu; z chwilą wybuchu powstania styczniowego.

– O tym właśnie wspominał Michał – westchnęła cichutko Adela darząca wuja Bronisława wielkim szacunkiem. – Mówił, że kiedy jego ojciec Franciszek walczył w powstaniu, jego stryj ani myślał nadstawiać karku i zaszył się w Wiedniu.

– To nie zmienia faktu, że to zacna rodzina – przeciął dyskusję Bronisław Zborowski.

– Dlaczego zatem stryj Michała nie poszedł do powstania, tak jak jego bracia? – zapytała Ada.

– Ano właśnie w tym rzecz – roześmiała się Helena Hardtowa – tego nikt nie wie.

Bronisław spojrzał na siostrę z uznaniem.

– Trzeba mówić o naszej tożsamości narodowej, zwłaszcza teraz, gdy rysują się widoki na odzyskanie niepodległości. Niestety ta niepodległość znowu zostanie okupiona krwią.

– Ale to nie będzie długa wojna? – zaniepokoiła się Helena.

– Nie sądzę, aby była długa – odparł Bronisław – ale wojna to wojna.

– To straszne – znowu cichutko westchnęła Adela, a po chwili zapytała:.

– Uważacie zatem, że nie powinnam wstawiać się za rotmistrzem u Michała?

Pani Helena spojrzała wymownie na swego brata, lecz ten milczał przez dłuższą chwilę, więc w jadalni zapanowała cisza, którą przerwał starszy brat Adeli, Mundek, mówiąc, że nie jasne jego zdaniem były powody, dla których rotmistrz Zbigniew Dunin–Wąsowicz przeszedł do rezerwy.

– Wspomniał, że na własną prośbę – odważyła się odezwać Adela, uchodząca za osobę najmniej ze wszystkich wiedzącą w tej rodzinie.

Staszek Hardt roześmiał się patrząc na siostrę z politowaniem:

– To oczywiste, gdyby go wyrzucono nie mógłby dzisiaj zajmować się ruchem strzeleckim.

Po ogłoszeniu mobilizacji udał się do Brzeżan, gdzie objął kierownictwo wyszkolenia pozostałych w obozie strzelców.

– Ale ponoć zrezygnował z tej funkcji i dlatego właśnie przyjechał teraz do Lwowa – wtrąciła znowu nieśmiało Adela.

– Tak ci powiedział? – zapytał Stanisław Hardt, jak zawsze nazbyt dociekliwy prawnik.

Adela w odpowiedzi tylko skinęła głową.

Nigdy nie doszło do spotkania Michała Dunin-Wąsowicza ze Zbigniewem Dunin-Wąsowiczem, gdyż zanim Michał się na nie zdecydował, młody rotmistrz wyjechał do Krakowa, gdzie 11 sierpnia objął dowództwo oddziału Sokołów Konnych przy oddziałach Piłsudskiego, a później brał udział w potyczkach w okolicy Kielc.
Zginął dowodząc szażą ułanów pod Rokitną.

***

O pierwszej wojnie światowej opowiadała mi babcia Adela Dunin-Wąsowiczowa i ojciec Ludwik Krupiński, który w 1914 roku miał zaledwie siedem lat. Słyszałam o niej w szkole i na studiach, gdzie nauczono mnie patrzeć na rozgrywające się na przestrzeni dziejów konflikty inaczej, przez pryzmat kryjących się za nimi wielkomocarstwowych interesów. Wiedziałam stąd, że do wybuchu wojny doprowadziła rywalizacja Niemiec z Francją, Wielką Brytanią i Rosją, a zapalnikiem było zabójstwo arcyksięcia Ferdynanda na moście w Sarajewie.

Na moście tym stanęłam dokladnie w pięćdziesiatą rocznicę tamtych wydarzeń, latem 1964 roku w drodze z Belgradu do Dubrownika i wtenczas matka Zofia Krupińska powiedziała, że w tym miejscu został zastrzelony razem ze swoją żoną Zofią, księżną Hohenberg. Zapytałam dlaczego, a ona zaczęła opowiadać o wojnie na Bałkanach wywołanej przez Włochy, które zaatakowały imperium osmańskie, i o bezprawnej aneksji Bośni dokonanej przez Austro-Węgry, a także o dążeniach wielu narodów do odzyskania niepodległości.

– Jestem przekonana, że początków rywalizacji pomiędzy Francją a Niemcami można doszukiwać się w podziale imperium Karola Wielkiego – oświadczyła na koniec, popijając kawę z maleńkiego tygielka z dlugą rączką w jakiejś tureckiej kafejce, a gdy spojrzałam na nią ze zdziwieniem, dodała, że takiego zdania był zawsze jej ojciec Michał Dunin Wąsowicz. Był niemiłosierny upał, umierałam z pragnienia i tamta wojna nie obchodzila mnie nic a nic, lecz ona niezmordowanie ciągnąla dalej:

– Niemcy były trwale związane Trójprzymierzem z Austrią i Wlochami i zobowiązane jej pomóc w wypadku napaści. Żaden układ natomiast nie zobowiązywał Rosji do wystąpienia w obronie Serbii ani Wielkiej Brytanii, ani też do udzielenia wsparcia Rosji w wypadku, gdyby opowiedziała się po stronie Serbii. Nie musiało zatem dojść do wojny, ale gdy 4 sierpnia Niemcy ruszyli na Belgię, Wielka Brytania, choć nie była stroną francusko-rosyjskiego przymierza, najpierw wystosowała ultimatum, a następnie wypowiedziała Niemcom wojnę.

– Nie zapominaj, że to państwa Ententy zostały zaatakowane – przerwał monolog mojej matki mój ojciec, gdy wyjechaliśmy z Sarajewa w kierunku Adriatyku.

– To prawda, ale nie kto inny tylko własnie Niemcy chciały przyłączyć wschodnie prowincje Belgii, Austria Serbię i część Rumunii, a także ugruntować swoje panowanie w Galicji – obstawała przy swoim zdaniu. Wyglądało na to, że zaczną się kłócić i za chwilę wypomni mu, że jego babka była rodowitą Niemką.

– Od północnej granicy Szwajcarii aż po kanał la Manch utworzył się front, na którym tylko trzy bitwy pod Ypres, pod Vimy i nad Somą pochłonęły ponad milion ofiar. Przez sam środek Polski w rejonie Łodzi przebiegał natomiast front wschodni, a jednocześnie toczyły się walki w Karpatach, które doprowadziły do przedarcia się Niemców na teren Rosji. Kraków był miastem garnizonowym i mial strategiczne polożenie. Krok tylko dzielil nas od granicy przebiegającej w rejonie Miechowa.

– I ty to może pamiętasz? – zapyatala moja mama lekkko sarkastycznym tonem, tak jakby chciala podkreślić, że jest mlodsza od niego o cale dziesięć lat.

– Oczywiście, że nie – odparł z uśmiechem – ale chodzilem z bańkami po mleko 5 kilometrow do wsi, bo miasto bylo oblężone i był głód. Zostaliśmy pomimo ewakuacji, bo akurat wtedy na dniach miał urodzić się mój brat.

– Straszne – pomyślalam patrząc na rodziców. Moja mama przyszła na świat 7 lipca 1915 roku, więc nie pamiętała wojny, ale co musiała przezywać wtedy moja babcia wolałam nie mysleć. W ogóle lepiej nie mysleć w wojnie jeśli się nie musi! Dlaczego więc teraz o tym piszę? Licho wie!

***

Michał Wąsowicz bezpośrednio po uzyskaniu dyplomu podjął pracę, do czego był absolutnie przymuszony sytuacją materialną swoją i swojej rodziny, Stanisław natomiast, pozostając pod protektoratem nieprawdopodobnie bogatej ciotecznej babki, kniazini Katarzyny Glińskiej, mógł pozwolić sobie na luksus dalszego studiowania na Uniwersytecie Jana Kazimierza i pisania pracy doktorskiej. Po wybuchu pierwszej wojny światowej Michał, jako były uczeń przemyskiego gimnazjum i oficer rezerwy, a co ważniejsze pracujący już w lwowskiej Kasie Chorych prawnik, trafił do 20 Pułku Piechoty, wchodzącego w skład 12 Krakowskiej Dywizji Piechoty, co znacznie pokrzyżowało jego matrymonialne plany. Niecierpliwił się pisząc ze Stanisławowa, gdzie wówczas stacjonował i pracował, jako kancelista tamtejszego sądu wojskowego, że nie może liczyć na więcej niźli dwa dni urlopu 29 i 30 sierpnia 1914 roku. W liście obligował brata Adeli, Staszka Hardta, do dania zapowiedzi na czas i przygotowania uroczystości, a ją do zakupu obrączek.

Stanisław, jako przyjaciel pana młodego i brat panny młodej miał wystąpić w charakterze świadka, w końcu to za jego sprawą młodzi się poznali, oponował jednak podnosząc, że lepiej byłoby poczekać na rozwiązanie konfliktu, co słysząc Ada dostawała białej gorączki. Poparła ją zdecydowanie matka i ostatecznie Michałowi i Adeli udało się wziąć ślub we Lwowie dopiero 27 września 1914 roku. Nie była to decyzja rozsądna, ale oboje byli bezgranicznie szczęśliwi i żadne z nich nie myślało o wojnie. Ta toczyła gdzieś daleko i zdawała się nie zagrażać ani jej, ani jemu. A w każdym bądź razie nie teraz, nie w czasie ich cudownej, długiej, ciągnącej się aż do pierwszego brzasku nocy poślubnej, pełnej namiętnych pocałunków i gorących wyznań.

– Przysięgnij mi, na Boga, że nie zginiesz – zażądała Ada, gdy zaczął sposobić się do śniadania. Wiedziała, że niebawem do sypialni wkroczy matka, aby upewnić się, ze do utraty przez nią dziewictwa doszło w trakcie nocy poślubnej Uśmiechnęła się na myśl, co by się działo, gdyby doszło do ich zbliżenia wcześniej.

– Co cię tak rozbawiło? – zainteresował się Michał, ale milczała. Tego akurat nie mogła mu powiedzieć.

Michał tymczasem rozmyślał nad swoim własnym położeniem, w jakim się nieoczekiwanie znalazł, o wojnie i o wojsku, do którego został siłą wcielony. Austriackim a nie polskim.

– O polskim mogę sobie tylko pomarzyć – ciężko westchnął, co wzbudziło niepokój Ady.

– Myślę o wojsku, o jakim wciąż wszyscy tylko śnimy.

Z chwilą poślubienia Ady pojawił się niezmiernie silny imperatyw, aby przetrwać czas chaosu. Przeżyć. Z całą pewnością nie należał do gotowych na wszystko, a w tym na śmierć, marzycieli, pomimo że sam pochodził z rodziny o głęboko patriotycznych korzeniach.

– Musimy jakoś przeżyć to piekło – odezwał się Staszek przy porannej kawie.

Michał wiedział, że szwagra, urodzonego pacyfistę, najbardziej interesowała zawsze historia ludzkości i przyczyny upadku kolejnych cywilizacji, za które obwiniał wojny. Nie zdziwił się więc, gdy Stanisław Hardt zaczął analizować sytuację niezrażony tym, że mało kto go słucha.

– Intuicja od dawna podpowiadała mi, że po zakończeniu wojny krymskiej w 1856 roku stosunki między Rosją a Austrią uległy tak znacznemu pogorszeniu, że prędzej czy później musi dojść do konfrontacji pomiędzy wielkimi mocarstwami – perorował swoim mentorskim tonem.

– To prawda – zgodził się z bratem Edmund Hardt – wojna stała się nieunikniona, ale dopiero po wojnie francusko-pruskiej.

– Po wojnie francusko-pruskiej? – podchwyciła Ada, zdradzając się tym samym, że nie wie o jakiej wojnie mowa.

Stanisław Hardt spojrzał na siostrę z dezaprobatą mówiąc, że to efekt pracy kanclerza Rzeszy, Bismarcka, który tworząc trójprzymierze Niemcy-Austro-Węgry i Włochy oraz podejmując próbę osadzenia na tronie Hiszpanii pruskiego księcia Leopolda von Hohenzollern-Sigmaringena, dążył do otoczenia a tym samym odizolowania Francji, która ze zrozumiałych powodów nie mogła dopuścić do uzyskania przez Prusy wpływów w Hiszpanii i w efekcie osaczenia jej przez wrogie mocarstwa.

–Ach! I udało mu się? – radosny głos Ady wywołał salwę śmiechu, co widząc Michał otoczył żonę ramieniem.

– No cóż, kochanie ty moje – westchnął – wojnę zakończono podpisaniem 10 maja 1871 traktatu pokojowego we Frankfurcie. Skutkami wojny dla Francji były wypłata państwu pruskiemu odszkodowania, ostateczne zniesienie monarchii we Francji i ustanowienie republiki oraz utrata bogatych, granicznych krain Alzacji i Lotaryngii. Gdyby Francja wygrała tamtą wojnę, sytuacja dzisiaj wyglądałaby inaczej. A tak przyszło nam walczyć za Austro-Węgry, za cesarza Franciszka Józefa, a Francja, która na nasze nieszczęście sprzymierzyła się z Rosją, stała się naszym wrogiem. W efekcie takiego układu Polacy z zaboru rosyjskiego staną do walki przeciwko swoim rodakom z Galicji.

– Oby do tego doszło ! – glos Ady zdradzał przerażenie. – To tak, jakbyśmy mieli niebawem zlaleść się w oku cyklonu!

– Zaborcy prześcigają się teraz w czynieniu obietnic bez pokrycia, aby przeciągnąć nas na swoją stronę, ale Polacy nie są tacy głupi – włączyła się do rozmowy żona Stanisława Hardta piękna Adejajda de Poest.

– Co ty wygadujesz moja droga – oburzył się Stanisław. – Popatrz do czego doszło! – zaperzył się tracąc niemal oddech. – To że zrobili ludziom wodę z mózgu jestem w stanie pojąć, ale popatrz ile światlych umysłów dało się nabrać !

– Nie pojmuję o czym Stasiu mówisz – w oczach Adelajdy odmalowalo się zdziwienie. – Odmienność orientacji?

– Staszek ma rację – stwierdził Michał. – Dmowski liczy na Rosję, Haller na Francję, Piłsudski na Austrię. Pusty śmiech człowieka ogarnia co to za idioci! A na domiar złego klócą się pomiędzy sobą. Bezpośrednio po wybuchu wojny w Krakowie zawiązał się Naczelny Komitet Narodowy, na czele którego stanął, jako prezes Juliusz Leo, zaś na czele jego departamentu wojskowego, jego przyjaciel, Władysław Sikorski. Wszyscy wiedzieli, że Sikorski podobnie jak Zagórski należał do oponentów Piłsudskiego, co miało okazać się niebawem nie bez znaczenia. Komitet ten z konieczności jednak utrzymywał kontakty z Polską Organizacją Narodową Piłsudskiego. 16 sierpnia 1914 roku Józef Piłsudski, stanął na czele Pierwszej Brygady. Drugą Brygadą dowodził najpierw generał Kutner, a następnie generał Józef Haller. Trzecia Brygada utworzona w 1916 roku znalazła się pod dowództwem generał Szeptyckiego.

– To potworne – załamała ręce Ada. – Ale mówi się, że Austriacy przegrywają?

– Mogłoby się wydawać, że tak, ale to bardziej skomplikowana sprawa – stwierdził Michał.



Adela i Michał Dunin-Wąsowiczowie

– Jak to? – zaprotestował Edmund. – Na samym początku Ruscy skopali im tyłki pod Lwowem i Rawą Ruską.

– To prawda, ale my akurat nie mamy się z czego cieszyć!

– Plany naczelnego dowództwa niemieckiego przewidywały najpierw uderzenie wszystkimi siłami na Francję i Belgię, natomiast czoło armii rosyjskiej miała stawić armia austriacka. Tymczasem wojska austriackie uderzające z północy natknęły się na siły serbskie i w sierpniu przegrały z nimi bitwę pod Cerem – objaśnił Stanisław Hardt.

– Co to oznacza? – zainteresowała się Ada, lecz jej brat nie zwrócił na to uwagi.

– We wrześniu Rosjanie rzeczywiście pokonali Austriaków pod Lwowem oraz Rawą Ruską i dopiero po tych przegranych bitwach Naczelne Dowództwo Austriackie nakazało odwrót armii austro-węgierskiej za linię Sanu.

– A więc to prawda, że od 17 września oblegany jest przez wojska rosyjskie Przemyśl? – zapytała Helena Hardtowa, a z jej tonu można było wnosić, że martwi się o mieszkających tam bliskich.

– Ta wojna nie zakończy się do Bożego Narodzenia – stwierdził Michał. Wbrew obiegowym sądom był o tym przekonany, lecz nie przewidział, że zanosi się wieloletnią, najbardziej krwa-



Izabela Jutrzenka-Trzebiatowska

wą wojnę w historii Europy. Jego obawy potwierdziły się, gdy 29 października 1914 roku Turcja przyłączyła się do państw centralnych i stało się jasnym, że alianci stracili możliwość udzielenia pomocy Rosjanom poprzez cieśniny czarnomorskie.